



AŁBENA GRABOWSKA

CORAZ MNIEJ OLŚNIEŃ

2 piętro

AIBENA GRABOWSKA-GRZYB

Coraz mniej olśnień



LENA

Kiedy wyrzucano mnie z pracy, byłam ubrana w lazurową sukienkę Max Mary. Sprzed trzech sezonów, ale kto o tym wiedział. Nawet w piśmie modowym nie wszyscy znają się na modzie. Zwolniono mnie przez zazdrość. Zawieść nawet. Bo czyż nie doszłabym do stanowiska naczelnej? Albo nawet głównego dyrektora artystycznego? Na pewno. I wcale nie jestem próżna. Nie jestem tylko skromna. Nie użyto nawet specjalnego pretekstu. Po prostu wezwano mnie do zastępcy redaktora naczelnego, czyli do geja w za ciasnym garniturze i ten powiedział, że „sorry cię”, ale za dużo nas kosztujesz. Po prostu. Nic nie mam do gejów, ale ci, co wyrzucają mnie z pracy, w naturalny sposób budzą moją nienawiść. Naczelna nawet nie pofatygowała się do mnie. I szlag trafił. Miałam pracę jeszcze na jakiś tydzień, do ostatniego dnia miesiąca. A potem kończyła się umowa czasowa i do widzenia. Czy czułam, że tak będzie? Wcale nie. Wręcz przeciwnie. Byłam przekonana o swojej wielkości i sprycie. Czyż nie schodziłam z drogi Wielkiej Szefowej? Czy nie byłam przymilna i koleżeńska? Czy nie przeczytałam wszystkich poradników, jak być idealnym pracownikiem i osiągnąć sukces? Wreszcie, czy nie byłam fantastycznie zdolna? Praca w piśmie o modzie to świat dla wybranych. Trzeba mieć własny styl, dobre pióro, mnóstwo czasu, a także uwielbiać ciuchy i ludzi z pierwszych stron kolorowych gazet. Ja tak mam. Może poza tym uwielbieniem. Za to świetnie je udaję. Każda tak zwana celebrantką w moim towarzystwie czuła się jak gwiazda filmowa, nawet jeśli prowadziła teleturniej dla dzieci w porze najmniejszej oglądalności. Nie mówiąc już o osobach występujących w serialach, w trzeciorzędnych rolach, zwanych przez siebie aktorami. Tym potrafiłam wmówić, że mają charyzmę Roberta de Niro albo talent samej Meryl Streep. Pod warunkiem oczywiście, że wiedzieli, kim są ci dwoje. Wielka Szefowa przyjmowała mnie do pracy. Pytała co potrafię. Powiedziałam, że ciężko pracuję na sukces wszystkich i spojrzałam na nią. Zrozumiała to dokładnie tak, jak chciałam. Będę lojalna. Zawsze będę miała czas na bieganie po klubach za pieniądze redakcji i nigdy, ale to nigdy nie pomyślę o jej stanowisku. Wielka Szefowa miała na nazwisko Straszak. Zmieniła sobie na Straszewska. Słusznie, to pierwsze kojarzyło się ze strachem na wróble. Prawdłowo zresztą. Straszyla wszystkim, od wyglądu przez wystrój pokoju aż do specyficznego, pełnego egzaltacji zachowania. I miała na imię Kamila. I to sobie zmieniła na Kamelia. Kamila Straszak vel Kamelia Straszewska wyrzuciła mnie z pracy asystentki stylistki w najlepszym krajowym piśmie o modzie. Przeżyję. Albo nie przeżyję. Na razie pogrążam się w rozpaczmyśląc o tym, co zrobię w następnym miesiącu. Poczucie klęski ogarnia mnie coraz bardziej. Wynajęte mieszkanko kosztuje około 500 zł miesięcznie. To nora, ale wmawiam wszystkim, że klimaty Pragi najbardziej mi odpowiadają. Mogłabym mieszkać w każdym innym miejscu,

ale wybrałam to, mówiłam uparcie. Imprez nie robiłam dla zasady. Od czasu do czasu kogoś zapraszałam. Wtedy ten ktoś mógł się wdrapać po obskurnych, drewnianych schodach i wejść do mojej klitki. Miała jakieś 28 metrów, w tym miejsce do spania na antresolce, kuchenkę z szafkami i łazienkę. To ostatnie to sukces na Pradze, bo bywa, że pomieszczenia zwane łazienkami znajdują się na korytarzu. Zostawił mi je kochanek. Poważnie. To znaczy jakby wynajął. Ja płacę tylko czynsz i wszelkie opłaty, a on ma święty spokój. Inaczej powiedziałbym jego żonie o naszych miłych schadzkach. I nie muszę mieszkać z ojcem pod Warszawą. I każdy jest zadowolony.

W moim mieszkaniu pół pokoju zajmuje szafa. Ciuchy to moja namiętność. Jestem od nich uzależniona. I od butów. I oczywiście dodatków. Mogłabym opowiadać o tym godzinami. Praca w „Twojej Modzie” była spełnieniem moich marzeń. A teraz co? Czy jest jakiś sens chodzić do szefostwa i pytać - „dlaczego?” Nigdy nie walczyłam. Rodzice mnie tego nie nauczyli. Matka chciała, żebym skończyła jakieś porządne studia. Uczyła się języków. Ja nie miałam na to najmniejszej ochoty. Gdybym mogła w ogóle nie kończyć studiów, byłabym najszczęśliwsza. A tak musiałam prześlizgnąć się przez szkołę podstawową, do czego wystarczyła inteligencja. Skończyć liceum, do czego potrzebowałam także sprytu i kombinowania. Wreszcie skończyć studia. Męczyłam się sześć lat na różnych kierunkach interdyscyplinarnych, aż matka zagroziła, że nie da mi więcej pieniędzy. To mnie zdopingowało do przepisania fragmentów kilku książek i dodania mnóstwa własnych przemyśleń na temat „Współczesna moda i stylizacja jako element przynależności do grupy”. Wiem, że to bez sensu, ale udało mi się obronić pracę magisterską. I spokój. Nikt nie przyczepił się ani do żywcem przepisanych z książek fragmentów, ani do podpisywania nazwiskami socjologów moich własnych pożałuj Boże przemyśleń. Świat stał przede mną otworem. Gdyby mi się chciało pracować na studiach, skończyłabym je jako osoba z takim stażem, a tak stanęłam przed Wielką Szefową bez doświadczenia. Ale od czego miałam determinację i spryt? W życiorysie napisałam sobie, że pracowałam jako: roznosicielka reklam, sprzedawca pizzy, akwizytor sprzętu biurowego i kosmetyków, piosenkarka w klubie i wreszcie wolny strzelec w redakcji znanego czasopisma. Żeby nie było tak banalnie, napisałam, że sprzedawałam miejsca na reklamy w luksusowych czasopismach oraz bony rabatowe dla firm. W pizzerii - pisałam - przeszłam drogę od kelnerki do kierownika sali, a w wolnym czasie uczyłam się kuchni włoskiej od autentycznego włoskiego kucharza. Wpisałam sobie nawet znajomość podstawy języka włoskiego do życiorysu. Sprytnie przedstawiłam się także jako pracująca z wielkimi sukcesami akwizytorka znanej firmy kosmetycznej. Kwestię śpiewania piosenek w klubie opisałam w rubryce hobby jako: zainteresowania piosenką

polską, włoską i francuską. Napisałam o amatorskich wykonaniach w niszowych klubach jazzowych. Za darmo oczywiście. Tylko, żeby poszerzyć horyzonty. Więcej miejsca poświęciłam na opis swojej pracy w redakcji. Rubryka „doświadczenie” jest bardzo istotna, a ja się przyłożyłam. Zainteresowany mógł przeczytać, że: pisałam teksty reklamowe, porady kulinarne, prowadziłam naturalnie rubrykę o modzie, redagowałam wszystko, co trafiało na stół mojego zwierzchnika. Dobrze to wszystko wyglądało na papierze. Prawda była zupełnie inna. W rzeczywistości raz rozdałam ulotki na dworcu za 20 złotych, co starczyło na duże latte i ciastko karmelowe. Pizzę wyłącznie jadłam i nigdy nie przyszło mi do głowy pracować w pizzerii. W mieście, w którym mieszkałam, moja koleżanka otworzyła pizzerię. Proponowała mi pracę, ponieważ szukała kelnerek. Mogłam być nawet kierownikiem sali. I kucharka miała Włocha. Wyobraziłam sobie, że tę propozycję przyjąłabym i już. Co do kosmetyków, to sto lat temu wypełniłam zgłoszenie dla „konsultantek” firmy kosmetycznej. Wyobrażałam sobie, że będę wąchać perfumy albo określać, który kolor szminki jest trendy, ewentualnie uczestniczyć w tworzeniu opakowań kosmetyków. Jakaś miła pani zadzwoniła i wyjaśniła mi, że konsultantka to akwizytorka i tyle. Miałabym chodzić po biurkach i wciskać kobietom pudry i cienie do powiek. Podziękowałam. Wreszcie piosenki. Moja babcia uwielbiała Edith Piaf, Mireille Mathieu i Domenico Modugno. Większość tych piosenek umiałabym zanucić. A w barze śpiewałam kilka razy. Karaoke. Miałam nawet powodzenie. Nikt by tego nie sprawdził. Szefostwo mogło się jednak pokusić o sprawdzenie mojej kariery dziennikarskiej. Przewidziałam to i wybrałam pismo, które w międzyczasie zmieniło właściciela. Moja koleżanka ze studiów, która pracowała na dokładnie opisanym przeze mnie stanowisku, pożaliła mi się w chwili słabości, że zaniedbała prośby o referencje. Teraz, mówiła mi, nie ma tam nikogo, kto wcześniej pracował. Nikogo, kto mógłby zaświadczyć, że przez kilka lat praktycznie tworzyła to pismo. Za dobre, żeby tego nie wykorzystać. Czy to wszystko oznacza, że moje życie to jedno wielkie kłamstwo? Może kłamstwo nie, ale ścierna na pewno. Każdy kręci, żeby jakoś się utrzymać na powierzchni. Ja nie mam z tym problemu. Tyle, że straciłam posadę. I wracamy do punktu wyjścia. Od pierwszego nie mam pracy. Nie mam na czynsz. Pracowałam u tej pieprzonej redakcji rok, przez dziewięć miesięcy na umowę - zlecenie, aż dostałam pierwszą czasową trzymiesięczną umowę. Byłam taka dumna. Może tak robią ze wszystkimi? Wielka Szefowa zatrudnij taką słodką i naiwną istotę na kilka miesięcy na umowę - zlecenie. Potem proponuje pierwszą umowę stałą na czas określony. A potem każe swojemu zastępcy - zwanemu „Pasikonikiem” - wywalić mnie. Po lunchu, na który nic nie zjadłam, zrobiłam sobie konturówką do warg podkrążone oczy i poszłam do Pasikonika.

- Mam prawo wiedzieć dlaczego - zachlipałam na progu.

Pasikonik zdjął czerwono-czarne Ray-Bany kujancki, popatrzył na mnie przeciągle i powiedział afektowanym tonem:

- Nie stać nas na asystentkę, która zapomina oddać do sklepu ubrania wypożyczone na sesję. Nie bierz tego osobiście - dodał krzywiąc się.

A niby jak mam brać, pomyślałam. Zarzucał mi kradzież, wprost. Ciuchy chciałam zatrzymać dla siebie. To była szyfonowa granatowa bombka i ciasny czerwony sweterek w srebrne biedronki. Resztę oddałam do sklepu. Przysięgam. Tonę ciuchów. Tych dwóch nie było na liście, nie było w wykazie ze sklepu. Jak na to wpadli, że to ja je zabrałam? Próbowałam przekonać Pasikonika, że nie wiem o co chodzi. Przez cały czas upierałam się, że nie mam pojęcia o tym, gdzie może być rzeczona spódnica oraz sweterek. Wyrzeszczałam swoje niebieskie oczy i robiłam minę pt.: „krzywdzicie mnie podejrzzeniami”. Zawsze działała. Teraz nie.

- Zapłacę za te rzeczy, tylko mnie nie wyrzucaj - przeszłam do błagania.

Jak zostanę naczelną, wyrzucę go na bruk.

- Nic z tego, nie chcą pieniędzy - Pasikonik patrzył na mnie, jakby chciał mi powiedzieć, że nie dość, że bombka i sweterek wiszą w mojej szafie, to jeszcze ktoś mnie widział w nich w klubie w sobotę.

- Przetrząsnę wszystkie outletsy w promieniu 30 kilometrów, znajdę to i oddam. Kupię na własny rachunek - błagałam coraz bardziej, a Pasikonik miał coraz bardziej wymowny wyraz twarzy.

- Powiedzieli, że nie pożyczą nam już nic na sesję. Kamelia po prostu nie wiedziała jak ich przeproszać.

Przepraszająca Kamelia była argumentem nie do zdarcia. Jeszcze walczyłam.

- A może ja tam pojedę i wyjaśnię sprawę - mówiłam coraz ciszej i na przydechu. Niech sobie wyobrazi, że życie mi się wali.

- Daj spokój, Lena - powiedział Pasikonik. - Dziękuj Bogu, że Kamelia nie wystawia ci wilczego biletu. A mogłaby. Tyle, że to cudowna osoba. I docenia to, co dla nas zrobiłaś wcześniej. Zanim...

I wykonał charakterystyczny gest ręką. Taki oznaczający zagarnięcie.

- To nieprawda - szepnęłam.

- Prawda - Pasikonik był łagodny. - Powodzenia. Możesz zostać do pierwszego i normalnie pracować. Jeśli nie chcesz, to możesz nie przychodzić do redakcji. Maja robi twoją rubrykę.

- Zostanę - powiedziałam dramatycznym szeptem. - Rubrykę prawie skończyłam. Zdjęcia mam już wszystkie, poprawiam tylko tekst.

Zostałam do końca tygodnia. Spotkałam się nawet ze współczuciem. Pomogło mi to, bo dziewczyny dzieliły się ze mną lunchem. Mogłam zachować ostatnią setkę, jaką miałam na koncie. Przez tydzień nie wychodziłam praktycznie ze swojego boksu. Nie chciałam spotkać się twarzą w twarz z Kamelią. I jej lakierowaną fryzurą. Nie tym razem. Kiedy już osiągnę sukces, zrobię wszystko, żeby straciła wpływy.

Nie mam żadnych oszczędności. Pracowałam za krótko, żeby się czegoś dorobić. Poza tym nie umiem oszczędzać. Wydam każde pieniądze. Na ciuchy, dodatki, drinki w klubie. Matka tego nie rozumiała. Dla niej ciuchy dzieliły się na służbowe i domowe. Miała też eleganckie ubrania, oczywiście. Takie, w których chodziła do ukochanego teatru. Nie wiem, czemu ciągle o niej mówię. Umarła przecież dawno temu.

Mieszkanko wydaje mi się smutne i puste. Siedzę w nim już drugi tydzień i prawie nie wychodzę. Ani w piątek, ani w sobotę nie byłam w klubie. Pierwszy raz w życiu nie miałam ochoty wyjść się zabawić. Otwarte drzwi od szafy skrzypią. Kołyszą się na wietrze, a wiatr bierze się z nieszczelnych okien. Gówniane to mieszkanie. Jestem głodna. W lodówce mam serek light i otręby. Biorę je do ręki. Oddycham z ulgą. Nie są przeterminowane. Przelewam jogurt do porcelanowej miseczki. Miseczka to jeden z niewielu przedmiotów, jakie wzięłam z domu. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. To była ulubiona rzecz matki. Przez lata jej nie używałam. Teraz jem z niej chudy jogurt z karmą dla konia. Matka pokiwałaby głową z politowaniem i popatrzyła na mnie smutno, z rozczarowaniem. Czyli tak jak zwykle. Myję miskę pod bieżącą wodą. Nie muszę dodawać, że w mieszkaniu nie ma zmywarki. Przez chwilę mam ochotę upuścić miskę i stłuc ją na drobne kawałki, ale powstrzymuję się. Zawsze się powstrzymuję. Jakby matka powstrzymywała mnie swoją obecnością. Wzdycham i odkładam ją do rozklekotanej szafki. Postanawiam zadzwonić do Krzyśka, tego mojego byłego kochanka. W końcu jest mi coś winien. Zawsze był źródłem łatwych pieniędzy, a ja dla niego bezpiecznej przyjemności. Wykręcę numer komórki.

- Malena - słyszę ciche - nie mam czasu. Ja naprawdę mam tu zasów.

- Przyjdź - przymilam się do niego chyba po raz pierwszy. - Tęsknię.

Cisza w słuchawce. Słyszę, jak mi serce dzwoni.

- Za godzinę będę - szepcze.

Czyli w przerwie na lunch. I dobrze, bo nie mam ochoty, żeby zostawał na noc. Czasu mam mało. Zrzucam piżamę i wciągam dzianinową, elastyczną sukienkę Zary. Zastanawiam

się, co włożyć pod spód. W końcu zostają bez bielizny. Od tej wizyty dużo zależy. Krzysiek wraca punktualnie i od razu zabiera się do rzeczy. Mój brak majtek i stanika przypada mu do gustu. Czuję się jak przedmiot. Obraca mnie najpierw i bierze od tyłu, potem robimy to na lodówce w kuchni. Ani trochę nie jestem podniecona. Mówiłam już, że umiem udawać.

Teraz też cała drzę pod nim i nad nim. Na szczęście on jest tak napalony, że trwa to w sumie niedługo.

- Dzięki - mówi.

Palant skończony. Przetykam dziwną gulę w gardle.

- Słuchaj - mówię - straciłam pracę i dopóki czegoś nie znajdę, to nie mam na rachunki.

Odskakuje ode mnie jak oparzony. Wcześniej siedział na kanapie i obejmował mnie ramieniem.

- Nie ma mowy - dyszy. - Umawialiśmy się.

- Ale ja...

- Zapłacę tylko za ten i przyszły miesiąc - patrzy zimno. - I będę tu wracał raz w tygodniu.

Wysuwa język. Wygląda jakby chciał mnie uderzyć. Ja sama mam ochotę walnąć go przez tę wygoloną gębę pana product managera, ale się powstrzymuję. Niech mu się wydaje, że wygrał. Mam jeszcze prawie dwa miesiące spokoju. Na pewno jakoś przez ten czas wypłynę.

- Następnym razem włóż majtki - mówi. - Lubię je z ciebie zdzierać.

Wychodzi trzaskając drzwiami. Nie czuję się dobrze. To chyba ten jogurt. Wchodzę pod prysznic. Normalnie nie używam żelu do mycia. Zmywa naturalną powłokę lipidową i skóra szybciej się starzeje. Teraz czuję, że woda nie wystarcza, żeby zmyć dotyk byłego-obecnego kochanka. Biorę mydło, którym myję ręce i namydlam się cała. Spłukuję długo, na przemian zimną i gorącą wodą. Trochę mi lepiej. Na moment uśmiecham się nawet do zaparowanego lustra. Sięgam po ręczniki, ale nie ma żadnego czystego. Szlag by trafił. Jakbyś prała, to byś miała, słyszę za plecami. Odwracam się gwałtownie. Nie ma nikogo. Przelatuję truchtem całe mieszkanie. Nikogo. Świruję z tego wszystkiego. Dziś już któryś raz wspominam matkę. To nienormalne. Wycieram się bawełnianą bluzką. Ubieram w dzinsy i podkoszulek. Znów Ani się poprawia na moment. Bigstary dobrze leżą. Podkoszulek ma dobry nadruk - „be happy”. Jeszcze będę szczęśliwa. Mój wzrok zawiesza się na chwilę na stoliku stojącym przy kanapie. Leży na nim 20 złotych. Przed wizytą byłego-obecnego ich tu nie było. Na tyle mnie wycenił. Chociaż, jeśli dodać czynsz za dwa miesiące i opłaty, to i tak

nieźle mi poszło. Zbieram pranie i wrzucam do pralki. Ledwie chodzi, ale przynajmniej to automat. Na szczęście mam jeszcze trochę proszku do prania. Ogarniam dom. W ciuchach zawsze miałam porządek, ale reszty nie chciało mi się nigdy sprzątać. Teraz czuję potrzebę. Wyciągam odkurzacz spod łóżka. Przejeżdżam po moich 28 metrach wciągając miesięczne koty. Potem biorę mopa, myję łazienkę i kuchnię. Przecieram też parapety. Matka byłaby zadowolona. Znowu pomyślałam o niej. Chyba mi odbija. Zasłużyłam na coś fajnego. W portfelu mam 30 zł, Krzysio zostawił mi 20. Narzucam na siebie marynarkę Diesla i wkładam szpilki z Wenezii.

Tramwaj podjeżdża na przystanek wypełniony po brzegi. Postanawiam zignorować go i udać, że czekam na inny. Zostaję na przystanku sama. Następny przyjeżdża po 20 minutach, kiedy zaczynam kulić się z zimna. Wydawało mi się, że mamy ciepły wrzesień, tymczasem jest jakieś 15 stopni, a ja mam na sobie cienkie ciuchy. Przynajmniej tramwaj nie jest tak zatłoczony. Udaje mi się usiąść. Gapię się przez zakurzone okno. Warszawa wydaje mi się obca i ponura. Podróż dłuży się, samochody zajeżdżają motorniczemu drogę. Tramwaj co chwilę staje. Słychać trąbienie. Nade mną stoi starsza kobieta ubrana w płaszcz, czapkę i szalik. Podziwiam jej przezorność, aż tak zimno nie jest. Pewnie powinnam wstać i jej ustąpić. Bawi mnie ta myśl. Mało kto ustępuje teraz starym w komunikacji. Kto ma bilet, ma prawo siedzieć. Takie są zasady. Zresztą za mną siedzi chłopak. Niech on jej ustąpi. Wsiadam pod Żłotymi Tarasami. Przechodzę przez pół Dworca Centralnego i wchodzę do sali głównej. Przejdę do Tarasów górą, przez przystanki. Nigdy nie wchodzę podziemiami. Szklane, kręcące się drzwi prowadzą do rajów wypełnionych sklepami i kawiarniami, w których przechadzają się ludzie mający na sobie niedostępnie chwilowo dla mnie ciuchy. Zawieszam oko na dwóch dziewczynach w wieku licealnym. Nie mają więcej jak 17 lat. Siedzą w coffeeheaven na parterze i piją kawy z papierowych kubków. Wyglądają jak klony. Obie mają spodnie z obniżonym krokiem, ale nie z górnej półki - River Island chyba albo Promod, ciasne sweterki i kolorowe łańcuchy na szyjach. Żadna z nich nie zdjęła wełnianej czapki. Nigdy tego nie rozumiałam. Łażenie w wełnianej czapce na głowie w ciepły dzień albo co gorsza we wnętrzu, uważam za brak gustu. Wiem, że tak robi David Beckham, ale nawet on wygląda głupio. Rozglądam się za jakimś miejscem. Jest idealne. W kącie, pojedyncze z widokiem na całą kafeję i fotelem do siedzenia. Zostawiam tam torebkę po wyjęciu z niej portfela i żakiet.

- Witamy - mówi dziewczyna zza kasy. - To, co zwykle?

Jeszcze bardziej poprawia mi się humor. Dobrze, że wyszłam z domu. Kiwam głową, płacę i czekam na swoje duże latte.

- Zrób fajną kawę z sercem - mówi dziewczyna do chłopaka przy ekspresie.

Robi mi się jeszcze fajniej. Od dawna nikt mnie tak nie potraktował. Indywidualnie, znaczy się jak VIP-a albo kogoś naprawdę ważnego.

- Lepszy mi wychodzi listek paproci - mówi cicho chłopak.

- Spróbuj - mówi stanowczo dziewczyna.

Z plakietki wynika, że ma na imię Joanna i jest Young Managerem. Chłopak z plakietką „Marcin - uczyć się” zabiera się do pracy. Zachęcająco się uśmiecham do niego i z wdzięcznością do dziewczyny, która stoi przy młodszym stażem koleżdze i pilnuje, żeby zrobił mi dobrą kawę. Chłopak wkłada całą energię we wlewianie spienionego mleka do kubka. Joanna - Young Manager marszczy brwi. Chłopak wzdycha.

- Wyleję to - mówi.

- Nie - protestuję nie rozumiejąc, o co im chodzi.

Sięgam po kubek z kawą. Po chwili rozumiem w czym rzecz. Na samej górze powinno być wyrysowane serduszko z piany. Rysunek na kawie nie przypomina serca. Boki są zapadnięte, co wraz ze zgrubieniem na szczycie daje rysunek grzyba. Powiedzmy, że kani jeszcze nie rozwinętej. A tak szczerze to sterczącego fallusa. Sterczącego, z grubą żołądźką. Parskam śmiechem.

- Dzięki - mówię. - To specjalna kawa. Nie ma mowy o jej wylewaniu.

Nie do wiary. Siadam w swoim kącie. „Marcin - uczyć się” i Joanna - Young Manager śmieją się za ladą. Zabieram się do kawy. Mam dużo czasu. Popijam małymi łykami i gapię się przed siebie. Blisko mnie siada dwóch gejów. Przyglądam się ich koszulom. W kratkę, krótkie, jedna błękitno-granatowa u blondyna, druga wiśniowo-różowa u bruneta. Szczebioczą do siebie. Usiłuję odgadnąć co robią w życiu. Agencja reklamowa, copywriter? Pewnie coś w tym stylu. Conversy mają pod kolor koszul. Rozmawiają cicho ze sobą, stykają się ramionami, patrzą sobie w oczy. Zazdroszczę im. Ja nigdy nie miałam nikogo bliskiego. Wszystkie moje związki były przelotne. Nie umiem się zaangażować. Tłumaczę sobie, że nie trafiłam jeszcze na tego jedyne, ale wiem w czym rzecz. Jestem cyniczna i wykorzystuję ludzi do swoich celów. Każdego oglądam w kontekście tego co może mi dać, albo jakie drzwi otworzyć. Poznają takiego, udaję królową, a jak już mi da pierścionek, białego konia czy co tam ma, to do widzenia.

- Lenka?

Mrugam, kiedy widzę Maćka. To jeden z moich byłych. Tylko on tak do mnie mówił.

- Maciuś? - uśmiecham się słodko. - Co ty tu robisz?

Przysiada się do mnie. Dobrze wygląda. Ma dobrą marynarkę i spodnie pod kolor.

Tylko pod marynarką T-shirt z napisem Super Tata. Mdli mnie odrobinę, ale nie przestaję się uśmiechać. Oficjalnie zerwaliśmy dlatego, że ja nie byłam jeszcze gotowa na poważny związek. W taki sposób jak on chciał, to ja nie będę nigdy gotowa. Byliśmy razem jakieś dwa miesiące, jak chciał się zaręczać, brać kredyt i kupować mieszkanie. W łóżku był nieporadny, ale bardzo czuły. I nie krył, że chce mieć dzieci, dużo i od razu. Rachunki opłacał na czas, wszystkie, nawet za moją komórkę. Robił romantyczne kolacje i zapraszał mnie na weekendy do mieszkania swojej babci, która wyjeżdżała za miasto na działkę. Odeszłam, kiedy zrobiła się jesień i babcia zostawała w mieście, bo domek na działce nie był całoroczny. Pamiętam, że płakał przy rozstaniu, a ja dopasowałam się do tej konwencji. Kołysałam go w ramionach i powtarzałam, że jest dobry, cudowny i zasługuje na wspaniałą kobietę, a ja nie mogę mieć dzieci. Zrywam zawsze w taki sposób, żeby facet nie omijał mnie potem na ulicy albo nie mścił się na mnie. Poza Krzyżkiem naturalnie, któremu po prostu powiedziałam, że to koniec, ale zostaję w jego mieszkaniu.

- Wspaniale wyglądasz - mówię do Maćka.

Przysiada się i przysięgam - wyciąga z portfela zdjęcia bobasa i miłej brunetki z niewyregulowanymi brwiami. Udaję zachwyty. Długo wypytuję o szczegóły ich związku i narodzin synka. Gorąco popieram decyzję żony, która odeszła z pracy (wydawca) po urodzeniu dziecka i już drugi rok opiekuje się maluchem w domu. Teraz pracują nad dziewczynką. Bardzo słusznie, bycie jedynakiem jest okropne, przytakuje. Nie mają opiekunki - jakie to wspaniałe dla dziecka! Mój entuzjazm nie ma końca. Przyglądam się ponownie zdjęciu. Widzę, że nie zgubiła nadwagi po ciąży, a brak opiekunki uniemożliwia jej wizytę u fryzjera. To rzeczywiście kobieta, której pragnął. Potem pytam o pracę.

- Zostałem teraz zastępcą redaktora naczelnego, wiesz? - mówi, a ja nastawiam uszu.

- A jakie pismo? - pytam słodko.

Serce zaczyna mocno mi bić.

- „Twój Dzidzius” - mówi z zadowoleniem.

Jakżeby nie. Nabieram powietrza. Muszę to dobrze rozegrać. Zanim jednak zdążę się odezwać Maciek wypala sam.

- Lenka, interesowałaś się przecież modą, a my szukamy stylisty, który poprowadzi nasze sesje. Co ty na to? Miałabyś czas? To tylko praca dodatkowa...

- Mam - przerywam mu. - Właśnie szukam roboty. Pracowałam jako stylistka, ale wywalili mnie, jak trzeba było zatrudnić mnie na stałą umowę. Mam czas i bardzo chętnie ci pomogę.

Taka półprawda.

- No to, no to... - Maciek uśmiecha się szeroko. - Jakie ja mam szczęście!

A jakie ja? Dzięki ci Panie Boże. Zapisuję nowy numer komórki Maćka. Redakcja jest na szczęście blisko mnie. W poniedziałek mam przyjść spotkać się z fotografami i modelką. I wziąć pełnomocnictwo na pożyczanie ciuchów do sesji.

- A jak ma na imię twój synek? - pytam jeszcze.

Radość mnie rozpiesza. Zaraz się go pozbędę i idę coś sobie kupić. Mam pracę!

- Nicolo - mówi z dumą. - Przez c.

- Pięknie - kłamię po raz kolejny, ale jestem tak zadowolona, że nie muszę specjalnie udawać.

Na mózg im chyba padło. Nienawidzę, jak ktoś daje dziecku takie imiona. Miałam koleżankę Inez, ale jej ojciec był Hiszpanem. Ale tu? Mnie matka nazwała Marlana. Po Marlenie Dietrich. Matka uwielbiała kino. Nienawidzę tego imienia. Uważam, że do mnie nie pasuje. Nikt prócz matki tak do mnie nie mówił. Ojciec, brat i koledzy mówili Lena, albo Lenka. Jeden z chłopaków mówił Malina. Wkurzało mnie to bardziej niż Marlana. Krzysiek pierwszy nazwał mnie Malena i bardzo mi się to podobało. Jestem nawet podobna do Moniki Bellucci, tyle, że nie jestem gruba.

- Jak w tym będziesz sikać?

Pytanie pada z ust dziewczynki, na oko siedmioletniej.

- Proszę? - pytam mrugając oczami.

Właśnie weszłam do redakcji „Mojego dzidziusia”. Mam zrobić sesję zdjęciową i wrócić na szczyt stylizacji. Ubrałam się w różowy kombinezon Miss Sixty, jeden z najlepszych ciuchów jakie mam. Na nogach mam turkusowe czółenka, żółtą torbę Venezia i duże zielone klipsy. Wyglądam fantastycznie. Dokładnie tak jak lubię, czyli perfekcyjnie, a przy tym sprawiając wrażenie typu: „Och, spieszylam się i wzięłam pierwszą czystą rzecz, jaka wpadła mi do ręki”.

- Jak w tym będziesz sikać? - powtarza dziewczynka taksując mnie wzrokiem.

- Poradzę sobie - odpowiadam odzyskując animusz.

- Będziesz musiała być cała goła i uwalasz nogawki - mała nie daje za wygraną.

Za jakieś pół godziny przyjdzie mi do głowy kilka bardzo inteligentnych, ciętych odpowiedzi, które pozwoliłyby mi pokazać dziecku, gdzie jego miejsce sprawiając przy tym, żeby mnie pokochało od pierwszego wejrzenia. Tymczasem jednak gapię się na blondyneczkę z mysimi włoskami i nie wiem co powinnam jej odpowiedzieć.

- Łazienka jest czysta - odpowiadam. - A kabina zamknięta. Nikt nie zobaczy.

- Nie jest czysta - mała odpowiada natychmiast, prawie bez namysłu. - Ja zasikałam podłogę. Uwalasz.

- Będę pamiętała wybierając kabinę - odwracam się na pięcie i wchodzę do redakcji.

To będzie mój triumf. Pochód do zwycięstwa w konkursie na najlepszego stylistę roku. W wywiadach będę opowiadała, że wyrzucenie z pracy w „Twojej Modzie” to najlepsze co mogło mi się przytrafić. Bo czyż nie awansowałam z asystentki stylistki na stylistkę? To asystentka ze sklepu powinna przywieźć mi całą torbę ciuchów. Ja przyjechałam taksówką jak gwiazda, a teraz wchodzę przez szklane drzwi i pytam, gdzie jest modelka. Odrzucam precz wspomnienie o natrętnym dziecku.

- Witam cię Lenko - Maciek wychodzi mi na powitanie.

Za nim idzie gromadka, jak myślę przypadkowych odwiedzających, w osobie kobiety z dzieckiem na ręku, starszej pani oraz dwóch dziewczyn mniej więcej w moim wieku. Dziewczyny przedstawiają się. Nie zapamiętuję ich imion. Czekam aż kobieta z dzieckiem się pożegna. Pewnie tylko przyniosła mężowi obiad w garnku. Starsza pani to pewnie babcia dziecka. Obok gromadki, która patrzy na mnie wyczekująco, dematerializuje się dziewczynka.

- To jest Julia - mówi ta z dzieckiem.

- My się już poznałyśmy - szczebioczę, bo co mam robić.

Jakiś zlot fanów „Małego dzidziusia”? Chcę zrobić tę sesję.

Mam różne pomysły. Namówię modelkę, żebyśmy wyszły na powietrze. Zrobimy zdjęcia w kawiarni, na podwórku starej kamienicy, z chłopakiem na randce. Obsypię ją kwiatami. Pokażę, że świeżo upieczona mama może być śliczna i zadbana. Byleby tylko modelka nie była za młoda. Czasem bezmyślnie wyślą czternastolatkę, która nie tylko nie wygląda na matkę, ale raczej sama potrzebuje opieki mamusi. Ale na to nie miałam wpływu. Sekretarka redakcji, którą okazuje się starsza pani, powiedziała mi, że ubrania są tylko firmy Cotton Field, bo to sponsor sesji, a modelkę mają już zakontraktowaną, bo występuje dla nich regularnie. Cotton Field jest w porządku, a modelkę mogę zmienić następnym razem. Ja tu będę szefem.

Fotograf czeka w małym pokoiku, który nazywany jest pokojem zdjęciowym. Słusznie nie nazywają tego czegoś studiem. Za mną wchodzi ta z dzieckiem i Julia. Co do licha?

- Cześć Julka - mówi fotograf.

- Ona nie sika - mówi ta mała gadzina pokazując mnie palcem.

- Julciu - mówi jej matka głaskając po głowie gaworzące dziecko, jak się potem

okazuje także dziewczynkę - Klarę.

Ton nie jest karcący, raczej pobłażliwy.

- Będzie - mówi fotograf. - Wejdzie do kabiny, ściągnie to w dół i już.

Czy to mowa o moich potrzebach fizjologicznych?

- Zaczniemy? - pytam cierpliwie.

Na twarzy mam wypisany profesjonalizm. Jedna z dziewczyn, której imienia nie pamiętam, kładzie dużą torbę na podłodze i wychodzi. Druga wyciąga z szafki kuferek, jak się później okazuje na kosmetyki i siada na jedynym krześle w pokoju. Coraz lepiej. Czekam, aż wyjdzie ta z dziećmi i przyjdzie modelka.

- No to zaczynamy - mówi zamiast tego i wyjmuję bobasa z nosidełka.

Patrzę pytająco na fotografa. Gdzie jest modelka u licha? Miałam zrobić zdjęcia zadbanej młodej mamie.

- Cykamy dzieci we wszystkich ciuchach a potem Agnieszkę z dziećmi.

- Ja przyjdę za jakieś trzy godziny - mówi makijażystka.

Co ja sobie myślałam?

- Kiedyś nie potrzebowaliśmy stylistki - mówi fotograf. - Cykaliśmy dzieciaki i Agniechę w ciuchach jakie przyniosła Wiola i już.

Jeśli chciał mnie pocieszyć to mu się nie udało. Przybieram znów profesjonalny wyraz twarzy.

- To teraz macie - mówię z uśmiechem numer pięć i schylam się po torbę.

Wyciągam małe ubranka na stół. Na szczęście jest w czym wybierać. Nie za bardzo czuję modę dziecięcą. W tej kwestii ideałem dla mnie jest Suri Cruise, którą rodzice ubierają w markowe ciuchy, w większości szyte jako naturalne modele, jedynie pomniejszone.

Ubrania, które wyciągam, są ewidentnie wykonane dla dzieci. Miniaturowe džinsy, różowe sweterki w kwiatki, reniferki, kokardki. Wszystko słodkie. Podaję Julii zielone spodnie, fioletową bluzkę i sweterek w szaro-zielone kwiatki.

- Wskakuj w to - mówię.

- Ale to nie pasuje - Julia nie rusza się z miejsca nawet o centymetr.

- Pasuje - zapewniam najbardziej cierpliwie jak mogę.

Podaję matce zestaw dla bobasa.

- A to dla Klary.

Dwie godziny później mam ochotę zacząć bić Julię, Klarę i ich mamusię. Ta mniejsza bez przerwy ryczy i nie chce znieruchomieć nawet na chwilę. Julię trzeba prosić długo i specjalnie przekonywać do włożenia przygotowanego przeze mnie zestawu. Ich mamusia

wyraziła głębokie zdumienie, że to ona ma ubierać dzieci, bo zwykle przychodziły tu wszystkie dziewczyny i pomagały.

Mamy zrobionych tylko kilka zestawów. Ani Klara ani Julka nie chcą się przebierać. Niemowlaka to jeszcze można zrozumieć, bo nie wie o co chodzi. Julka ewidentnie robi na złość. Wtrąca swoje trzy grosze do wyboru zestawów. Uczy mnie co do siebie pasuje, a co nie. Matka nie reaguje. Najwyraźniej uważa, że jej córka może zwracać się do starszych w niegrzeczny sposób. Przed nami jeszcze zdjęcia matki. Skąd oni wzięli te rodzinę? Nie było w agencji jakichś bardziej współpracujących maluchów? Fotograf prawie nic nie mówi. Ma na imię Tomek i widzę, że nawet stara się być po mojej stronie. Udaje, że nie widzi, kiedy Agniecha przewraca oczami. Szybko zrozumiałam, dlaczego makijażystka wyszła. Agnieszka wyraziła ogromne zdumienie faktem, że chcę malować dzieci. A czemu nie? To zdjęcia, a na nich zawsze jest makijaż. Jak się z tym nie zgadza, to może ich nie malować na imprezy. Oczywiście powiedziała „nie”, a fotograf pokiwał głową. Muszę to sprawdzić. Nie pudruje się dzieci do zdjęć? Zresztą trudno, jakby świeciły to wymatowi się je Photoshopem.

Z matką idzie mi jeszcze gorzej. Ta kobieta uważa, że jest atrakcyjna. Nosi rozmiar 40-42 i ma rozciągniętą skórę na brzuchu. Na twarzy jeszcze by uszła, ma wyraziste rysy, ale za to krzywe zęby, które nieproszona wyszczerza w uśmiechu, chociaż tłumaczę jej, żeby uśmiechnęła się samymi ustami. Już wiem, skąd się tu wzięła. Pracowała w tej redakcji, zanim urodziła dzieci. Teraz jest jeszcze na urlopie wychowawczym. Dowiedziałam się także, że jej udział w sesji nie jest kwestią finansową, tylko ideową. Redakcja nie chce wynajmować modelek. Chce mieć zdjęcia prawdziwych dzieci i prawdziwych matek. Kiwam głową niby ze zrozumieniem. Nie powiem jej, że widziałam wiele prawdziwych matek, które nie mają owłosionych nóg i nie trzeba ubierać je w worki, żeby wyglądały dobrze. Na szczęście Cottonfield przysłał mnóstwo tunik, bluzek koszulowych i odcinanych pod biustem sukienek. Da się jakoś zamaskować ten niewyćwiczony brzuch. Agniecha jednak zamiast być mi wdzięczna i starać się zapamiętać w czym jej dobrze, robi trudności.

- Wyglądam jak jakaś prostytutka - wykrzykuje przyglądając się w lustrze. - Nie będę pozowała tak wymalowana.

- To makijaż wieczorowy - cierpliwie tłumaczę. Naprawdę nie wiem, skąd mam w sobie takie pokłady profesjonalizmu. - Masz na sobie suknię wieczorową. Jesteś na koncercie, albo w teatrze. Całość musi się ze sobą komponować.

Czy ona jest ślepa? Przecież wygląda prawie na atrakcyjną kobietę. Nic dziwnego, że tutejsza makijażystka uciekła. Kiedy zobaczyłam, jak kładzie podkład palcami, a potem omiata oczy różowym cieniem i tuszuje rzęsy, co trwa może pięć minut, a potem mówi: „To

chyba już”, powiedziałam jej, żeby poszła na jakieś ciastko, bo z taką figurą może sobie na to pozwolić, a ja mam swoje metody pracy i sama maluję modelki.

Po pięciu godzinach tej pracy mogę wreszcie wyjść. Trzęsą mi się ręce ze zdenerwowania. Na do widzenia Julka zerka jeszcze na mnie i mówi:

- Uwalalaś.

Końcówki nogawek kombinezonu mam mokre. W toalecie damskiej była jedna kabina. Mam tylko nadzieję, że to jakaś rozlana woda była, a nie siki tego dzieciaka.

Następnego dnia wpadam do redakcji na luzie. Nie będzie więcej zdjęć. Mamy tylko z fotografem wybrać poszczególne fotki do wklejenia. Wczoraj tak mnie umęczyli, że zasnęłam o ósmej wieczorem. Ostatni raz mi się to zdarzyło, jak trzy lata temu miałam grypę z gorączką 40 stopni. Ale nie ma tego złego - przynajmniej się wyspałam. Mam sukienkę do kolan Jil San-der kupioną przez internet za grosze. Włosy zebrane w luźny kok. Wyglądam nawet lepiej niż wczoraj. To też moja strategia. Pierwsze wrażenie zrób rewelacyjne, drugie oszałamiające. Fotograf Tomek już czeka. Pokazuje mi zdjęcia na komputerze. Są fatalne. Wszystkie. Nie takie światło. Dzieci skrzywione. Mamuśka dziwacznie powyginana. Nie te kolory, słowem - makabra. Nic dziwnego, że ten Tomek tu pracuje. W każdym normalnym piśmie wywaliliby go po jednej sesji. Krew odpływa mi z głowy, bo zdaję sobie sprawę, że zdjęcia trzeba będzie powtórzyć.

- Maciek jest bardzo zadowolony - mówi Tomek.

- Tak? - pytam i szykuję się, żeby mu powiedzieć, że po mojej interwencji wyleci z pracy.

- Wpadł i wszystko obejrzał. - Tomek uśmiecha się pogodnie. - Rzeczywiście umiesz obracać ciuchami.

Obracać ciuchami!

- Tylko Aga okropnie zła - dodaje Tomek. - Muszę cię uprzedzić, że nie chce już z tobą pracować. Mówi, że nie masz ręki do dzieci.

- A ona zdolności wychowawczych - wypalam. - Nie umie siedmiolatki nauczyć korzystania z sedesu.

- Dzieciaki są fajne - mówi niezrażony. - Sam mam dwójkę. Ty pewnie nie masz dzieci.

- Nie - odpowiadam krótko.

- Nie obraż się, ale to widać. Nie masz cierpliwości.

Pochyliłam się nad zdjęciami. Co mam zrobić? Wybrać coś z tej sieczki, czy

powiedzieć prawdę?

- Wiesz co? - mówi znów ten Tomek - cykam też dla „Natalii”. To piętro niżej. Tam pytali o ciebie, bo Maciek się chwalił, że będziemy mieli w „Dzidziusiu” stylizowane sesje.

„Natalia” to gazeta plotkarska najniższego rzędu. Szmatławiec kupujący wielokrotnie wykorzystane fotografie gwiazd i przepisujący wiadomości z „Pudelka”.

- A co tam trzeba stylizować? - pytam na wszelki wypadek.

- Chcą pokazać bohaterkę jakiegoś serialu, a obok modelkę w podobnych ciuchach, tylko z naszych sklepów. Wiesz, ile kosztują, gdzie kupić, takie tam. Tylko musiałybyś sama po te ciuchy chodzić, bo oni tam nie mają nikogo do czegoś takiego.

Brzmi nieźle. Sama bym miała wszystko zrobić. To jest jakieś wyzwanie. Pokażę im takie stylizacje w tym szmatławcu, że im oko zbieleje.

- Wiesz - dodaje Tomek. - Bo tu już nie porobisz. Aga wczoraj powiedziała Maćkowi, że nie potrzebujemy kogoś takiego jak ty. Ona tu była naczelną, a jej mąż jest w zarządzie wydawnictwa. Maciek musi jej słuchać.

- Tak powiedziała?

A to sucz.

- Chodziło jej o to, że nie chciałaś ubierać dzieci i uspokajać Klary, żeby nie płakała. A potem zostawiłaś te ciuchy tutaj i Anka musiała je odwozić.

- Nie przynosiłam ich. Nikt mi nie powiedział, że mam je odwieźć.

- I były porozwalane. Anka została po pracy, żeby to złożyć.

- To jej praca - mówię.

- No, niezupełnie - nie daje za wygraną. - I Kaśka poczuła, jakby nie umiała malować.

- Bo nie umie - potwierdzam.

Tomek wzdycha.

- Szkoda - mówi. - Bo takich dobrych zdjęć to nigdy nie mieliśmy.

Właściwie wszystko jedno, jakie zdjęcia pójdą. Wszystkie są równie złe. Ja się chyba zabiję. Przy życiu trzyma mnie myśl o kasie, jaką dostanę za sesję. Może wystarczy na miesiąc wygodnego życia. Nie wynegocjowałam konkretnej stawki, ale Maciek powiedział, że dostanę gwiazdorskie pieniądze. Mam nadzieję, że skoro mnie odprawia, to przynajmniej mi to wynagrodzi. Wybieramy wspólnie z Tomkiem dziesięć zdjęć. Umawiam się, że za 15 minut spotkamy się poza redakcją i pójdziemy razem do „Natalii”. Podchodzę do boksu Maćka. Oni tu mają open space. Nie trzeba przemykać się obok sekretarki, wszyscy są na widoku. Wczoraj wyszłam bez pożegnania z nim. Dziś chcę rozegrać moje odejście dyplomatycznie i wbić go w poczucie winy.

- Cześć Maciuś - mówię słodko. - Przepraszam, że wczoraj się nie pożegnałam, ale bardzo się spieszyłam, a ty byłeś zajęty.

- Lenka, Lenka - ten palant wstaje zza biurka, bierze mnie za rękę i całuje ją. - Jak ci się u nas podobało?

- Mnie bardzo - kłamię z niewinnym spojrzeniem. - Ale słyszałam, że modelki niezadowolone.

- Nie, nie, absolutnie nie!

Kręci przy tym głową i krzyżuje ręce na piersiach.

- Ja jestem zachwycony - mówi żarliwie. - Tylko tu nigdy nie było, wiesz, profesjonalnej stylistki. One nie są przyzwyczajone do tego...

Raczej już nie będą musiały się przyzwyczajać.

- Nie chcę ci robić kłopotów Maciuś - mówię. Jestem taka dobra. - Wiem, że pomysł z zatrudnieniem mnie nie podoba się pani Agnieszce. Może lepiej będzie jak wrócicie do starych metod pracy. Gdybyście zmienili zdanie, to będę współpracowała z „Natalią”. No i zawsze możesz się do mnie odezwać.

- Dzięki Lenka - najwyraźniej oddycha z ulgą. Widzę w nim poczucie winy. - Zdjęcia są wspaniałe, naprawdę. Jesteś piękna i masz wspaniały gust.

Czerwieni się i spuszcza wzrok. Tu go mam. Zastanawiam się czy pocałować go w policzek dotykając piersią jego piersi, czy zrobić coś bardziej wyrafinowanego. Po namyśle biorę wolno jego rękę w swoje dwie i głaszczę go delikatnie uśmiechając się jednocześnie. Założę się, że to jedno z najbardziej erotycznych doznań w jego życiu, ale wygląda to tak niewinnie, że nawet patrzący na nas przez szybę nie mieliby żadnych zastrzeżeń.

- Trzymaj się - mówię cicho. - Twoja żona to szczęściara. Mam nadzieję, że zdaje sobie z tego sprawę.

- Odezwę się - bąka zmieszany.

- Pa - unoszę rękę do ust.

Pamiętam, że to bardzo lubił. Zostawiam biedaka oszołomionego, z poczuciem winy.

Schodzimy z Tomkiem do „Natalii”. Takie same przeszklone drzwi i open space. Tyle, że zamiast raczej młodych kobiet pracują tu panie w wieku mojej matki.

- To jest właśnie nasza specjalistka od stylizacji - mówi Tomek i wycofuje się za szklane drzwi.

Kobieta około pięćdziesiątki odkłada plastikowy widelczyk, którym dziobie sałatkę i przypatruje się mojej sukience od Jil Sander. Sama ma na sobie bluzkę i spódnicę z wiskozy w nieokreślonych burych kolorach, cieliste rajstopy i buty na kaczuszcze. Nie wróży to

najlepiej.

- Chcemy wprowadzić nową rubrykę - mówi. - Dajemy zdjęcie gwiazdy lubianej przez czytelników, a potem kobietę podobną do niej ubieramy w polskie odpowiedniki. Tytuł: „Bądź swoją własną gwiazdą”. To jest tygodnik i zdjęcia muszą się ukazywać regularnie. Ubrania nie mogą być drogie, ponieważ nasze czytelniczki mieszczą się w przedziale ok. 200-1000 zł miesięcznie na jednego członka rodziny.

- Czy będę miała wpływ na dobór ubrań? - pytam.

- O to chodzi. - potwierdza moja nowa „szefowa”. - Gwiazdę i modelkę ja wybieram z agencji. A pani pożycza ubrania, stylizuje i maluje. Tomek robi zdjęcia. Pasuje?

- Pasuje - mówię. - Ile dostanę?

- Dwieście za numer - mówi. - Takie mamy stawki.

- To za mało - waham się.

- Netto - baba patrzy mi prosto w oczy. - Pracuje pani trzy godziny przez jeden dzień w tygodniu.

- To nie jest Danny de Vito - mówię patrząc w obrazek na ekranie jej komputera. To Joe Pesci.

Kobieta nie wydaje się zszokowana. Odkłada plastikowy widelec i podaje mi kartkę papieru.

- Napisz mi tu, jak się nazywa - mówi jakby nigdy nic.

Babo, właśnie uratowałam ci tyłek. Wypisuję nazwisko Jo-ego drukowanymi literami.

- Jesteś pewna? - pyta.

- Jestem - mówię. O ludzie! - Joe Pesci grał np. w obu „Kevinach”. Danny DeVito ze Schwarzeneggerem. Są trochę podobni, rzeczywiście...

- Podobno nie radzisz sobie z modelkami - słyszę.

Zastygam pełna oburzenia. Znów nie wiem co powiedzieć.

- Ale podobno masz oko do kolorów - ciągnie tamta. - Zobaczymy.

Nisko upadłam, wiem, myślę sobie piechotą wlokąc się do domu. Można na to spojrzeć jednak w inny sposób - jestem samodzielną stylistką. Pisma wyrrywają sobie mnie z rąk. Tworzę coś od początku, praktycznie bez ograniczeń. To wielkie wyzwanie. Ale ciężko mi samej w to uwierzyć. Znów nie mam ochoty na wyjście wieczorem. Jest piątek. Mogłabym pójść do Utopii. Wybieram rozmyślanie nad moim ciężkim losem.

Stan mojego konta przyprawia mnie o zawał serca. Będę musiała iść do banku. Żaden bankomat nie wypłaci mi 17 zł. W portfelu mam 12 zł, nie, 11 zł i 70 gr. Starczy na mrożony szpinak i spaghetti. Nawet na małą paczkę parmezanu. Mogę zrobić królewską kolację. Nawet

kogoś zaprosić. Tylko kogo? Rodziny nie mam (odganiając myśl o ojcu topiącym zapewne smutki w piwie w rodzinnym Błoniu), btf&t żyje swoim życiem. Przyjaciółek nie mam z wyboru. Boże strzeż. Słowem nikogo. Krzysztofa nie chciałabym dobrowolnie oglądać. Skrzypienie drewnianych schodów w mojej kamienicy nie działa na mnie już uspokajająco. Może będę musiała się wyprowadzić. Nie ma co czuć się bezpiecznie. Mijane drzwi na drugim piętrze otwierają się z cichym skrzypieniem.

- Marysiu - mówi do mnie pani Lodzia. - Marysiu, dziecko, dobrze, że cię widzę.

Pani Lodzia mówi do mnie „Marysiu”. Powiedziała jej kiedyś, że mam na imię Maria. Jest prawdopodobnie jedyną osobą w życiu, dla której zrobiłam coś bezinteresownie. Jakieś pół roku temu przechodziłam obok jej drzwi i zastanowiło mnie, dlaczego są uchylone. Do dziś dnia nie wiem co kazało mi przystanąć. Zamiast je ominąć i pójść do siebie na górę zdecydowałam się pchnąć te drzwi i zobaczyć czy coś się nie stało z sąsiadką, którą znałam z widzenia, ale nawet nie mówiłam „dzień dobry”. Leżała na korytarzyku, blisko telefonu, nieprzytomna. Nie wpadłam w panikę i nie wycofałam się do swojego domu. Sprawdziłam puls, przewróciłam ją na bok i zadzwoniłam na pogotowie. A potem, ignorując obrzydzenie, wyciągnęłam jej z ust sztuczną szczękę. Lekarz z pogotowia pogratulował mi fachowości i powiedział, że uratowałam jej życie. Miała zawał, niewielki i bez problemu udało się ją uratować. Gdyby jednak leżała tak dłużej nie wiadomo, czy zostałaby wśród żywych. W szpitalu naturalnie jej nie odwiedziłam, bez przesady. Ktoś musiał donieść jednak kobiecie, że coś dla niej zrobiłam, bo przyszła któregoś dnia do mnie do domu i przyniosła szarlotkę. Trochę wtedy nawet pogadałyśmy. Dowiedziałam się ciekawych rzeczy o sobie. Podobno widać, że jestem porządne, dobre dziecko, bo cicha, spokojna i nikogo nie sprowadzam. I od tamtej pory pani Lodzia ma oko na mieszkanie i w ogóle na mnie. Nie wtrąca się jednak, nie komentuje i nie zalega mi w domu. Czasem podrzuci coś do jedzenia, gołąbki na przykład, które bardzo lubię, czy kotleta, czym ratuje mnie od śmierci głodowej. Myślałam, że i tym razem chce mi dać coś do jedzenia. Najwyżej wsadzę szpinak do zamrażarki i zjem kiedy indziej.

- Marysiu kochana - mówi pani Lodzia nalewając mi herbaty. - Znajoma miałaby dobrą pracę dla ciebie.

- Ja mam pracę, pani Lodziu - mówię z odcieniem dumy, która robi dobre wrażenie n& starszej pani.

- Ja wiem, wiem, że ty pracowite dziecko jesteś i po tej agencji to łapiesz wszystko, co się da, ale to bardzo dobre zajęcie by było.

Sękata ręka dotyka mojego przedramienia. Wyblakłe oczy patrzą wprost w moje.

Cofam wzrok. Podnoszę filiżankę do ust.

- A co to za praca? - pytam.

- Znajomej córka poszukuje... - pani Lodzia waha się -...towarzyszki.

A to dobre. Udaję greka.

- A jakiego rodzaju ma być to towarzystwo? - mówię tonem grzecznej panienki.

- Bo widzisz - pani Lodzia zniża głos do szeptu. - Ona jest niewidoma i trzeba jej pomóc na co dzień.

Prawie krztuszę się herbatą.

- Pies przewodnik? - skupiam się na wyeliminowaniu sarkazmu w moim głosie.

- Ona się boi zwierząt - odpowiada poważnie pani Lodzia.

- Wykwalifikowana opiekunka dla niewidomych? - podsuwam dalej.

- Już miała - kiwa głową. - Ale ona by chciała osoby w jej wieku, z którą mogłaby porozmawiać. Bo ona wzrok straciła całkiem niedawno i nie może się przyzwycząić.

W to akurat wierzę, że trudno do czegoś takiego się przyzwycząić.

- Ja nie wiem czy dałabym radę - mówię niepewnie.

Nie mam najmniejszego zamiaru opiekować się niewidomą.

- Na pewno - zapewnia pani Lodzia. - Ty jesteś dobre dziecko, odpowiedzialne. Mogłabyś jej czytać z internetu, nastawiać książki do słuchania, rozmawiać z nią o tym. To bardzo dobra rodzina, wiesz, dobrze sytuowana.

- Na razie na pewno nie pani Lodziu, bo właśnie zaczęłam nową pracę. Ale popytam wśród koleżanek - obiecuję.

- Przemyśl to, kochana - nie ustępuje pani Lodzia.

Kobieta wpycha mi na odchodnym pizzę domowej roboty i kawałek sernika. Zjadam je w pizamie. Nie mam siły na nic.

Moja praca w „Natalii” jest jednym wielkim upokorzeniem. Od początku do końca. Od chwili, kiedy pierwszy raz jako stylistka przekraczam szklane drzwi. Z wielką torbą wypchaną ubraniami wpadam wprost na kobietę, z którą rozmawiałam ostatnim razem. Nie do wiary, ale ona znów je. Dziobie plastikowym widelcem kroieta. Obok stoi sałatka skąpana w majonezie.

- Modelka już czeka - mówi z pełnymi ustami.

Modelka ma być w stylu Grażynki z „Klanu”. Tyle, że Grażynka ma około czterdziestki, rozmiar 40 i jest całkiem, całkiem. W filmie ubiera się w ciasne spodnie i bluzki koszulowe, ewentualnie żakiety. Modelka ma na oko dziesięć lat więcej, plus jeden rozmiar i

cerę świadcząca o nadużywaniu tytoniu. Z Grażynki ma tylko fryzurę. Dobrze i to.

- Za ile przyjść? - Tomek wkłada głowę w szparę drzwi.

Za dwa miesiące. Tyle zajmie mi zrobienie z tej kobiety kogoś, kto nadaje się do sfotografowania.

- Za godzinę - mówię uśmiechając się do baby.

Na szczęście jest małomówna. Wzięli ją z agencji modelek do reklam. Reklamowała już proszek do prania i sos pomidorowy w telewizji. W pierwszym wystąpiła jako mama, w drugim jako ciocia. Ja bym ją przesunęła do kategorii młoda babcia. Wyjaśnia, że na co dzień pracuje z dziećmi w przedszkolu, na popołudnia, ale dorabia sobie w agencji. Najwięcej dochodów ma właśnie z takich zdjęć. Regularnie fotografuje się w gazetach jako matka kłócąca się z córką albo kochająca siostra, ilustrując rubryki typu „historie z życia wzięte”. Mam dwie pary spodni w rozmiarze 42. Wzięłam na wszelki wypadek. Pasują na nią. Z ciuchów, które przyniosłam, da się zrobić jakieś cztery zestawy. Reszta ubrań będzie za mała. Mam nadzieję, że da się wybrać chociaż jedno zdjęcie. Wzdycham robiąc makijaż. Po godzinie pani, nomen omen, Natalia wygląda jako tako.

- No, no - mówi Tomek włączając lampy. - Pani Natałko, umówi się pani ze mną?

Baba robi się czerwona jak burak i uśmiecha się do niego. Tomek robi zdjęcia. Ten to potrafi z ludźmi rozmawiać.

- Jak ona to robi, ta dziewczyna, że zamienia was w księżniczki? - kontynuuje nie przestając robić zdjęć.

Całuję je jak żaby, tyle że kosmetykami.

Idzie nam dość sprawnie. Natalia szybko się przebiera i nie grymasi. Nie jestem jednak zadowolona. Z Grażynką nie będzie to miało nic wspólnego. Trudno będzie przekonać kogokolwiek, że ta aktorka posłużyła jako przykład stylizacji. Po pięciu godzinach jestem wykończona. Nachmurzam się jeszcze bardziej, kiedy widzę wstępne zdjęcia. Te same nieciekawe ujęcia, podobne do tych z Agnieszką. Wydaje mi się, że zawierają podstawowe błędy. Nie takie światło, nawet ostrość nie jest dobra. W druku będzie wyglądać jeszcze gorzej. Tomek jest miły. Czuję do niego nawet sympatię, ale jako fotograf odpada całkowicie.

- Podobno pouczałaś Krystynę? - mówi, kiedy pakuję ubrania do torby. - Ona tego nie lubi.

Ma chyba na myśli tę wiecznie jedzącą babę. Z nikim innym tu nie rozmawiałam.

- Nie pouczałam jej - dziwię się.

- Podobno kazałaś jej zmienić podpis pod zdjęciem?

- Ach, to - macham ręką. - Pomyliła dwóch aktorów. Przypadkiem zauważyłam.

- Nie trzeba było nic mówić - upiera się.

- Nie wyglądała na zdenerwowaną - wkładam pożyczone torebki do osobnej torby.

- Ona się nie denerwuje - Tomek pakuje sprzęt. - Tylko z ciebie zrezygnuje. Jedna redaktorka poprawiła jej kiedyś błędy w tekście i nie przedłużono jej umowy.

- To chyba dobrze, jeśli ktoś wyłapie błąd - kończę pakowanie. - Takie błędy to kompromitacja dla pisma. To tak jakby napisała, że Leibovitz to facet. Mógłbyś to przemilczeć?

- W zasadzie biorąc pod uwagę wygląd Anne i to, że mieszka z kobietą, mógłbym się nawet zgodzić, że to facet.

Rozumiem aż nazbyt dobrze. Pismo jest szmatławcem, a czytelniczki kretynkami. Wszyscy którzy tu pracują są niekompetentni, ale siedzą cicho, ponieważ nie mają dokąd pójść. Następnym razem się nie odezwę, choćby napisała, że Demi Moore jest żoną Michaela Douglasa, a zdjęcie Michaiła Barysznikova podpisała jako Mischa Burton.

- Podwożę cię do centrum - mówi Tomek. - Nie będziesz sama musiała dźwigać torby z ubraniami.

Wielka szkoda, że nie ma pojęcia o fotografowaniu.

Jeśli myślałam, że Natalia a la Grażynka z „Klanu” to najgorsze co mogło mnie spotkać, to widać jeszcze nic nie wiem o życiu. Następna w kolejności jest Marta ze „Złotopolskich”.

Tym razem żądam zdjęć modelki z agencji. Tomek przesyła mi je na mój mail wraz z rozmiarami. To już lepiej. Usypia to moją czujność. Pożyczam same sukienki z zakietami, spódnice i falbaniaste bluzki. Kiedy „robiłam Grażynkę”, obejrzałam u pani Łodzi odcinek serialu. Złotopolskich już nie kręcą, ale pani Łodzia dokładnie opisała mi kim jest bohaterka, pod którą będą stylizacje. Przy okazji przypomniała mi, że ta praca u ślepej dziewczyny jest aktualna i poczęstowała zupą, co przyjąłam z wdzięcznością, bo pieniędzy do czasu wypłaty starczy mi na suchą bułkę, a i to nie codziennie.

Sobowtór Marty Złotopolskiej jest złośliwą kobietą, która ma tak owłosione nogi, że nie możemy włożyć spódnic do kolan. Prawie siłą powstrzymuję się od uwag na ten temat. Przecież to obrzydliwe. W dodatku włosy ma wprawdzie rude, ale to kolor pomarańczy, wyjątkowo nietwarzowy. Pomijam wypalone końcówki i resztki trwałe. Kiedy próbuję ją uczesać, krzyczy w wniebogłosy i wychodzi z sesji. Ręce mi opadają. Niezawodny Tomek wybiega za nią i jakoś przekonuje do powrotu. Mnie ręce się trzęsą przy makijażu.

- Pani Anielko, proszę się do nas uśmiechnąć!

Ten facet jest jakiś nawiedzony. Może był wychowywany przez dwie babcie i trzy

ciotki. Może jego żona jest starsza o dziesięć lat? Zachowuje się, jakby uwielbiał tę pracę i „modelki” z reklam protez zębowych.

- Wyluzuj, kobieto - mówi do mnie po sesji.

- Ja cię nie rozumiem - mówię, nawet nie spoglądając na zrobione zdjęcia. I tak będą fatalne. - Płaszczysz się przed tymi babami, jakby były top modelkami. A one zachowują się, jakby dziesięciu stylistów i sztab fotografów stał za ich drzwiami. Tymczasem...

- Tymczasem są starymi brzydkimi babami, które ty musisz malować i ubierać - kończy Tomek. - A one nie doceniają twoich wysiłków.

- Nie doceniają - potwierdzam.

- Wiesz co? - mówi. - Patrzysz na wszystkich z góry. Czujesz się lepsza, ładniejsza, lepiej ubrana. Taka praca cię zwyczajnie upokarza. Co ty masz do tych kobiet? Matka cię nie kochała czy co?

- Żebyś wiedział!

Nie ma racji, absolutnie nie ma racji. To nie moja wina, tylko tych bab.

- Rany - mityguje się nagle. - Przepraszam. Nie chciałem. No... nie wiem co powiedzieć.

- Podwieź mnie lepiej do centrum - mówię i odwracam się biorąc torbę z pożyczonymi na sesję ubraniami. Nienawidzę jak ktoś wspomina o mnie i matce. Zwłaszcza obcy.

W samochodzie nie odzywam się do niego. Kiwam głową, kiedy proponuje, że zaczeka na mnie pod sklepem i odwiezie potem do domu. Wychodzę nie żegnając się, z paluszkami z makiem - znalezionymi w schowku po stronie pasażera - w rękę.

Kolejne sesje zdjęciowe upływają nam w milczeniu. Odkrywam, że im mniej się odzywam, tym lepiej wychodzi mi stylizowanie. Możliwe też, że panie, które mają być ubrane jak Brooke z „Mody na sukces” i doktor Zosia z „Na dobre i na złe” mają za sobą więcej doświadczeń jako fotomodelki. Doktor Zosia alias Marzena Wyraża nawet zachwyt nad zaproponowanymi ubraniami i wykonanym makijażem. Zostawia mi numer telefonu gorąco namawiając, żebym uczesała i umalowała jej siostrę do ślubu. Z Tomkiem nie odzywamy się do siebie, co odczuwam boleśnie, ponieważ sama muszę odwozić ubrania do sklepów.

Pierwszy numer „Natalii” z moją sesją kupuję w kiosku. Nie spodziewam się wiele. Pamiętam jak wyglądały zdjęcia. Żadne nie nadaje się do portfolio. W gazecie wygląda to jeszcze gorzej niż na ekranie komputera. Sztywno wyprostowana Natalia - Grażynka wygląda jak sprana. Obok na białym tle poustawiane proponowane ubrania, z ceną i adresem sklepu. Wszystko wygląda tanio i żałośnie. Jak ja się ludziom na oczy pokażę? Jeśli obejrzy to ktoś z

„Mody” to będę naprawdę skończona. Szukam swojego nazwiska pod zdjęciami. Nie ma ani mnie, ani Tomka. Nawet inicjałów. Przeglądam cały szmatławiec. Nie ma mnie w stopce redakcyjnej pod działem „współpracownicy”. Jest tylko Tomek, jako stale współpracujący. Rzucam gazetą. Łąduje na podłodze otwarta na stronie „Zagraniczne gwiazdy”. Już mam ją zgnieść i wyrzucić do kosza, kiedy widzę zdjęcie Joe’go Pesci podpisanego jako Danny de Vito. A to zołza.

Następnego dnia sekretarka redakcji powiadamia mnie, że więcej sesji nie będzie. Nie uzyskały akceptacji redaktor naczelnej. Podsumowując - kolejna porażka. Klęska właściwie. Nie chcą mnie nawet w szmatławcu. Jedyne co mnie trzyma przy życiu, to myśl o pieniądzach za tę pracę. Jeśli będę oszczędna, starczy na jakiś czas. Może uda się tymczasem znaleźć coś innego?

Chce mi się wyć. Ze stanu konta wynika, że dostałam po 200 złotych za sesje dla „Natalii”, ale brutto. A gwiazdorski zarobek w „Moim dzidziusiu” wyniósł 150 złotych, netto. Jestem wściekła. Mam ochotę pojechać do redakcji, złapać tego tatu-sia-lalusia i strzelić go w twarz. Tak mnie upokorzyć. Wściekłość zalewa mi mózg. Mam ochotę rozwalić bankomat, bank i wszystko po drodze. Przez głowę przebiega mi tysiąc myśli. Jestem w centrum, bardzo blisko redakcji. Decyzję podejmuję błyskawicznie. Wyciągam reklamówkę z torebki i wchodzę na trawnik. Znalezienie psiej kupy jest kwestią dwóch minut. Pakuje ją w reklamówkę, dla pewności wyciągam jeszcze jedną torebkę. Mam jeszcze przepustkę. Wejść do redakcji i zostawię mu taki prezent na biurku. Właściwie to mała kara dla niego. Obcuje z kupą Nicolo na co dzień. Wyobrażam sobie, że wszyscy pracownicy „Małego dzidziusia” wprost uwielbiają ekskrementy. Korzystam ze służbowej przepustki. Na recepcji mówię, że chcę coś zostawić w redakcji. Wpisuję się do książki z imienia i nazwiska, przedstawiam dowód. Chcę, żeby Maciuś wiedział, że prezent jest ode mnie. Wypadam z windy i staję jak wryta. Większość świateł jest pogaszona. Nad jednym biurkiem pali się światło. Znajome plecy pochylają się nad komputerem. Za późno, żeby się wycofać.

- Lenka? - odwraca się Maciek zaskoczony. - A co ty tu robisz?

Przyszłam rozmazać ci psią kupę na biurku, ponieważ myślałam, że będę tu miała ciepłą posadkę albo trampolinę do dalszych sukcesów na polu stylizacji. Tymczasem namęczyłam się za grosze i zostałam poniżona najpierw przez mamuszkę z od-rostami, potem niewychowane dziecko, a na końcu tłustą babę ubraną w ciuchy z bazaru. Ale ty byłeś pierwszy. To twoja wina.

Stoję jak głupia i nie wiem co zrobić. Rozpaczliwie staram się coś wymyślić.

- Zapomniałaś czegoś? - pyta z tym swoim łagodnym spojrzeniem.

- Dlaczego nie jesteś w domu o tej porze?

A co on tu jeszcze robi? Jest po ósmej. Czy nie powinien kąpać dziecka, albo masować żonie stóp?

- Zona ma żal, że za dużo pracuję - spuszcza głowę.

Dostrzegam sprzeczność w tym co mówi. Robię krok w przód.

- Biedaku - mówię. - Ciężko pracujesz. Bardzo ciężko. Zarządzam przerwę. M&że napijemy się herbaty?

Odrywa się od komputera z wyraźną ulgą. Idę za nim do kuchenki. W drzwiach niechcący wpadam mu na plecy. Ocieram się o niego delikatnie. To pierwszy krok. Jeśli dobrze to rozegram to nigdy mnie nie zapomni.

- Trzeba poprawiać po wszystkich, wiesz? - mówi wstawiając wodę na herbatę.

- Ale to musisz być ty? - pytam słodko. Dobra, kochana, wszystko rozumiejąca Lenka.

- Wypijmy tutaj - mówię wskazując kanapę.

Chwila wahania przekonuje mnie, że mam go w garści. Siada pierwszy. Daje mi to możliwość zajęcia miejsca bardzo blisko niego. Stykamy się ramionami i nogami. Wzdycham wolno i głośno.

- Stało się coś? - mówi.

- Takie tam, nieważne - mówię cicho. - Zaraz sobie pójdę, tylko chciałam chwilę posiedzieć w miejscu, w którym było mi dobrze.

Poklepuje mnie po rękę. Chwytam tę rękę i przyciskam sobie do policzka. Kładę mu głowę na ramieniu. Sztywnieje lekko, ale się nie odsuwa. Chlipię cicho a on mnie obejmuje delikatnie, po przyjacielsku. Przyciskam teraz głowę do jego piersi. Czuję, że serce mocno mu bije. A więc go mam. Przyciskam się cała do niego i chlipię na całego. Najwyraźniej przerażony głaszcząc mnie po włosach.

- Wszystko będzie dobrze - powtarza. - Ja też, wiesz, nie zawsze jestem...

- Ale ty się nie gubisz w życiu - patrzę na niego sarnimi oczami. - Zawsze wiesz jak postąpić.

- No, nie zawsze - mówi. - Teraz na przykład nie wiem...

Wiesz, wiesz, myślę głaszcząc go po twarzy. Wy zawsze wiecie, co się w takiej sytuacji robi. Przybliżam twarz do jego twarzy. Całuję go bardzo delikatnie, samymi wargami. Zamykam oczy i powtarzam pocałunek. Tym razem trochę mocniej. Moment zaskoczenia jest krótki. Po chwili oddaje pocałunki. Ręce trzyma na moich piersiach. Uważam, żeby go nie spłoszyć. Wpycham mu język do ust, ale delikatnie, na sam brzeg,

wodzę nim po wewnętrznej części warg. Jęczy. Ściągam sweter i zostaję w samej sukience. Kolanem napieram na pęczniejące w kroku spodnie.

- Lenka, nie możemy - jęczy w moich ustach.

Nie odrywam od niego warg i rąk. Rozpinam mu pasek i guzik spodni. Uwalniam rękę, którą trzyma w ustach. Unosi się, żeby mi ułatwić ściągnięcie spodni. Jeśli teraz nie odskoczy i nie uwolni się ode mnie, to nie zrobi tego nigdy. Podnosi ręce, ale obejmuje mnie i przyciska mocno do siebie. Pozwalam się całować i wsadzić rękę za majtki. Wchodzi palcami do środka. Nie jestem sucha, zaskakuje go to chyba. No dalej, zdejmij je, ponaglę w myślach. Wejdę w niego siedząc mu na kolanach. Odchylam głowę do tyłu przysmykając powieki. Czuję, że unosi mnie do góry i kładzie płasko na tapczanie. Trzymam go nogami, na wszelki wypadek. Ma zsunięte spodnie i bawełniane majtki. Chce je zdjąć do końca. Nie pozwalam. Sięgam do majtek, ale on klęka przede mną. Wygląda komicznie z tymi spuszczonej spodniami i rozchełstaną koszulą. Ściąga mi stringi powoli patrząc na mnie. Aha, to on będzie rządził. Zagłębia twarz w moim podbrzuszu i językiem toruje sobie drogę. Jest mi dobrze. Ileż on się nauczył od czasu szybkich pocałunków na kanapie babci. Podnosi mnie i wsuwa poduszkę pod tyłek. To dobre posunięcie. Całuje mnie bardzo mocno, prawie miażdżąc moje wargi. Wchodzi za to delikatnie. Dochodzi szybko, ale ja też jestem, o dziwo, podniecona. Muszę udawać, ale tylko trochę. Odgrywam ekstazę w wersji romantycznej. Ale najlepsze dzieje się na koniec. Opada na mnie ciężko i dyszy mi w twarz.

- O Boże, co my zrobiliśmy.

My? Co ty zrobiłeś, kochany? Ja jestem dorosła i wolna. Ty masz żonę i dziecko. W chwili słabości zdradziłeś ją, a teraz będzie się to za tobą ciągnęło jeszcze bardzo długo. I będziesz musiał z tym żyć.

- Nic złego nie zrobiliśmy - mówię. - Nie jesteś mi obcy.

- O Boże - powtarza nie wychodząc ze mnie.

I wtedy drzwi się otwierają. Staje w nich kobieta z wózkiem do sprzątania. Najpierw jest zaskoczona. Unoszę głowę, żeby mi się dobrze przyjrzała. Bo plecy wicenaczelnego to chyba dobrze zna. Zresztą nie ma wątpliwości z kim jestem, ponieważ Maciek unosi głowę i spogląda wprost na sprzątaczkę. Kobieta jest najwyraźniej przerażona. Nie widzę jej wyraźnie. Stoi w ciemnym korytarzu, a my w oświetlonej kuchence. Wycofuje się trzaskając drzwiami.

- No to koniec - mruczy Maciek.

- Ona nikomu nie powie - mówię w przekonaniu, że sprzątaczką natychmiast opowie wszystkim, co widziała.

- O Boże - powtarza jak mantrę.

Psia kupa tkwi w dwóch foliówkach w mojej torebce. Torebka jest od Betty Barclay. Martwi mnie tylko to, czy przypadkiem jednak zapach nie przeszedł. Na szczęście nie, sprawdzam, jak tylko zostaję sama. Wychodząc kiwam głową ochroniarzowi w recepcji. Kupę wyrzucam do śmietnika w hallu wydawnictwa.

MARIA

Alina żyje. Jestem tego pewna. Widziałam ją wczoraj. Tak wyraźnie, że po pierwszym szoku krzyknęłam za nią po imieniu. A ona spłoszyła się i pobiegła przed siebie. Gdybym od razu ruszyła za nią, na pewno bym ją dogoniła. Ale ja stałam przez kilka sekund, zupełnie zaskoczona na środku pasów, aż światła się zmieniły i samochody zaczęły na mnie trąbić. Ten moment zaskoczenia i strata cennych sekund na zejście z ulicy pozbawiły mnie możliwości dogonienia Aliny. W oszołomieniu przeszłam na drugą stronę jezdni. Żeby ją dogonić musiałabym zawrócić. Stojąc uwięziona na czerwonym świetle przeklinałam brak refleksu. Alina zginęła pięć lat temu w wypadku. Byłam na jej pogrzebie i oplakiwałam ją razem z jej rodziną, a potem sama - bardzo długo. Moja najlepsza przyjaciółka, na którą zawsze mogłam liczyć, o której wiedziałam wszystko i która wszystko wiedziała o mnie. A teraz straciłam ją po raz drugi. Zniknęła za rogiem szarego budynku i więcej jej nie widziałam. Kiedy światła się zmieniły i pokonałam truchtem śliską ulicę, skręciłam za ten sam róg, już jej tam nie było. Kluczyłam potem po uliczkach Pragi, ale na próżno. Na Pradze znalazłam się zupełnie przypadkiem. Robiłam reportaż do gazety, w której pracuję. Normalnie nigdy tu nie bywam. Byłam zresztą zła, że musiałam tu jechać i to robić. Rozmawiałam z rodziną, która w wyniku zaccadzenia straciła bliskich. Taką mam teraz pracę. Rozmowa z panią Franciszką (1. 61), która przez bezdusznych urzędników straciła córkę (1. 33) i zięcia (1. 36). Na szczęście dzieci (1. 7, 9 i 12) nie ucierpiały, ponieważ właśnie przebywały u babci w mieszkaniu obok. Stara kamienica na Pradze wymagała remontu, albo chociaż przejrzenia urządzeń wentylacyjnych i naprawy piecyków. Wielokrotnie to zgłaszano, ale Urząd Dzielnicy milczał, aż wreszcie stała się tragedia. I ja pytam w artykule, czy tej tragedii można było zapobiec. Rozmowa z panią Franciszką tylko mnie przygnębiła. Kobięcina sterana życiem, głównie płakała i martwiła się kto teraz utrzyma wnuki. Jej mąż wymagał chyba jakichś badań, bo kilkakrotnie zasypiał podczas rozmowy. Napomknęłam nawet coś na ten temat, ale kobieta wychlipała, że on tak ma od bardzo dawna i to taka uroda. Nie odezwałam się więcej na ten temat. Uroda tego pana była dla mnie dość dyskusyjna. Artykuł musiał być ckliwy, pełen oburzenia w stosunku do winnych i współczucia dla niewinnych. Obowiązkowo kończył się pytaniem, czy teraz urząd wspomůže finansowo osierocone dzieci i zapewnieniem, że gazeta przyjrzy się temu na pewno. Tak, tak, będziemy informować czytelników. Artykuł miał się ukazać następnego dnia, nie miałam więc wiele czasu. Powinnam była natychmiast udać się do domu i sklejać te brednie, razem ze zdjęciami feralnego piecyka, grobu rodziców i zapłakanych babci, dziadka i wnuczków. Powinnam dopasowywać zdjęcia zamiast kluczyć po Pradze i wypatrywać Aliny.

Zdjęcia były znakiem rozpoznawczym naszego pisma. Jeśli pisałam o tym, że Zbigniew Z. zamordował podczas libacji alkoholowej Halinę K., to nie wspominałam, że Halina K. ochoczo brała udział w picu razem z konkubentem. Raczej pisałam, że miała nadzieję, iż towarzysz jej życia i ojciec dzieci opamięta się i zacznie dbać o rodzinę. Zdjęcia musiały być ilustracyjne, to znaczy zakrwawiony nóż, grób nieszczęsnej, rodzina pozostała przy życiu siedząca na wyliniącej kanapie. Obowiązkowo dzieci, najlepiej w strojach od pierwszej komunii świętej. Czytelnicy z najmniejszych miast Polski mieli wierzyć, że oni nie mają aż tak źle w życiu, jak wspomniana Halina zadżgana nożem czy inna Wiesława wyrzucona przez konkubenta pijaka przez okno. Artykuły były pisane na jedno kopyto, zmieniała się tylko ilustracja, zamiast zakrwawionego noża dawaliśmy zdjęcie okna, z którego ktoś wyskoczył, albo piecyk, który się zepsuł. Czasami dochodziło do absurdów, kiedy gazeta zamieszczała zdjęcie zakrwawionego okna z którego ktoś „tylko” wypadł albo obraz pokoju w którym doszło do krwawej libacji - idealnie wysprzątny. Czytelnicy łykali to jednak i mieliśmy ku zadowoleniu szefa najwyższy nakład spośród gazet codziennych w kraju.

Aliny nigdzie nie było i zaczęłam się zastanawiać czy to naprawdę była ona. Ta kobieta nie była do niej tak bardzo podobna. Alina była piękna, wysoka, z czarnymi włosami, o smukłej sylwetce i zamaszystych ruchach, zdradzających pewność siebie. Zawsze świetnie ubrana, pogardzająca tymi kobietami, które nie miały co na siebie włożyć, albo wciągały rzeczy dopasowane do pogody i okoliczności. Jediną osobą, co do której miała pobleżanie w tej kwestii, byłam ja. Do mnie mówiła, że taka dziennikarka, taka brzytwa i ostre pióro, ma prawo ubierać się byle jak, bo i tak wszyscy uciekną gdzie pieprz rośnie, jak tylko się odezwę. Reszta tych tuzinkowych i białych panieś ma obowiązek dbać o siebie, żeby nie przykuwać uwagi otoczenia. Cała Alina. Czy to naprawdę mogła być ona? Kobieta, którą minęłam na pasach, była zgarbiona, ubrana w niemodny płaszcz i rozczłapane, wygodne buty. Siwe, byle jak ścięte włosy sterczały na wszystkie strony. Poznałam ją po ustach i oczach. Zwłaszcza po oczach. Te miała zawsze hipnotyzujące. Przesuwała wzrokiem po pacjentach, znajomych i własnych dzieciach w bardzo charakterystyczny sposób. Przeciągała wzrokiem jak skaner od dołu do góry, a potem robiła niezrozumiałą minę. Mina miała wyrażać ocenę takiego taksowania i lepiej było na jej twarzy zobaczyć uśmiech niż skrzywienie. A już nie daj Bóg kręcenie głową. To eliminowało znajomego z kręgu zaufanych, a w przypadku pacjenta oznaczało, że albo sam jest winien chorobie albo zwyczajnie kłamie. Zauważyłam, że kobieta, którą mijalam, w taki właśnie sposób spojrzała na matkę ciągnącą wrywające się i krzyczące w niebogłose dziecko przez ulicę. Przeskanowała ją wzrokiem, a potem skrzywiła się. I

jeszcze ta reakcja na moje wołanie. Jeśli byłaby to osoba tylko podobna do Aliny, to przecież nie uciekałaby. Poczłapałaby po prostu dalej. A ta odwróciła się odruchowo, na ułamek sekundy, a potem wyprostowała się i zaczęła biec przed siebie.

Ostatnią rzeczą, na którą miałam ochotę, był powrót do domu i sklejanie artykułu na jutro, ale nie było rady. Wydostałam się jakoś z tej Pragi i pojechałam na Powiśle, gdzie mieszkałam w kawalerce zagraconej książkami i seriami czasopism. Byłam tak oszołomiona, że zapomniałam kupić Mruczkowi jedzenie. Musiałam po wejściu do domu jeszcze raz zejść do sklepu i nabyć co trzeba. W końcu ten kot to była najbliższa mi istota. Dzieci nie miałam, a były mąż ma już drugą rodzinę. Nie kontaktujemy się ze sobą. Kot zaczął jeść mięso z puszki, a ja nie wiedziałam co o tym wszystkim myśleć. Sama nie byłam głodna. Otworzyłam laptop i ściągnęłam zdjęcia, które redakcja przygotowała dla mnie. Oczywiście piecyk ze śladem spalenizny, żeby łatwiej zilustrować, że to właśnie z piecyka wypływał trujący gaz. Drugie przedstawiało parę na ślubnym kobiercu z komentarzem, że byli szczęśliwym małżeństwem i mieli troje dzieci. Trzecie zdjęcie przedstawiało te dzieci. Na szczęście nie było to zdjęcie z Komunii Świętej, tylko zrobione przez naszego fotografa. Zawsze zastanawiałam się, dlaczego ludzie godzą się na pokazywanie bliskich w gazetach. Ja za nic bym nie chciała, żeby moi bliscy byli opisani w jakiejś gazecie w artykule o nieszczęściu, jakie ich spotkało. Dzieci na zdjęciu były zbite w gromadkę i miały smutne buzie. Ostatnie zdjęcie było najgorsze. Przedstawiało dziadków siedzących przy stole w kuchni, przy czym pani Franciszka w jednej ręce miała otwarty portfel a drugą trzymała się za czoło. Pan Wiesław patrzył tępo przed siebie. Komentarz pod zdjęciem brzmiał: „Jak utrzymamy teraz nasze wnuki?”. Obrzydliwość, ale bardzo po linii naszej gazety.

Skleciłam ten artykuł mając świadomość, że to najgorszy tekst w moim życiu, rojący się od błędów gramatycznych, czego ani redaktorzy, ani korekta pewnie nie zauważą. Nie mogłam skupić się na artykule, ponieważ myślałam o Alinie. Docierało do mnie powoli, co widziałam i jakie to może mieć konsekwencje dla wszystkich.

Kiedy zrozumiałam, że jej nie dogonię, najpierw miałam ochotę kopać w ścianę odrapanej kamienicy, przy której stałam, a potem zrozumiałam, że to może dobrze, że się nie spotkałyśmy. Bo zasadnicze pytanie, jakie mogłam postawić jako jej przyjaciółka i chrzestna jej córki brzmiało: Alina, dlaczego u diabła, udajesz, że nie żyjesz?

LENA

- To dobrze, kochana, że się zdecydowałaś - mówi pani Łodzią dwa tygodnie później.
- Tak, tak, jeszcze aktualne.

Mowa o pracy u niewidomej dziewczyny. Jestem w desperacji. Pieniądze z sesji wydałam prawie natychmiast. Już mówiłam, że nie umiem oszczędzać. Na czym tu zresztą oszczędzić? W dzisiejszych czasach 700 zł to jakby nic. Musiałam zapłacić za komórkę, kupić trochę jedzenia. Ostatnie 300 złotych trzymam na czarną godzinę. Zarobiłam, malując do ślubu siostrę Marzeny, tej od sesji a la doktor Zosia z „Natalii”. Kolejne ciężko zarobione pieniądze. Siostra okazała się pozbawioną gustu kobietą, której prawie nie było widać spod sukni z tiulu, koronek i szyfonu. Oczekiwała ode mnie ciężkiego makijażu i fryzury lepiałej się od lakieru. Pierwszy makijaż ją rozczarował, chociaż według mnie wyglądała najlepiej jak tylko można. Powiedziała mi, żebym „obrysowała” to wszystko, ponieważ nie widać, że jest umalowana. Oczywiście było widać, tyle, że nie z odległości stu metrów. Ale nie walczyłam. Narysowałam jej eyelinerem czarne krechy, dodałam błękitny cień i róż na policzkach. Wargi pociągnęłam purpurą. Wyglądała jak z kiepskiej telenoweli. Najwyraźniej jednak była wreszcie zadowolona. Nakręcone wcześniej loki dodatkowo utapirowałam, zebrałam na czubku głowy w wielki kok i polakierowałam, nie zapominając uprzednio pozostawić jednego wijącego się wokół twarzy pasma. Siostra Marzeny obejrzała się krytycznie w lustrze i powiedziała, że będzie mnie polecała przyjaciółkom, bo znam się na rzeczy. Trzy zarobione setki postanowiłam schować głęboko i kiedy odzyskam płynność finansową, upić się za nie do nieprzytomności. Kolejnym krokiem do całkowitego pogiębienia była wizyta Krzyśka, który zapowiedział się na piątek wieczór. Postanowiłam kuć żelazo póki gorące i naciągnąć go jeszcze na kilka miesięcy całkowitego sponsorowania. W tym celu wyciągnęłam z zamrażarki szpinak i zrobiłam spaghetti. Zaczęło się dobrze. Najwyraźniej był zadowolony. Przyniósł jakieś białe wino i był rozluźniony. Opowiadał o swoich sukcesach w firmie, że jest typowany do awansu, że zmienia samochód i takie tam. Wyglądało na to, że taki człowiek sukcesu da się naciągnąć na płacenie za mnie czynszu przez kilka miesięcy, zanim wreszcie ktoś się na mnie pozna i będę samowystarczalna. Wiedziałam, że będę się musiała z nim przespać. Specjalnie mi to nie przeszkadzało. Krzysiek jest dobry w łóżku, a ja potrzebuję od czasu do czasu poczuć coś w sobie. Pierwsza rysa pojawiła się, kiedy powiedział, że zostaje na cały weekend. Żonie skłamał, że ma wyjazd służbowy. Zamierzał spędzić ze mną ten czas w łóżku. Westchnęłam i wyceniłam ten weekend na pół roku odpłatności. Zgodził się na trzy miesiące. Dobre i to. Zaraz po kolacji zaciągnął mnie do łóżka. Pierwszy raz było bardzo

miło, ale on nie miał dość. O drugiej w nocy odepchnęłam go wreszcie i odwróciłam się na drugi bok. Wytrzymał do rana. Na szczęście wstał wcześniej i poszedł biegać. Jak wrócił, wziął prysznic i wyszedł zrobić zakupy. Usmażył nawet jajecznicę. Potem położył mnie na stole i uroczo pieścił przez prawie godzinę. I znów zaciągnął do łóżka. Po południu wciąż miałam nieumyte zęby po śniadaniu, włosy związane na czubku głowy, byłam nieubrana, bez makijażu i czułam nadciągającą wściekłość.

- Dostaniesz zawału od tej Viagry - wycodziłam przez zaciśnięte zęby.

- Też byś mogła coś zażyć, bo schniesz jak żaba wyjęta z wody - odparował.

Wieczorem zaczęłam się opierać. Namawiałam go na wyjście do klubu, albo chociaż spacer. Wybraliśmy Utopię. I to była druga porażka, bo spotkałam tam Pasikonika. Pasikonik zauważył mnie natychmiast. W podskokach podbiegł do nas zwracając uwagę, co zrozumiałe, wyłącznie na Krzysztofa. Ślinił się do niego i kołysał biodrami jakby nie czuł, że ma do czynienia z hetero. Zaczynałam żałować, że przepuścił nas bramkarz i cisnęły mnie buty na 10-centymetrowym obcasie. Piekło mnie w kroczu i czułam się fatalnie. Pasikonik oczywiście najpierw zrobił aluzję do mojego zwolnienia, a po trzech drinkach opowiedział ze szczegółami, dlaczego straciłam pracę. Krzysio zaśmiewał się do łez i patrzył na mnie znacząco zamglonymi oczami. Na nieszczęście spódnicę bombkę, o której była mowa, miałam na sobie wczoraj podczas kolacji.

Wyciągnęłam go z klubu o trzeciej nad ranem. Był już niezłe pijany. Nie chciał zadzwonić po taksówkę. Wlokłam go kilkaset metrów do najbliższego postoju przy rotundzie, przeklinając obcasy i modląc się, żeby ktoś stał na postoj. Taryfa nocna kosztowała prawie 50 złotych, za co musiałam zapłacić sama, ponieważ Krzysio stwierdził, że wydał wszystkie pieniądze, które miał przy sobie. W taksówce czulił się do mnie dysząc mi do ucha: „To taka z ciebie niegrzeczna dziewczynka?”. Zapłaciłam ostatnimi pieniędzmi i zaklinając go na wszystko, żeby był cicho, z trudem wciągnęłam na górę. Prawie zemdlałam, kiedy zobaczyłam, że zażywa kolejną Viagrę. Próbowałam go przekonać do położenia się, ale najwyraźniej postanowił, że w ten weekend pobije wszelkie rekordy w częstości uprawiania seksu.

- Nie zdejmuj obcasów - zarządził, widząc jak zrzucam buty.

- Chodźmy spać, proszę cię - czyżbym wypowiedziała te słowa wobec takiego drania?

- Pójdziemy, pójdziemy... - mamrotał. - Ale najpierw tatuś ci da klapsa. Byłaś taka niegrzeczna...

I wtedy to nastąpiło. Przyciągnął mnie gwałtownie do siebie dysząc alkoholem. Zachwiałam się na obcasach. Patrzył na mnie jakby mnie widział pierwszy raz w życiu.

- Jesteś zwykłą złodziejką - powiedział ze zdziwieniem. - I dziwką.

Uderzył mnie w twarz. Nie bardzo mocno, ale odrzuciło mi głowę do tyłu i potknęłam się o brzeg dywanu. Złapał mnie, zanim upadłam. Zaczęliśmy się siłować. Chyba mu o to chodziło, bo wykręcił mi ręce i zmusił do ukłęknięcia. Myślałam, że wepchnie mi do ust, ale widocznie bał się, że mu odgryzę, więc szarpał mnie za włosy mruczając, że jestem dziwką i złodziejką. Wszystko odbywało się bardzo szybko, ale jednocześnie jakbym widziała co się dzieje z dystansu. Jakbym wyszła ze swojego ciała. Kiedy puścił moje włosy, wstałam myśląc, że może uda mi się uciec do łazienki. Widocznie przewidział to wszystko, bo szarpnął za dekolt sukienki. Cienki szyfon puścił. Odwrócił mnie i pchnął na stół. Brzeg stołu wrzynał mi się w brzuch. Czułam szarpnięcie sukienki do góry i trzask rozrywanego materiału. Trzymał mnie mocno za kark, nie mogłam się ruszyć. Wszedł, brutalnie klnąc i szarpiąc mnie za włosy. Viagra zrobiła swoje. Strasznie długo to trwało.

Kiedy wreszcie skończył i puścił mój kark, powlokłam się do łazienki. Serce mi waliło, ciało bolało od otarć i upokorzenia. Umyłam się letnią wodą, dokładnie pokryłam ciało kremem. Siedziałam w łazience godzinę ignorując najpierw stanowcze pukanie i szarpanie klamki, a potem skamlanie pod drzwiami. Wyszłam, kiedy zrobiło się cicho. Leżał w łóżku całkiem goły i spał głośno chrapiąc. Delikatnie usiadłam na łóżku blisko niego. Komórką zrobiłam kilka zdjęć. Ujęcia pod różnym kątem pokazywały jego twarz, nabrzmiałe wciąż jeszcze przyrodzenie i moje nagie piersi. Mimo trzęsących się rąk i przerażenia, że się zbudzi i zacznie zabawę od początku, zdjęcia wyszły całkiem ostre. Nawet lepsze, niż zrobiłby Tomek. Do rana drzemałam w zamkniętej łazience. Kiedy zapukał w końcu do drzwi, wyraziłam tylko nadzieję, że sobie szybko pójdzie. Uderzył pięścią w drzwi łazienki i powiedział, że jestem niewdzięczna, a z naszą umową koniec. Potem wyszedł wreszcie, a ja bałam się, że stoi za drzwiami i zechce wejść, jak tylko wyjdę z kryjówki. W końcu odważyłam się. Zamknęłam drzwi na klucz i zaciągnęłam łańcuch. Poruszałam się jak automat. Nie mogłam chodzić, wszystko mnie w środku bolało. Pod prawym o kim, tam, gdzie uderzył mnie w twarz miałam zaczerwienienie i opuchliznę. Po drugiej stronie miałam otarcia od szorowania twarzą po stole. Na szyi wyraźne zaczerwienienia. Najgorsza i najbardziej bolesna była pręga na podbrzuszu, miejsce, gdzie wrzynał się kant stołu. Niektóre otarcia krwawiły. Podniosłam sukienkę z podłogi. Czerwony szyfon był rozdarty w kilku miejscach, nie do naprawienia. Sprzątnęłam kuchnię, zmieniłam pościel i zwinęłam się w kłębek we flanelowej piżamie. Kiedy wstałam osiem godzin później, był już wieczór. Wyglądałam jeszcze gorzej, ale pochwa paliła mnie nieco mniej, po tym, jak włożyłam do środka trzy kapsułki bakterii mlekowych.

Wykręciłam numer do Krzyśka. Odebrał po pierwszym połączeniu.

- Zaczekaj, stary - usłyszałam. - Wyjdę na balkon, bo mała śpi.

A więc jest w domu.

- Dlaczego dzwonisz do domu? - zapytał wściekłym tonem po jakiejś minucie. - Koniec z nami, słyszysz? Do końca tygodnia wyprowadzasz się ode mnie. Wyrażam się jasno, dziwko?

- Wyrażasz się jasno - mówię. - Ja się też wyrażę jasno.

Nabieram powietrza. Głos mam trochę schrypnięty po ściskaniu za szyję.

- Zrobiłam nam zdjęcie. Kilka zdjęć właściwie. Ani twoja żona ani szef nie będą mieli wątpliwości, że to ty.

Wyobrażam sobie, że z trudem dociera do niego to, co mówię.

- Nie odważysz się, kurwo - dyszy.

- Odważę się - mówię.

On wie, że stać mnie na coś takiego.

- Warunki mam takie - kontynuuję. - Płacisz za mieszkanie do odwołania. Nie odwiedzasz mnie więcej. Jeśli zobaczę cię w pobliżu mieszkania, albo spróbujesz się do mnie zbliżyć, zrobię użytek z tych zdjęć.

- Nie masz żadnych zdjęć - dyszy dalej.

- Na wszelki wypadek, gdyby zginęła mi komórka, mam je w laptopie i u dwóch niezależnych osób. Jedna z nich to twoja znajoma, chyba z dawnej klasy. Poznałyśmy się kiedyś. Myślisz, że będzie dyskretna?

To nieprawda, nie mam takiej znajomej, ani żadnej innej zaufanej osoby, żeby przesłać takie zdjęcia. Ale on nie musi tego wiedzieć.

- Ty kurwo - chrypi.

- Powtarzasz się.

Rozłączam się i wysyłam mu jedną z fotek. Ponownie zwijam się w kłębek w łóżku i przesypiam kolejne osiem godzin.

Poniedziałkowy rano zaczynam od poszukiwania ślusarza. Zamierzam zmienić jeden z zamków. Potem idę do pani Łodzi. Wypytyuję o adres tej ślepej dziewczyny.

- Tylko nigdy, przenigdy nie wspominaj o jej matce - zaklina pani Łodzia.

Kiedy umawiałam się na spotkanie z niewidomą dziewczyną, zwróciłam uwagę, że ma niski, miły głos. Teraz widzę, że jest także bardzo ładna.

- To ja jestem Lena - mówię, kiedy otwiera drzwi.

Prowadzi mnie w głąb ładnego, nowoczesnie urządzonego mieszkania.

- Wolisz rozmawiać w kuchni czy w pokoju? - pyta.

- Bez różnicy.

- To chodźmy do kuchni. Będzie mi łatwiej - zarządza.

Siadamy w rustykalnie urządzonej kuchni. Szafka ma beżowo-granatowe, drewniany blat, dużo kwiatów wiszących na kwietnikach i stojących na parapecie okiennym. Niezdarnie wyjmuję ładne, staroświeckie filiżanki z szafki.

- Herbata czy kawa?

Mam ochotę na kawę, ale nie wiem co łatwiej jej przygotować. Czy powinnam zaproponować, że ja zrobię kawę?

- A co łatwiej ci zrobić? - pytam.

Ślepa uśmiecha się po raz pierwszy.

- Łatwiej mi zrobić kawę w ekspresie. Dobrze, że zapytałaś. Nie znoszę, jak ktoś pomija milczeniem moją ślepotę.

Parzenie kawy idzie jej opornie. Może denerwuje się wiedząc, że ją obserwuję. Wreszcie stawia przede mną filiżankę.

- Mleko? - pyta.

- Tak, ale naleję sobie sama z butelki. Nie przelewaj do dziubka.

- Gdzie? - zastyga.

Zbiła mnie z tropu.

- Dziubek to naczynie do nalewania mleka. Mama tak mówiła, to znaczy... - milknę. Przypominam sobie o czym mówiła pani Łodzią.

- Jasne - mówi podając mi butelkę mleka z lodówki.

Pijemy kawę w milczeniu. Obserwuje ją. Ma jakieś 30 lat, długie jasne włosy i zielone oczy. Rysy ma regularne, nos prosty. Ciało ma szczupłe, gibkie. Uroda w typie Magdy Cieleckiej. Nie wyobrażałam sobie, że będzie tak atrakcyjna. Jej oczy są zaskakujące. Widuje się niewidomych na ulicy. To nie jest ładny widok. Gałki oczne mają zniszczone, oczy ustawione w zezie, albo puste oczodoły, które zasłaniają okularami. Ślepa wygląda jakby widziała. Patrzy prosto na mnie. Może udaje niewidomą?

- Trochę widzę - mówi, jakby czytała w moich myślach. - Głównie cienie, szybkie ruchy, trochę światło. Jak mam dobry dzień to nawet odcienie szarości.

Odcienie szarości. To znaczy, że odróżnia marengo, gołębi, jasno i ciemno szary, sól z pieprzem, grafit, ołowiany? Nieźle. Znów nie wiem co powiedzieć.

- To co? - pyta.

- Co bym miała konkretnie robić? - mówię odkładając pustą filiżankę. - Dobra kawa.

- Automat ma bardzo prostą obsługę. - Odwraca głowę w bok. - Z herbatą jest gorzej. Albo rozsypuję herbatę wokół czajniczka, albo nie trafiam wodą do kubka. Nie raz się poparzyłam. Nie umiem się przystosować do swojego kalectwa.

- Niepełnosprawności - poprawiam.

- Jak zwał, tak zwał. Rezultat jest ten sam. O wszystko muszę prosić. Wolę komuś zapłacić i wymagać.

- To czego wymagasz?

- Praca jest od 9.00 do 14.00. Czasami wieczory, ale po umówieniu i ekstra płatne. Przychodzisz i czytasz mi pocztę, wiadomości z internetu. Robisz herbatę, kawę, kanapki, jeśli będziemy głodne. Będziemy chodziły na spacerzy albo coś załatwić. Po zakupy. Gotuje moja babcia i przynosi mi do domu. Mieszka dwa piętra nade mną, ale nie jesteśmy bardzo zżyte. Robi to, bo ma wyrzuty sumienia. Sprząta pani Jadzia dwa razy w tygodniu, także pierze i prasuje.

- Jak na osobę teoretycznie bezradną jesteś świetnie zorganizowana - mówię.

Naprawdę nie wiem, czy chcę mieć taką pracę.

- Zastanawiasz się, czy zdecydować się na takie zajęcie? - pyta. - Miałam już pięć opiekunek. Dwie z nich były koleżankami mojej babci. Tak strasznie mi współczuły, że nie mogłam tego znieść. Potem miałam młodą dziewczynę, którą polecono mi z agencji. Wcześniej zajmowała się dziećmi. Wynosiła jedzenie, środki czystości. Wstawiała swoje rzeczy do prania. Dziwna była.

Ślepa zamyśla się.

-1 ta ostatnia - mówi. - Bardzo chętna do pomocy. Organizowała wszystko, nie było dla niej rzeczy niemożliwych. Bardzo sprawna i uczciwa.

- To co z nią było nie tak?

- Wydaję wiersze. Nie mogę już ich pisać na komputerze, a nagrywane na dyktafon giną mi. Ona nie umiała ich nawet przepisać. Robiła mnóstwo błędów. I nie można było z nią o niczym porozmawiać.

- A skąd wiesz, że ze mną będzie można? - pytam.

- Nie mam pojęcia - wzdycha. - Pani Lodzia mówiła, że masz wykształcenie humanistyczne. Zakładałam zatem, że umiesz czytać. I pisać.

Zakłada zatem? Rzeczywiście to poetka. A ile płaci?

- Dam ci 1200 zł netto, kupię bilet na komunikację. Wszelkie dodatkowe wydatki pokrywam, to znaczy konieczne taksówki, nawet kawę w kawiarni. Aha i wyświadcysz mi

przysługę, jeśli będziesz jadła obiady mojej babci. Sama nie daję rady tego przejeść.

- A zatem masz damę do towarzystwa - mówię i wyciągam rękę.

- Świetnie - mówi.

Moja ręka wisi w próżni. Głupia jestem.

- To co? - mówię - Gdzie jest ten obiad od babci?

ALINA

Nie powinnam była uciekać. Powinnam była iść dalej, człapiąc za dużymi butami i udając zgarbioną babcię. Ale Maryśka zaskoczyła mnie zupełnie. Co robiła na przejściu dla pieszych na Pradze? Maryśka nie miała żadnych krewnych ani koleżanek w tej dzielnicy. W ogóle nie miała żadnych koleżanek ani przyjaciółek, prócz mnie.

Przez pierwsze trzy lata od mojej „śmierci” ani na chwilę nie straciłam czujności. Obserwowałam każdą mijaną osobę, żeby ewentualnie przygotować się na spotkanie znajomego. Miałam starannie przećwiczone, co zrobię na wypadek, gdyby ktoś krzyknął za mną moje imię lub spróbował zatrzymać mnie na ulicy. W pierwszym przypadku było najprościej. Po prostu miałam nie reagować. Teraz byłam panią Krystyną Zembruską, więc okrzyk „Alina” nie mógł mnie dotyczyć. Inaczej byłoby, gdyby ktoś spróbował mnie zatrzymać, zaglądać w twarz. Wtedy miałam przybrać jeszcze głębiej, staranniej nową tożsamość. Pani Krystyna, która pracuje w barze „Dobrze zjeść” na Pradze, nie jest Aliną. Co więcej nie może nią być. Prosta kucharka nie mogłaby być lekarką, nie mogłaby nawet próbować jej udawać. Wszelkie fizyczne podobieństwo także starałam się eliminować. Nie było to trudne. Wystarczyło przestać farbować włosy, obciąć je byle jak i nie nakładać makijażu na twarz. Dziecinnie proste. I aż do dzisiejszego dnia nikt nie zawołał za mną po imieniu. Dopiero napotkana przypadkiem moja była przyjaciółka. Uciekłam, ale nie czułam się bezpieczna. Maryśka zrobi teraz wszystko, żeby mnie odnaleźć. Nie tylko dlatego, że jest dziennikarką śledczą, a przynajmniej była w dawnym życiu. Także dlatego, że z Maryską rozstałyśmy się w gniewie i mimo, że nie miała powodu obwiniać się za moją „śmierć”, to musiał doskwierać jej nasz nierozwiązany konflikt. Ona jest osobą, która nie przyjmuje klęski do wiadomości. Przyczai się, przyjmie swój los, ale w odpowiednim czasie uderzy ze zdwojoną siłą. Przez ostatnie lata odcięłam się całkowicie od poprzedniego życia. Miałam świadomość, że tylko w ten sposób zdołam jakoś przetrwać. Przypominałam sobie filmy, w których ktoś z rodziny udawał zaginionego lub martwego. Taka osoba pojawiała się pod szkołą dzieci, dawała różne znaki, zostawiała prezenty dla bliskich w urodziny albo śledziła skrupulatnie ich losy. Coś takiego mogło się udać tylko w filmie. W prawdziwym życiu musiałam odejść od wszystkich i wszystkiego, i nie miałam siły ani odwagi, żeby obserwować co się dzieje z moim mężem i dziećmi. I skłamałabym, gdybym teraz powiedziała, że żałuję tego co zrobiłam.

W maleńkim mieszkanku, jakie teraz wynajmuję, trzęsącymi się rękami nastawiam wodę na herbatę. Kiedy będę mogła znów wychodzić z domu? Czy Maryśka ma jakieś realne

szanse na odnalezienie mnie? Chyba nie. Chyba. Co by mogła zrobić? Może codziennie po pracy o tej samej porze przychodzić w okolice, w których mnie spotkała i wypatrywać osoby podobnej do mnie. Tylko czy to jest realne? W tamtych rejonach raczej nie bywam. Tamtego dnia sprzątałam mieszkanie mojej szefowej. Czasami prosi mnie o to i płaci ekstra, a ja chętnie dorabiam sobie do pensji. Właśnie wracałam z takiej chałtury, a ponieważ dzień mimo późnej jesieni był pogodny i słoneczny, zdecydowałam się na spacer. Mogłam jechać autobusem, wtedy nie doszłoby do fatalnego spotkania, ale wybrałam spacer i stało się. Trzeba zachowywać szczególną ostrożność, wychodzić tylko do baru i po zakupy, zmienić płaszcz i czapkę. Tylko, czy to wystarczy?

Wracam myślami do tamtego dnia, który odmienił moje życie. Dnia, w którym zginęłam w wypadku. Byliśmy u znajomych, całą rodziną. Dwa dni wcześniej sprzedałam swój samochód. Miał już pięć lat i bałam się, że zacznie się psuć. Prosiłam męża, żebyśmy pojechali jego samochodem, ale wymawiał się, że to auto służbowe i ktoś się dowie, że używał go w celach prywatnych. W końcu go namówiłam, ale i tak na próżno, ponieważ po pierwszej propozycji gospodarzy wypił kieliszek wódki. „Jutro przyjadę po samochód”, powiedział i widziałam wyraźnie, że się uspokoił, że nie musi prowadzić. Ja jak na złość nie wzięłam ze sobą prawa jazdy. Wizyta nie udała się. Nie rozmawialiśmy ze sobą, a córka miała pretensje, że musiała jechać z nami, zamiast zostać sobie w domu i jak zwykle obijać się. Zmusiłam ją do tego wyjazdu, zależało mi, żebyśmy pojechali całą rodziną. To zawsze dobrze wygląda, że dzieci słuchają się matki, ale tu wyraźnie było widać, że Mała jest obrażona, a mąż za dużo pije. Wreszcie pożegnaliśmy się i poszliśmy na przystanek autobusowy. Córka, wygodnicka, kilka razy zapytała, czy nie moglibyśmy wrócić do domu taksówką. W końcu to nie jest tak daleko. Ale ja się nie odzywałam. Złość na nich narastała we mnie i bałam się, że jak wybuchnę, to ich pozabijam. Wreszcie nadjechał autobus. Mimo późnej pory wsiadło sporo ludzi, którzy stłoczyli się na wolnych siedzeniach i z tyłu autobusu. My z mężem stanęliśmy w przegubie. Córka poszła usiąść na przednim krześle, co uratowało jej prawdopodobnie życie. Ruszyliśmy z pętli. Już na pierwszym zakręcie autobus zatrzymał się i wpuścił do środka jeszcze jedną kobietę. Skrzywiłam się chyba wtedy. Kierowca nie powinien był tego robić. Nie można zatrzymywać się poza przystankiem. I dla kogóż zatrzymał ten autobus? Dla kobiety, albo bezdomnej, albo żebraczki owiniętej szalami, w grubym waciaku. Jak tylko wsiadła do autobusu poczułam woń biedy i stęchlizny. Więc jednak nie bezdomna. One pachną inaczej, raczej przetrawionym alkoholem i brudem. Wiem o tym dobrze, ponieważ nie raz miałam do czynienia z nurami, których straż miejska przywoziła do szpitala i trzeba było im mierzyć stężenie alkoholu we krwi, a nierzadko z

powodu zatrucia przyjmować na oddział i leczyć kroplówkami. Ta tutaj raczej nie była z tych. Przyjrzałam się jej dobrze, co jak się później okazało, miało kluczowe znaczenie. Była w moim wieku i mniej więcej mojej postury. Stała obok nas rozsiewając tę przepoconą woń, której szczerze nie znosiłam, a potem na szczęście poszła do tylnej części autobusu, gdzie zwolniło się miejsce. Pojechaliliśmy dalej. Wypadek zdarzył się dwa przystanki później. Nie widziałam tego, tylko czytałam potem w gazetach. Z wiaduktu zjeżdżał TIR. Wprawdzie za szybko, ale to on miał pierwszeństwo. Z nieznanych powodów nasz kierowca go nie przepuścił i wjechał na skrzyżowanie. Było późno i mały ruch. Może myślał, że zdąży przejechać. Nie docenił jednak pierwszych przymrozków i śliskiej jezdni. Może był zmęczony. Do końca nie wiadomo. W każdym razie autobus zatańczył na drodze i wpadły na nas tony żelaza, gruchocząc część pasażerów na śmierć. Uderzenie nastąpiło w tył autobusu. Ta część oderwała się od reszty i zniknęła pod przęsłem wiaduktu i przyczepą TIR-a. Było tam dwadzieścia osób, wszyscy zginęli. Część środkową, w której stałam z mężem, odrzuciło do przodu i szczęśliwie nie uderzyliśmy w żaden słup. Widziałam, jak mój mąż wypada przez otwarte drzwi autobusu. Mnie uderzenie rzuciło na dwójkę młodych ludzi, którzy swoimi ciałami wybili szybę w oknie. Chłopak wypadł przez okno pierwszy, rozbijając je głową. Ciało dziewczyny było tuż za nim i nasiliło uderzenie. Chłopak nie żył, zamiast twarzy miał jedną wielką, krwawiącą ranę. Dziewczyna chyba straciła oko. Leżałam na niej i na jej chłopaku nie mogąc się otrząsnąć, ale byłam cała i zdrowa, bez jednego zdrapania. Tylko z torebki wysypały mi się rzeczy. W pierwszej chwili zadziałał instynkt matki. Zaczęłam szukać córki. Przednia część autobusu ucierpiała najmniej. Uderzenie było jednak na tyle silne, że wszyscy jadący tam ludzie leżeli z przodu jak poukładane w stos pluszowe zabawki. Spod kłębowiska ciała wyciągnęłam córkę i wytaszczyłam ją na trawę. Żeby to zrobić przesłam po nodze jakiegoś człowieka, który krzyknął z bólu. Prawdopodobnie miał złamane udo, ale nie miałam czasu tego sprawdzać. Mała leżała zemdlna z braku powietrza, ale nie widziałam, żeby miała jakiegokolwiek urazu. Prawdopodobnie zaraz się ocknęła. Potem czytałam, że młoda dziewczyna wezwała pomoc. Myślę, że to była właśnie moja córka. Mój mąż też był bezpieczny. Odwróciłam go na plecy, żeby nie leżał w błocie. Ramię sterczało mu pod dziwnym kątem, złamał obojczyk albo kość ramienną. Nie miałam czasu zdejmować mu kurtki, żeby sprawdzić. Oddychał spokojnie, więc i on tylko stracił przytomność. Potykając się, pobiegłam w stronę zgniecionej części autobusu. Na drodze było pusto. Nie jechał żaden samochód. Aż dziwne. Wrak TIR-a dymił. Zastanawiałam się, czy nie wybuchnie. Cisza była przerażająca. Mimo wszystko spróbowałam dostać się do wnętrza pojazdu. Wspinając się na stopień, odnalazłam jeden mały otwór i próbowałam zajrzeć do

środku. Krzyknęłam: „Czy ktoś mnie słyszy?“, ale odpowiedziała mi cisza. Wydawało mi się, że czuję zapach krwi. Sięgnęłam ręką jak mogłam najgłębiej, starając się wyczuć cokolwiek. I zgadnijcie co wyciągnęłam? Dokumenty w zniszczonym, plastikowym etui. Na nazwisko Krystyna Zembrzuska. Chwilę stałam patrząc na zdjęcie kobiety w dowodzie osobistym i czytałam, że jest starsza ode mnie o trzy lata, ale ma taki sam kolor oczu i podobny wzrost. Niewiele myśląc zdjęłam z ramienia własną torebkę i po wyjęciu z niej portfela z kartami płatniczymi, wrzuciłam ją przez otwór do wnętrza autobusu. To wszystko trwało nie dłużej niż jedną minutę i nie dało się wytłumaczyć racjonalnie. Nie miałam ani jednego zadrapania, ani plamki krwi na jasnym płaszczu i żyłam, podczas gdy ludzie wewnątrz zostali zmieleni w proch. Nie mogłam im pomóc. Odwróciłam się w stronę miasta i uciekłam.

LENA

Początki nie są najłatwiejsze. Ślepa Ela, którą w myślach nazywam Ślepellą, jest niecierpliwa.

- Czytaj, czytaj - ponagla mnie, kiedy przerywam czytanie wiadomości z Onetu.

- Daj mi łyknąć herbaty, zanim wystygnie - protestuję.

- Łykaj i czytaj - ponagla.

Wszystko ją interesuje. Wiadomości polityczne, biznesowe, informacje o nowych grach komputerowych.

- Mam bratanka - mówi. - Myślisz, że ucieszy się, kiedy kupię mu na gwiazdkę tę SuperNovą 3?

- Ja bym kupiła najpierw grę główną. Często dalszych części nie da się instalować bez posiadania bazy. I dowiedz się jaki ma typ konsoli.

- Skąd tak dobrze się na tym znasz?

- Wcale się nie znam - śmieję się. - To podstawowe wiadomości.

Ślepella jest z techniką na bakier. Nawet gdyby widziała, nie umiałaby wgrać sobie e-booka. Pozuje na poetkę. „Jestem taka oderwana od rzeczywistości”.

Jestem z nią już tydzień i tylko raz wyszliśmy na miasto. I to do najbliższego sklepu z elektroniką, po telefon komórkowy. Przeczytałam, że są takie dla niewidomych. Trzymała się kurczowo mojego ramienia. W sklepie kazała mi samej wybrać co trzeba, dała mi swoją kartę do zapłacenia. Nie należy ufać obcym ludziom. Skrzywiła się, kiedy wcisnęłam jej długopis w palce i nakierowałam ręką na miejsce, w którym trzeba złożyć podpis. Sprzedawca zorientował się, że ona nie widzi. Popatrzył na mnie współczująco. Musiała to odczuć, bo nie chciała iść do kawiarni ani na spacer, mimo, że wcześniej miałyśmy takie plany. Wymawiała się brakiem czapki.

- Październik jest w tym roku łagodny, świeci słońce - przekonywałam.

Na nic. Wróciłyśmy do domu. Ona nachmurzona, ja lekko podenerwowana.

- Chcę zostać sama - oświadcza.

Jest 12.00 w południe. W radio słychać hejnał.

- Odgrzać ci obiad? - pytam.

- Za wcześnie - mówi.

- To odgrzeję i wstawię do termosu - proponuję. - Zjesz, kiedy będziesz miała ochotę i będzie ciepły.

- Nie chcę - mówi. Głos jej drży. - Ale ty spakuj sobie kotlety do domu.

- Chciałam ci tylko...

- Idź już proszę...

Wieczorem zadzwoni, żebym już nie przychodziła. Jasna cholera. Czy ja nie mogę utrzymać żadnej pracy?

- Przepraszam cię - mówi. - Dawno nie wychodziłam.

- Nie szkodzi - nic lepszego nie przychodzi mi do głowy.

- Myślałaś kiedyś, żeby uciec?

Nieustannie. Najlepiej z kimś kto zabierze mnie do Nowego Jorku, Paryża, albo Mediolanu. Mogłabym tam wieść ciekawe życie wśród tamtejszej elity z mężczyzną, który by szalał na moim punkcie i spełniał wszystkie moje zachcianki.

- Raczej nie miałabym dokąd - mówię ostrożnie. - A najgorzej, kiedy nie ma się powrotu.

- Właśnie. Ja nie mam ani dokąd uciec ani dokąd wrócić.

Ale banał. Poetka od siedmiu boleści. Postanawiam poczęstować ją podobną złotą myślą.

- Zawsze jest dokąd wracać. To my sami zatrzaskujemy drzwi.

Muszę sobie to zapisać, bo zapomnę.

- Mam pieniądze, tylko żyć mi się nie chce... - mówi.

- Dostałaś odszkodowanie? - pytam.

Ślepella otrząsa się z odrętwienia. Nie wygląda na skrępowaną moim pytaniem.

- Tak, dostałam. Byłam wysoko ubezpieczona na życie od trwałego uszczerbku na zdrowiu. Dostałam też ubezpieczenie po mamie. Zginęła wtedy, kiedy ja... no wiesz.

- Przepraszam - mruczę.

- Nie szkodzi - mówi. - Nie lubiłam mówić o mamie po tym, co się stało.

- Nie mów - mówię szybko. Pani Lodzia ostrzegała. A i ja przekonałam się, że Ślepella ma wahania nastrojów.

- Minęło trochę czasu - mówi. - To był wypadek. Ojciec wypił, więc nie mógł prowadzić samochodu... Pojechaliśmy... Mama zginęła na miejscu. Ja straciłam przytomność. Niewiele pamiętam. Potem były sekcje, formalności, policja. Kiedy zaczęłam tracić wzrok stwierdzono, że to stres. Ale to nie przechodziło. Trafiłam do lekarza za późno i to nie do tego, co trzeba. Chodziliśmy po wszystkich znanych okulistach. Oni badali mnie i nic nie stwierdzali. A ja śleplam coraz bardziej.

- I nie wiadomo dlaczego? - pytam.

- Wiadomo - kiwa głową. - Gałki oczne i nerwy wzrokowe nie są w ogóle uszkodzone.

Mózg mam uszkodzony, w ośrodku wzrokowym, po obu stronach. Czyli widzę, tylko mózg tego nie rozumie. Taki paradoks.

- Nie bardzo mogę to zrozumieć - zabieram się jednak do odgrzewania kotletów. -
Moja mama by mi to wytłumaczyła. Była lekarzem.

- Była?

- Też nie żyje od kilku lat. Wyprowadziłam się z domu. Ojciec mieszka w Błoniu. Nie jesteśmy zbyt blisko.

- Ja do swojego mam żal. Gdyby wtedy nie pił, nic by się nie stało.

- Tego nie wiesz - protestuję. - Pewnie nie może się podźwi-gnąć z poczucia winy do dziś.

Stawiam dwa talerze z obiadem. Jej babcia dobrze gotuje. Cieszy się pewnie kobiecina, że rozkapryszona wnusia zaczęła jeść. Ależ egoistka. Utrzymuje ojca w poczuciu winy za tamten wypadek. Myślałam, że to ja jestem manipulatką, bo zmusiłam Maćka, żeby ze mną zdradził żonę, wiedząc, że to zburzy jego świat. To przede mną siedzi mistrzyni. Nie mam się co do niej porównywać. Kotlety są drobiowe, a ziemniaczki odsma-żane z kminkiem. Mizeria zrobiona na jogurcie, nie śmietanie. Babcia naprawdę zna się na rzeczy.

W życiu nie widziałam osoby bardziej labilnej emocjonalnie od Ślepelli. Bywają dni, kiedy jest rozentuzjasmowana, pełna energii i zapału. Nic nie jest dla niej niemożliwe. Chce chodzić na spacer, śniadania jadać w modnych knajpach, robić samodzielnie zakupy. Wkłada wtedy jasne bluzki, ciasne jeansy i kolorowe szaliki. Jej upośledzenie przestaje być problemem. Umie sama wejść do sklepu i wybrać, co jej potrzeba. Ja jestem tylko tłem, takim "Lenka na wszelki wypadek, gdyby coś". Ma odwagę skrytykować. Na jednym z jej „ajów” kazała zrobić sobie inne cappuccino, uznawszy, że to, co jej dano przypomina zwykłe latte.

- Kubek jest ciężki - argumentowała. - Pełen mleka zamiast piany. Zresztą ja nie czuję piany. Jestem niewidoma, ale smaki odczuwam - powiedziała z głową zwróconą w stronę sprzedawcy.

- Trzeba wymagać od innych, inaczej nie ma po co wymagać od siebie - tłumaczyła mi później w drodze do domu jakby nie wiedziała, że mówi się „wymagam od innych, ale najwięcej od siebie”.

Ode mnie wymaga w takich dniach znacznie więcej niż normalnie. Muszę opisywać wszystko, co widzę z najmniejszymi detalami i opatrywać komentarzami. Zwykle unikam mówienia co myślę, chociaż bardzo lubię puentować w myślach. W takie dni muszę lawirować tak, żeby ją rozbawić, ale przy tym się nie odsłonić. W końcu jestem dobrze

opłacaną, ale tylko dziewczyną do towarzystwa. Zawsze zgrywałam albo głupszą niż jestem, albo znacznie mądrzejszą. W zależności od zapotrzebowania. Najtrudniej było mi pokazać moje prawdziwe oblicze. Świadomość, że ktoś mógłby mnie poznać i zaakceptować taką, jaka jestem naprawdę, wydaje mi się niestosowna. Z tego samego powodu nie chciałam mieć przyjaciółek ani przyjaźnić się z chłopakami, z którymi chodziłam lub sypiałam. Może dlatego każda osoba z mojego otoczenia nadaje mi inne imię. Wydaje mi się także, że byłoby niestosowne, gdybym próbowała zaprzyjaźnić się z Elą. W końcu płaci mi za to, co robię, a to wyklucza przyjaźń.

Najgorszy jest dla mnie zapach, z jakim moja pracodawczyni produkuje wiersze, kiedy jest w nastroju do pisania. Zawsze myślałam, że poeci są nieszczęśliwi, tęsknią za krajem, nieodwzajemnioną miłością albo chociaż tworzą w oparach alkoholowych czy dymie tytoniowym. W tym przypadku jest zupełnie inaczej. Męka twórcza jest jej obca. Ślepella zabiera się do pisania wierszy jak babcia do pieczenia ciasta, kiedy chce uszczęśliwić wnuczki w niedzielę. Nie ma tu mowy o natchnieniu czy innej wienie twórczej, która nachodzi na poetę znienacka. Proces twórczy starannie się planuje. Niewidoma poetka siada w ulubionym fotelu i czeka aż zrobię jej zieloną herbatę w czajniczku, i dwie kanapki z miodem. Zwykle jesteśmy po spacerze i lekturze wiadomości politycznych z Wirtualnej Polski i plotek na Pudelku.

Pociągi w ślepej furii pod żadnym nadzorem, tylko pozornie pilnowane przez zawiadowcę...

albo:

Zderzyłam się z tobą, ale cię nie zauważyłam.

Musiałbyś mnie zabić uderzeniem żebym spytała jak masz na imię...

albo:

Kłaniacie się niepiśmiennemu,

Od głupca rad oczekujecie

Ateistę chowacie w ziemi poświęconej...

I tak może na okrągło. Poprawia mało, wygładza tylko niektóre zdania. Czytam jej głośno to, co napisała, a jak mówi, że jest dobrze, przepisuję wiersze do pliku pt. „Coraz mniej olśnień”. Okresy, kiedy pisze po dziesięć wierszy dziennie, mieszają się z takimi, kiedy całymi dniami nic jej się nie chce. Nie wychodzimy wtedy z domu, choćby była piękna pogoda, nie odwiedzamy Placu Trzech Krzyży, i nie jadamy śniadań na mieście. Szczerze mówiąc, prawie wtedy nie jadamy, co odczuwam boleśnie, ponieważ oszczędność na jedzeniu jest jedną z największych zalet pracy u Ślepelli. Bywa, że zachęcam, żeby coś zjadła, a ona

wtedy kręci przecząco głową i mówi, żebym ja się częstowała. Patrzy wtedy przed siebie wzrokiem, który u widzącego byłby niewidzący i mamrocze pod nosem. Zastanawiam się, jakie byłyby wiersze, które by produkowała w czasie dołka. Kiedyś próbowałam zachęcać ją do pisania, argumentowałam, że to terapia. Powiedziała mi wtedy, że tworzenie poezji nie jest kwestią emocji, natchnienia ani niczego takiego, przynajmniej nie w jej wykonaniu. Jej wiersze to nie serce, ale mózg. Wydało mi się to śmieszne i absurdalne, ponieważ sama mi powiedziała, że mózg ma uszkodzony, a serce z tego, co wiem całkiem zdrowe. Poza tym reklamowano ją jako poetkę, która widzi sercem. Jasne, w końcu najważniejsze jest dla oczu niewidoczne. Często podkreślano to w recenzjach jej wierszy. Naturalnie obok celności spostrzeżeń, nawiązań do klasyki i współczesności, „bystrości” wypowiedzi i takich tam. Zgadzała się na taką reklamę i chętnie słuchała tego, co o niej napisano, ale nie dopuszczała, żeby pisano o jej kalectwie. Strasznie bolała ją własna ślepotą, która była jej przekleństwem, a jednocześnie pozwoliła na to, żeby się wyróżniać w tłumie podobnych jej młodych poetek aspirujących do tytułu nowej Szymborskiej. Z nich wszystkich tylko ona jest znana i śmiem twierdzić, że dzięki temu, że nie widzi. W dzisiejszych czasach, jak widać, trzeba się wyróżniać i to nie byle jak, żeby ludzie cię zauważyli.

Muszę sprawiedliwie powiedzieć, że te jej dołki nie trwają nigdy dłużej niż pięć dni. Zawsze było coś, co je przerywało. Najczęściej telefon od wydawcy albo redaktorki z radia. Ostatnim razem był telefon z samej telewizji. Odebrałam i przekazałam jej słuchawkę. Dołek minął jak ręką odjął.

- Odrzucałam zaproszenia do porannych programów - mówiła podniecona. - Pokazywaliby mnie jak małpę w cyrku czy słonia na sznurku. Teraz to co innego.

Co innego, ponieważ program ma być poświęcony współczesnej poezji. Oprócz Eli ma wystąpić jeszcze jeden poeta, któremu ponoć nic nie dolega, nie jest ani ślepy, ani głuchy i podobno całkiem przystojny. Dlatego Ślepella nabrała przekonania, że naprawdę chodzi tu o przesłania płynące z jej wierszy, a nie tanią sensację.

- Program będzie nagrywany - oznajmiła podnieconym głosem. - Będzie autoryzowany przeze mnie. Tej redaktorce bardzo zależy. Zapewniła mnie, że nie padnie nawet jedno słowo na temat moich oczu.

No, no.

- Oczywiście pójdziesz ze mną, prawda?

Za to mi przecież płaci. Program ma być nagrywany przez dwa kolejne dni. Wystąpią razem z tym poetą. Mamy trochę czasu, żeby się przygotować. Zdjęcia mają ruszyć za dziesięć dni. W internecie wyszukuję informacji na temat tego poety. Nazywa się Piotr

Nowak i pisze poematy w stylu neoromantycznym, pełne pasji, rymów i pytań o sens istnienia, ale przetykane wulgaryzmami. Zdobywam tomik jego poezji w „Czytelniku”. W „Empiku” nie ma nawet mowy, żeby taką książkę chociaż sprowadzić.

Przez kolejne dni nie sprawdzamy już wiadomości i nie śledzimy plotek o gwiazdach. Pochłania nas twórczość Piotra Nowaka. To znaczy Elę pochłania jego twórczość, a mnie bardziej interesuje zdjęcie na okładce jego książki. Blondyn, zamglone spojrzenie, włosy falujące, oczy niebieskie. Dyrzymały, jakie wypisuje, są nie do strawienia. Piotr Nowak cierpi za miliony, przebacza, prosi o wybaczenie. Wszystko to okrasza wulgarnymi wyrażeniami. Czy mi się wydaje, że to już było? Ela jest zafascynowana. Odnajduje w tej twórczości echa wieszczów narodowych i współczesnego języka ulicy. Przemilczam kwestię, że o języku ulicy to on nie ma pojęcia. Najwidoczniej nie był w życiu na Pradze, ani nawet na Czemiakowie. Wulgaryzmy, jakie wplątuje w te wiersze, wyjęte są żywcem z komentarzy internetowych, jakich mnóstwo pod doniesieniami o politykach czy gwiazdach. Pisze nawet z błędami ortograficznymi, co pewnie zjednuje mu sympatię u wszystkich dyslektyków i innych niepiśmiennych. Nawet krytycy piszą o współczesnych wulgaroneologizmach lub neowulgaryzmach uosabiających bunt jednostki. Przeciwno czemu buntuje się Piotr Nowak, mamy zobaczyć podczas nagrywania programu.

- Ja nie mam co na siebie włożyć - oznajmia Ela w przeddzień programu.

Dziwne, do tej pory nie miała takich problemów. Ma zresztą sporo przyzwoitych ciuchów, kupowanych przed utratą wzroku, ale klasycznych, więc spokojnie nadających się na wszelkie okazje.

- A co byś chciała włożyć? - pytam ostrożnie.

- No, wiesz - mówi. - Chciałabym wyglądać tak oryginalnie, a jednoznacznie w sposób niewymuszony.

Proponuję ostrożnie, że przejrzymy razem szafę. Może coś da się wybrać. Nie mówiłam jej, że stylizacje są moją pasją. Pytała mnie gdzie pracowałam zanim straciłam pracę, ale oględnie wyjaśniłam, że w redakcji czasopisma. Dałam do zrozumienia, że jestem niespełnioną dziennikarką, że to raczej trudny dla mnie temat i Ślepella nie pytała o nic więcej.

Z grubsza wiem, jakie moja poetka ma ciuchy. Nie raz wyciągałam z szafy bluzkę czy spódnicę, o które prosiła, a nie pamiętała, gdzie je położyła. Czasem nawet z dwóch wskazanych przez nią bluzek czy spodni podawałam jeszcze inną i tłumaczyłam, że właśnie ta będzie najbardziej odpowiednia.

- Jak myślisz? - pyta. - Co włożyć?

- Włóż ten czarny kostium - mówię wyciągając z szafy klasyczny czarny żakiet z ołówkową spódnicą z dobrej, cienkiej wełny.

- Żartujesz chyba - mówi zdziwiona. - Wiesz ile ma lat? Chyba osiem, albo dziewięć.

- Jest w porządku - mówię pewnym głosem. - Zmieniłabym tylko guziki na takie w stylu wojskowym.

- Skąd wezmę guziki? - pyta, ale już nie protestuje.

- Kupię ci w pasmanterii pod moim domem - zapewniam. - Zobaczysz, będzie dobrze.

Ciuchy to moje hobby - dodaję.

- Nigdy nie mówiłaś.

- Nie było okazji - dodaję wymijająco. - Do tego będzie bardzo dobra jedwabna szara bluzka i te czerwone buty na obcasie.

- Mam czerwoną torebkę - mówi.

- Lepsza będzie ta czarna - protestuję. - Nie nosi się już torebki pod kolor butów.

Taka, co wygląda jak Konduktorka jest bardzo dobra.

- Jesteś pewna? - przysiada na fotelu. - Te wszystkie rzeczy są bardzo stare.

- To dobrze - odpowiadam. - Styl vintage. Czyli stare robione na nowe, albo całkiem stare ciuchy. Będzie dobrze.

W pasmanterii udaje mi się kupić guziki dokładnie takie, jak trzeba. Po namyśle dokupuję dwa pagony. Zjawiam się następnego dnia u Eli wcześniej i od razu zabieram się do szycia. Czarne, matowe guziki łądują w koszu na śmieci. Ich miejsce zajmują guziki stylizowane na takie od munduru. Doszyte pagony na ramionach dają świetny efekt. Kostium wygląda jak od Balmaina. Ślepella prezentuje się bardzo dobrze. Wiążę jej długie włosy w ciasny kok na czubku głowy i maluję oczy. Przyniosłam własne kosmetyki, ponieważ w jej łazience można znaleźć jedynie krem nawilżający do twarzy i ciała. Robię poetce makijaż roku, mimo protestów, że malowanie jest niepotrzebne. Ona nawet jak widziała, to się nie malowała. Milknie, kiedy pytam, czy ma coś przeciwko temu, że podkreślę jej piękne oczy.

Idziemy korytarzami telewizyjnymi ciasno objęte. Czuję, jak drży trzymając mnie mocno pod rękę. Wydaje mi się, że obie świetnie tu pasujemy. Ogląda się za nami znana prezenterka mijająca nas na korytarzu. Ciekawe, czy zafascynowała ją stylizacja poetki czy mój żakiet Bossa.

Makijażystka cmoka z uznaniem.

- Nie mam nic do roboty. Przypudruję przed samym nagraniem i już.

Redaktorka podchodzi do nas i przedstawia się. Jak wszyscy, zastyga z wyciągniętą ręką w powietrzu. Sprawnym ruchem biorę rękę Ślepelli i wkładam w rękę redaktorki. Ta

ostatnia spogląda na mnie z wdzięcznością.

- Czy przygotujemy się jakoś? - pyta poetka.

- Dam pani pytania - mówi redaktorka.

- Ja odczytam - mówię szybko, widząc ponownie zmieszanie w oczach tamtej.

Siadamy na wygodnej kanapie i cicho czytamy przygotowane przez redaktorkę pytania.

- Kiedy pani napisała pierwszy wiersz?

- Nie pamiętam - odpowiada szybko. - Taki prawdziwy to chyba...

- Nie odpowiadaj mi - protestuję. - Czytam ci tylko pytania. Zastanów się co chcesz powiedzieć.

- A tak - kiwa głową. Jest bardzo zdenerwowana.

- Czy wie pani, że jest porównywana do Szymborskiej?

- Pochlebia mi to, ale...

- Nie odpowiadaj mi - śmieję się.

- Jestem okropnie zdenerwowana - mówi żalonym tonem. - I nic nie widzę.

Będzie dramat. Na szczęście z opresji wybawia mnie szczupły chłopak w kraciastej koszuli.

- Piotr Nowak - mruczy patrząc w bok.

Czyli wie, że Ela nie widzi. Nie wyciąga ręki. Ślepella wstaje, chwilę chybocze się na szpilkach i wyciąga przed siebie swoją. Chłopak energicznie potrząsa jej ręką.

- Ja tylko nie widzę. Czucie mam - uśmiecha się.

Może jednak będzie dobrze. Poeta stoi i nie wie co powiedzieć. Postanawiam uratować sytuację.

- Miło cię poznać - mówię i przedstawiam się.

- Ty też piszesz wiersze? - pyta.

- Ona czyta - odpowiada za mnie poetka. Całe szczęście, bo ja mruknęłabym coś niezręcznego.

Program na początku idzie opornie. Redaktorka zadaje pytania. Ela odpowiada sprawnie, z dowcipem. Zachowuje się swobodnie. Wygląda bardzo dobrze. Jestem dumna ze swojego dzieła. Piotr Nowak za to wygląda na buca. W kraciastej koszuli i workowatych spodniach wygląda jakby się przeniósł z lat osiemdziesiątych w czasy współczesne. Może za czasów Stachury wyglądałby dobrze, tu przypomina raczej lumpa. Wypowiada się nie najciekawiej. Duka coś patrząc w bok. Co chwila realizator przypomina, żeby patrzył w kamerę. Trzeba przez niego powtarzać ujęcia.

- Ostatnie pytanie - mówi redaktorka. - Jest pani bardzo atrakcyjną kobietą. Wygląda

pani dziś wspaniale. Czy jest pani szczęśliwa?

Nie było tego w planie. Ciekawe, co powie. Potem można wyciąć, gdyby się nie udało.

- Bywam szczęśliwa - odpowiada. - Ale ze względu na moją chorobę nie ułożę sobie życia. Nie mam zatem szansy na trwałe szczęście.

- Unika pani mówienia o tym, że jest niewidoma... - ryzykuje redaktorka.

- A pani chciałaby być postrzegana przez taki pryzmat? - pyta spokojnie Ela. - Żeby przy każdym wierszu ludzie zastanawiali się czy powstałby, gdybym widziała?

- Jest pan atrakcyjnym mężczyzną - redaktorka zwraca się do poety. - Czy jest pan szczęśliwy?

- W sensie ogólnym tak - bąka. - Jestem zdrowy... to znaczy przepraszam - mityguje się.

- Sama pani widzi - Ela odrzuca głowę do tyłu i zakłada nogę na nogę. Jest przy tym niebywale kobieca.

- Chciałem powiedzieć, że powinienem być szczęśliwy, bo wszelkie obiektywne kryteria na to wskazują - poprawia się. - Nie jestem jednak.

- Kryzys wartości? Męka tworzenia? - dopytuje się prowadząca.

- Raczej jestem trudny - widzę, że się męczy sam ze sobą. - Odeszła ode mnie dziewczyna. Poezja nie jest dochodowa i muszę pracować jako nauczyciel w szkole. A to jest niewdzięczne zajęcie...

- Czyli ma pan takie same problemy jak każdy współczesny mężczyzna - podsumowuje prowadząca.

Ela prostuje głowę i uśmiecha się. Naprawdę wygląda jakby widziała.

Koniec końców redaktorka jest bardzo zadowolona. Ela wypadła świetnie. Poeta był kontrowersyjny. Pewnie o to chodziło. Zderzenie kobiety sukcesu, ale dotkniętej kalectwem oraz mężczyzny, który balansuje między pragnieniem zwycięstwa a naturalną potrzebą buntu. Mógłby nawet powstać z tego film. Chociaż osobiście uważam, że bardziej nośne są wielkie miłosne historie na tle wojny.

Proszę realizatora, żeby wysłał nam mailem kilka zdjęć Eli w studio. Może się do czegoś przydadzą. Podaję swój adres mailowy. Wracam do swojej podopiecznej i widzę, że rozmawiają z poetą.

- Wypadłaś świetnie - mówię szczerze.

Poetę omiatam jedynie wzrokiem. Niech wie, że do pięt jej nie dorastał.

- Może wybierzesz się z nami na kawę? - proponuje Ela poecie. - Czy może musisz

wracać do pracy?

- Tak... znaczy nie... - mamrocze tamten. - Chciałem powiedzieć, że bardzo chętnie.

Czy ten człowiek naprawdę pracuje słowem?

Idziemy na kawę do telewizyjnego bufetu. Pozwalamy poecie zapłacić za trzy kawy.

Przy stoliku zapada niezręczna cisza.

- Zadowoleni z nagrania? - pytam.

- Tak - bąka poeta.

- Bardzo się denerwowałam, kiedy pani redaktor zadzwoniła...

Wyłączam się obserwując prezenterki i redaktorki telewizyjne siedzące w bufecie. Sporo tu znanych twarzy. Wiadomo - telewizja. Marzenie narcyzów. Sama nie miałabym nic przeciwko temu, żeby tu pracować, myślę dostrzegając znaną telewizyjną stylistkę ubraną w ciasną elastyczną sukienkę, która bezlitośnie pokazuje, że ta ma krótkie, grube nogi.

- Dacie mi swój numer telefonu? - pyta poeta.

Powiedział „dacie”. Po co mu mój numer telefonu? Wypisuję na serwetce telefon Eli, a pod spodem mój. On wypisuje numer swojej komórki na drugiej serwetce.

- Przepiszę ci do komórki - mówię do Eli. Z oczywistych powodów sędzę, że telefon potrzebny mu po to, żeby zaprosić koleżankę po fachu na swój wieczór autorski.

Reszta dnia mija nam szybko. Po raz pierwszy zostaję u Eli prawie do wieczora. Wypada to spontanicznie. Zaprasza mnie na późny obiad na miasto, potem idziemy na spacer. Wieczorem czytam jej kilka wierszy Szymborskiej. W końcu została do niej porównana. Potem słuchamy razem teatru radiowego. Jest mi nawet miło. Kto by pomyślał...

ALINA

Uciekając, nie wiedziałam co robię. Chociaż myślę, że wtedy musiałam już mieć plan. Plan był zupełnie szalony i nie miał szans powodzenia. Może dlatego wszystko świetnie się udało. Dobiegłam do Ochoty i poszłam prosto do małego hotelu, który znałam. Miałam tam kiedyś wykłady dla lekarzy. Hotel leży na uboczu, jest niewielki, personel nie jest bardzo dociekliwy. Zaspana recepcjonistka spisała z mojego nowego dowodu dane osobistego i wręczyła mi klucz do pokoju. Pokój był niespecjalnie stylowy, ale czysty, pościel biała. W środku było ciepło. Rozebrałam się i weszłam pod prysznic. Czytałam wielokrotnie, że po gwałcie, albo jakimś szczególnie ciężkim przeżyciu, ludzie stają godzinami pod wodą chcąc z siebie zmyć wszelki brud tego świata. Ja stałam pod strumieniem gorącej wody i zastanawiałam się, co właśnie zrobiłam. Tłumaczyłam sobie, że jeszcze nic się nie stało. Jeszcze wszystko można odwołać. Wrócić do domu jakby nigdy nic, albo zgłosić się na pogotowie i powiedzieć, że nic nie pamiętam. Potem zaczęłabym sobie stopniowo przypominać kim jestem i jak się nazywam. Medycyna zna takie przypadki. Pamięć mogłam stracić po uderzeniu w głowę albo w wyniku szoku. Lekarze też zapadają na ciekawe i rzadkie przypadłości. Przez kilka dni odpocznę sobie i poobserwuję reakcję otoczenia. A potem wyłonię się jako błakająca bez celu, a zapłakana rodzina będzie ze łzami w oczach dziękowała za cud.

Wywiesiłam zawieszkę: „Proszę nie przeszkadzać” i zapadłam w dziesięciogodzinny sen bez marzeń sennych. Otworzyłam oczy około południa i przypominałam sobie, co tu robię. W pierwszym odruchu chciałam zadzwonić do męża albo dzieci i sprawdzić, czy nic im nie jest, i zapewnić, że ja jestem cała i zdrowa. Komórkę jednak miałam w torebce, którą wrzuciłam do zgniecionego wraku. Musiałabym iść do automatu, a wcześniej kupić kartę telefoniczną. Postanowiłam dać sobie jeszcze trochę czasu na podjęcie decyzji. Ubrałam się i wyszłam z pokoju. Na recepcji wykupiłam jeszcze dwie doby hotelowe. Szczęśliwie dysponowałam wystarczającą ilością gotówki. Potem poszłam do najbliższego oddziału mojego banku. Miałam ze sobą portfel, a w nim wszystkie potrzebne karty bankowe. Bez problemu pobrałam z konta wszystkie pieniądze. Było tego ponad trzydzieści tysięcy. Przecież sprzedawałam samochód. Miałam też oszczędności z prywatnej praktyki i wykładów. Całkiem niezła suma na początek. Trzęsącymi rękami schowałam pieniądze do koperty, a tę do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Znów powiedziałam sobie, że przecież w każdej chwili mogę się wycofać i wrócić do domu. Już wtedy jednak kiełkowała we mnie niezachwiana pewność, że właśnie stoję u progu nowego życia. A to, co się stało pod przęsłem mostu, jest

dla mnie darem od losu. Innym nie mogę już pomóc, ale sobie tak. W kiosku kupiłam kilka gazet codziennych. We wszystkich na pierwszych stronach były informacje o wypadku. Z jakimś dziwnym zapalem oddałam się czytaniu na temat szczegółów tragedii. Listy ofiar z początku nie były kompletne, ale byłam coraz bardziej pewna, że córce i mężowi nic się nie stało. Jedna z gazet codziennych przytaczała wypowiedź młodej kobiety, nie wymieniając jej wprawdzie z imienia i nazwiska, ale odnalazłam w jej słowach fakty, które przekonały mnie, że chodzi o Małą. Mówiła, że ojciec jest w szpitalu ze złamanymi żebrami i skomplikowanym złamaniem ramienia, a mama prawdopodobnie nie żyje. Miałam rację z tym złamaniem kości. Przez kilka najbliższych dni tylko oglądałam telewizję i czytałam gazety. I obawiałam się, że moja torebka bez jednego nawet zadrapania będzie stanowiła marny dowód na to, że nie żyję. Najwyraźniej jednak byłam w błędzie. Uznano mnie za zmarłą, a zwłoki zidentyfikował mój mąż, który wypisał się ze szpitala na własne żądanie. Czytając te rewelacje czułam, jak ogarniało mnie coś na kształt podniecenia. Cytowano wypowiedzi specjalistów od urządzania skrzyżowań, meteorologów i wszystkich, którzy mogli wyjaśnić, dlaczego kierowca wjechał pod TIR. Niestety on zginął, więc nie mógł odpowiedzieć sam na to pytanie. Rodziny zostały objęte opieką psychologiczną. Sztab ochotników rozprawiał się z kolejną tragedią narodową, jaka dotknęła Polaków. Państwo ogłosiło trzydniową żałobę.

Wszyscy, którzy zginęli, doczekali się indywidualnych nekrologów od prezydenta i premiera. Ja oczywiście też. Z satysfakcją czytałam wyrazy współczucia dla moich bliskich. Dziwnie było patrzeć na swoje nazwisko w nekrologu z krzyżem u góry klepsydry i aniołkiem z boku. Słowa „non omnis moriar” nabierały w moim przypadku szczególnego wyrazu. Najbardziej interesowało mnie, kto z moich znajomych napisze wyrazy współczucia. Pierwsza była oczywiście Maryśka. Duży nekrolog, w którym zawarła tylko kilka słów pożegnania nie wymieniając mojego nazwiska zrobił na mnie dobre wrażenie. Drugi był skierowany do mojej rodziny, już zupełnie zwyczajny: „Serdeczne wyrazy współczucia dla... bla, bla.” Aż dwa nekrologi, w tym jeden duży. Doceniłam to. Maryśka była niewiarygodnie skąpa. Mogła zamówić tylko jeden nekrolog, wyszłoby taniej. Po co komu bezpośrednie pożegnanie, jeśli nie żyje. „Do widzenia, kochana przyjaciółko, będę o Tobie pamiętała...” W taki sposób mnie pożegnała. Czytałam inne nekrologi, z wyraźną przyjemnością, tym bardziej, że przecież żyłam. Żegnała mnie rodzina, zbiorowo oczywiście. Córce nawet nie przyszło do głowy, żeby zamówić coś w stylu: „Żegnaj ukochana Mamo, już nic nie będzie takie samo...”. Dziwię się, w końcu miała się za osobę piszącą. Ale pewnie miłości do matki jej nie starczyło na osobiste pożegnanie. Moja matka dała indywidualny nekrolog z zawiadomieniem, że „jej ukochana córka zmarła tragicznie” i jakieś bzdury o przerwany

locie. Nigdzie przecież nie leciałam. Ale miłe, że cierpiała. Za to z pracy naliczyłam aż dziewiętnaście pożegnań. Widać byłam w szpitalu znaną postacią, gdyż nie było jednego zbiorowego nekrologu podpisanego „dyrektor szpitala i pracownicy”, ale każdy z oddziałów zamieścił swoje własne pożegnanie. Podobnie postąpiły wszystkie firmy farmaceutyczne, z którymi współpracowałam. Nekrologi ukazywały się przez dobry tydzień. Wszystkie je wycięłam, schowałam do specjalnej teczki i czytam od czasu do czasu.

Kilkakrotnie przebiegałam wzrokiem kolumny klepsydr, ale pani Krystyny Zembrzuskiej w tym towarzystwie nie było. Nie wiedziałam co o tym myśleć. Jak mam postąpić? Posługiwać się jej dowodem? Udawać osobę z utratą pamięci? Postanowiłam przeczekać i zobaczyć co przyniesie rozwój wypadków.

W hotelu mieszkałam jeszcze pięć dni. Początkowo chyłkiem przemykałam się korytarzem, bojąc się wejść do windy, żeby mnie ktoś nie zidentyfikował. W końcu moje zdjęcie kilkakrotnie obiegało codzienną prasę. Wprawdzie zdjęcie było sprzed kilku lat, w koku i białym kitlu i w ogóle do siebie nie byłam podobna, ale zawsze może się zdarzyć, że spojrzy na mnie jakiś fanatyk zapamiętywania ludzkich twarzy i będzie kłopot. Ale już trzeciego dnia zrozumiałam, że nikogo nie obchodzą ludzie przechodzący obok nas. I przestałam tak bardzo się kryć. Z coraz większym przekonaniem myślałam o tym, żeby nie wracać do rodziny. Jeśli coś mnie hamowało, to tylko strach, że podawanie się za osobę nieżyjącą jest karalne.

Postanowiłam pójść pod adres widniejący na dowodzie osobistym i przekonać się jaka jest sytuacja pani Krystyny Zembrzuskiej. Adres był praski. Kobieta mieszkała w typowej kamienicy ze skrzypiącymi schodami i smrodem spalenizny na klatce schodowej. Na podwórku bawiły się dzieci. Przywołałam jedno z nich i zapytałam o kobietę, której zamierzałam ukraść tożsamość. Mały wyjaśnił mi, że kobieta mieszka sama i nie lubi dzieci. Drugi dodał, że nikt jej nie odwiedzał, a ona sama pracowała gdzieś jako sprzątaczką. Zapytałam, czy wiedzą, gdzie można ją znaleźć, ale maluchy przecząco pokręciły głowami. Zadzwoiłam do drzwi, a potem jeszcze zapukałam, ponieważ dzwonek był nieczynny, ale to nic nie dało. Serce podskoczyło mi ze strachu, kiedy otworzyły się drzwi po drugiej stronie klatki schodowej.

- Pani do kogo? - zapytała skromnie ubrana kobieta.

Opanowałam się, żeby nie uciec w panice i powiedziałam, że szukam osoby, która mieszka pod tym adresem.

- Nie ma jej - powiedziała tamta. - Już kilka dni jej nie słyhać.

- Może trzeba otworzyć drzwi - zasugerowałam. - Może coś się stało?

- Chyba nie - tamta uparcie stała w otwartych drzwiach. - Mój Marek widział, jak wychodziła w ostatnią niedzielę. Potem już nie wróciła. Drzwi strasznie skrzypią. Bardzo słyszeć, jak kto wchodzi.

- Nie wie pani gdzie można znaleźć tę panią? - pytam. - Być może to moja zaginiona krewna.

Zupełnie niepotrzebnie to powiedziałam.

- Tak? - tamta szerzej otworzyła drzwi. - Nic nie wiem o jej rodzinie. Chyba nie miała żadnej. Trochę dziwaczka z niej była, mówiła do siebie, to znaczy tego...

- A mieszkanie do kogo należy? - spytałam.

- Komunalne - tamta powiedziała to z satysfakcją. - Ale podobno znalazł się właściciel i każe nam się wynosić. To znaczy niektóre mieszkania to ludzie wynajmują. To też. Raz jeden z nią rozmawiałam - przypomina sobie - powiedziała, że nie lubi dzieci. I, że sama własnych nie ma.

- To chyba jednak nie moja krewna - powiedziałam.

- Też myślę, że nie - kobieta kiwa głową oglądając mnie od góry do dołu. - Ona ze śmietników zbierała, jeździła po mieście i przywoziła wypchane siaty ze sobą. Smród buchał, jak drzwi otwierała...

- Dziękuję - mówię szybko. - Do widzenia.

I co mam myśleć, jak szczęśliwy traf sam do mnie przychodzi. Wygląda na to, że kobieta była samotna. Chyba nikt nie zgłosił jej zaginięcia. Jeśli miałam jakiegokolwiek wątpliwości, to właśnie zostały rozwiane. Z kamienicy wyszłam jako Krystyna Zembrzuska. Dziesięć dni później moje nowe życie było prawie skompletowane. W gazecie znalazłam ogłoszenie o wynajmie mieszkania. Zamieszkałam na Pradze, blisko domu, w którym mieszkała kobieta, za którą się podawałam. Mieszkanie było niewielkie, ledwie 40-metrowe, ale nie potrzebowałam więcej. W najbliższym markecie kupiłam kilka ręczników, talerzy, kubków, blaszane sztućce Kilka sztuk lichych, kupionych w lumpeksie ubrań wcisnęłam na wieszaki w szafie. Krystyna Zembrzuska zmieniła się o tyle, że sprzątała w domu i nie wyciągała jedzenia ze śmietnika. Alina zmieniła się całkowicie. Najpierw mentalnie, potem także fizycznie.

LENA

-1 Marysiu... - pani Lodzia gwałtownie gestykuluje. - Jak on się dobijał do drzwi! Jakie słowa krzyczał!

Wczoraj wróciłam bardzo późno. Okazuje się, że Krzysio ochłonął trochę i próbował dostać się do mieszkania. Wpadł w szal, kiedy zobaczył zmienione zamki. Ciekawe, że nie próbował do mnie dzwonić.

Czuję niepokój. Zbyt dobrze pamiętam, jak mnie potraktował ostatnim razem. Z drugiej strony, nie mam gdzie mieszkać. No i zawarliśmy układ. Dzwonię, żeby mu o tym przypomnieć. Po steku wyzwisk pod moim adresem zaczyna wreszcie rozmawiać rozsądnie.

- Słuchaj - mówię. - Nie chcę ci zrobić takiej krzywdy, jaką ty zrobiłeś mnie...

- O czym ty, kurwa, pieprzysz? - poetą to on nie jest. - Zmieniłaś zamki w moim własnym mieszkaniu.

- Mam obdukcję z tego gwałtu - przypominam.

- Jaki, kurwa, gwałt? - dyszy. Chyba jest pijany. - Lubisz te klocki. Jęczałaś i błagałaś o jeszcze.

- Wydawało ci się - twardo obstaję przy swoim. - Odjechałeś po prochach. Zostaw mnie w spokoju, a postaram się wyprowadzić.

- Jutro ma cię nie być, kurwo, bo inaczej wyrzucę cię przez okno! - wykrzykuje.

Czy ktoś mu powiedział, że traci się autorytet, kiedy nie można zrealizować swoich gróźb?

- Umawialiśmy się na pół roku - przypominam. -1 nie próbuj się do mnie zbliżać. Z trudem przekonałam sąsiadów, żeby nie wzywali policji.

- Co ty, kurwa...?

- Już ci mówiłam, że się powtarzasz. Za pół roku się wyprowadzam. Jak znajdę mieszkanie to nawet wcześniej.

Ręce mi się jednak trzęsą ze strachu. Minał miesiąc, a bliznę na podbrzuszu ciągle widać. Nie czuję się dobrze w tym mieszkaniu, ale nie mam innego pomysłu na życie.

Po dwóch dniach od nagrania dzwoni poeta.

- Może poszłabyś ze mną na kawę? - pyta. W głosie słyszę zdenerwowanie.

Wyobrażam sobie jak stoi i szarpie swoje włosy. Zauważyłam, że kiedy jest zdenerwowany tak właśnie robi.

- Ja? - pytam głupio.

- Przecież do ciebie dzwonię.

Umawiamy się na jutrzejsze popołudnie, po mojej pracy.

MARIA

Natychmiast postanawiam odnaleźć Alinę. I nie obchodzi mnie, że pewnie nie chce być odnaleziona. Dopóki tego nie zrobię, nie zbiorę myśli, nie będę mogła pracować. Alina i jej śmierć - nie śmierć staje się dla mnie tematem numer jeden. Wkrótce będzie moją obsesją. Wiem o tym, znam siebie bardzo dobrze. Przede wszystkim jestem dziennikarką. Praca zawsze dla mnie była na pierwszym miejscu. Dopiero później byłam żoną. Matką nie zostałam nigdy. Z własnego wyboru. Jeśli odnajdę Alinę, napiszę książkę o tym, w jaki sposób przekonała wszystkich, że nie żyje. A potem dotrę do motywów jej postępowania. Przeanalizuję po co i dlaczego. To będzie hit, który pozwoli mi wrócić na wyżyny dziennikarstwa. Sześć lat temu moje nazwisko znali wszyscy. Byłam symbolem politycznego dziennikarstwa śledczego, na długo zanim powstała pierwsza komisja śledcza. To ja wymyśliłam publiczne przesłuchania posłów, ministrów ważne tematy ekonomiczne, przepytываłam ich z grzeszków przy prywatyzacji i wydawałam wyroki. Potem przedstawiałam wyniki własnego śledztwa widzom, w przystępny dla nich sposób. Najważniejsi ludzie w państwie bali się mnie bardziej niż Moniki Olejnik i nie mogli odmówić przyjęcia do mojego programu. Odmowa znaczyłaby, że przyznają się do winy. Przychodzili i siadali naprzeciw mnie, kobiety niespecjalnie ładnej i zadbanej. Ubranej nieco na siłę i potrzeby kamery, prawie bez makijażu. Szczyciłam się tym, że nie jestem lałą, która nie wyjdzie z domu bez tapety. Bawiło mnie to, jak charakter-zatorka załamywała nade mną ręce. Kobiecość - to nie była nigdy moja bajka. Lubiłam ten szczególny podziw w oku mężczyzn, ale dotyczył on wyłącznie sfery profesjonalnej. Nigdy kiecek czy butów. Doprowadzałam tych ludzi do ostateczności znajomością sprawy i realiów. Zachęcałam, żeby powiedzieli telewidzom, dlaczego coś zostało załatwione w taki, czy inny sposób. Rzadko trafiałam na rozmówcę godnego mnie. Potem o moich programach opowiadano w szkołach i na uczelniach, a filmiki krążą do dziś na YouTube. Najlepszy jest ten, w którym wiceminister jednego z kluczowych resortów krzyczy, że za pieniądze, które zarobił na państwowej posiadzie, wysłał tylko jednego z synów za granicę i na dodatek opłaca mu studia, bo syn nie będzie pracował przy smażeniu frytek, żeby się utrzymać. Inny faworyt to rozmowa z posłem, usiłującym przeforsować projekt finansowania rodzin członków partii ze środków prywatnych pozyskanych od sponsorów. W studio jeszcze długo po zakończeniu nagrania pokładano się ze śmiechu, kiedy tamten tłumaczył, że jeśli żona posła ładnie się ubierze za pieniądze od prywatnego darczyńcy, to mieszkańcy rejonu tylko na tym zyskają. Pytanie, dlaczego nadal

tego nie robię, skoro byłam taka dobra. Na szczycie popularności postanowiłam udowodnić, że jestem w stanie z każdym zrobić wszystko. Także z członkiem rządu. W dodatku bezkarnie pokazać to w telewizji państwowej. Właśnie dostałam prestiżową nagrodę dla dziennikarki dekady, którą postawiłam obok Wiktorów, Paszportów i innych znanych nagród. Na ofiarę wybrałam jednego wiceministra, który po pierwszym programie, na który go zaprosiłam, powiedział mi na osobności, że jestem babochłopem, którego by nie przeleciał nawet za pieniądze. Roześmiałam się i odpowiedziałam, że między nim a mną nie doszłoby do niczego nawet na bezludnej wyspie. Ale zabolalo mnie to. I nie odpuściłam mu. Był łatwym celem, ponieważ słynął z tego, że lubi załatwiać sprawy na rautach, polowaniach czy koncertach. Taki „swój chłop”. Wymyśliłam całą intrygę i wciągnęłam w to mój zespół. Jeden z moich współpracowników zadzwonił do biura wiceministra i zapytał, czy ministerstwo jest zainteresowane przejęciem gruntów od prywatnego darczyńcy na budowę centrum rehabilitacji dla dzieci niepełnosprawnych. Ministerstwo jak najbardziej było i poleciło złożyć stosowne papiery. Kolejny mój współpracownik, już jako prawnik tegoż „darczyńcy” skontaktował się z samym wiceministrem i poprosił o spotkanie. Dalej poszło łatwiej niż myślałam. Pan wiceminister bez żadnego skrupowania przystąpił do transakcji. Nie przyszło mu nawet do głowy, żeby sprawdzać któregoś ze swoich rozmówców, których przekonywał, że dar dla ministerstwa będzie bardzo trudny do przeforsowania i uprawomocnienia, i najlepiej będzie, kiedy grunty zostaną sprzedane bezpośrednio jemu. Naturalnie minister miał je kupić za cenę symboliczną, inną niż na papierze, a potem przekazać na budowę centrum. Założyliśmy ministrowi podsłuch i nagraliśmy jak rozmawia z jakimś znajomym biznesmenem, że trzeba „nakręcić sprawę” i „wy-cyckać tamtych”, „bo kurwa ciężko jest na tym państwowym garnuszku”. I wtedy nastąpił mój triumf, i zarazem upadek. Zaprosiłam ministra do swojego programu. Umówiłam się z nim, że będziemy mówić o jego działalności i nasze sekretariaty wymieniły się pytaniami, jakie będą zadane w trakcie programu. Pytania o centrum rehabilitacyjne dla dzieci rzecz jasna na liście nie było. Minister sprawę zaakceptował i stawiał się niczego nie podejrzewając w programie na żywo. Po tym jak to się skończyło jeszcze wiele, wiele razy analizowałam każde swoje i jego słowo. Ale niczego nie można było zmienić. Minister po odpowiedziach na rutynowe pytania o grunty, zmiany właścicieli, rozluźnił się i wtedy ja zaczęłam coś mówić o centrum rehabilitacyjnych. Klepałam, że rząd szykuje niespodziankę itd. Zesztywniał nieco, nie wiedział co jest grane i skąd ja to wiem, ale nawet w najśmielszych koszmarach nie spodziewał się, że wyemitujemy nagraną rozmowę. Miało to taką siłę rażenia, że w studiu zapadła cisza jak makiem zasiał. Nawet ja nic nie mówiłam. Prawdopodobnie zamurowało też widzów. Kamerzysta zrobił

najazd na twarz ministra, potem na czoło, które pokryło się potem. A potem pan minister wstał i powiedział bardzo grzecznym tonem: „Dziękuję za rozmowę. Dobranoc państwu”. I wyszedł ze studia. Zostało mi jeszcze dziesięć minut programu, który z trudem zapełniłam wyjaśniając na czym polegała cała sprawa, tym, którzy być może nie zrozumieli, że właśnie ktoś zastosował prowokację w celu wyjaśnienia afery, a na dodatek upublicznił jej kulisy. Fanfary grały mi w głowie, kiedy szłam do domu. Byłam przygotowana następnego dnia na wezwanie na dywanik, ale co dyrektor informacyjny mógł mi zrobić? Upomnieć, że nie konsultowałam z nim tego pomysłu? Miałam gotową odpowiedź: gdyby coś poszło nie tak, powiedziałaby, że nic nie wiedział i to była samowola. Nie miałam okazji się tłumaczyć. Rano dowiedziałam się o samobójczej śmierci wiceministra. W porze lunchu szeptało, że mam krew na rękach. A po obiedzie zostałam wyrzucona z pracy przez wicedyrektora. Naczelnym był zbyt wstrząśnięty, żeby się ze mną zobaczyć i zbyt zajęty zwoływaniem konferencji pasowych. Koledzy rzucili się na mnie jak hieny, rozszarpując na strzępy. Szczególnie ci, których poniżyłam wysoką oglądalnością, kompetencją czy byciem pupilką szefa. Wypowiadali się o mnie, że zadziałałam wbrew etyce, że sprowokowałam przestępstwo. Nieliczni przypominali nieśmiało, że nie zastosowałam metod nielegalnych, a minister od początku nie miał uczciwych zamiarów, skoro od razu zamierzał przywłaszczyć sobie atrakcyjny grunt po znacznie zaniżonej cenie. Gwoździem do trumny był premier. Ten postanowił być dobrym wujkiem i przypomniał, że wciąż „walczymy ze słabościami”, a błędy zdarzają się tylko tym, co nic nie robią. Ale zaraz potem ogłosił, że jego minister „zginął tragicznie z mojej ręki i oby Bóg mi wybaczył”. Obejrzałam w telewizji pogrzeb ministra. Wdowę podtrzymywali prezydent i premier. I wyleciałam z pracy. Z hukiem.

Przeżyłam to, owszem, ale nie pogrążyłam się w depresji. Nie jestem z tych, co narzekają, że świat ich skrzywdził. Nie miałam żadnych wyrzutów sumienia, że nazwałam złodzieja złodziejem, a ten nie zniósł publicznej kompromitacji. Dlaczego strzelał sobie w łeb? Wyleciałby tylko ze stanowiska. Może miałby sprawę w sądzie. Wyrok w zawieszeniu. I tyle. Nie, nie poczuwałam się do winy. Postanowiłam przyczać się aż sprawa ucichnie. Może napisać książkę o tym, co się stało? Albo w ogóle o poruszanych przeze mnie sprawach. Wróciłabym wypoczęta i w glorii chwały. Dlaczego byłam tego taka pewna? Ponieważ ludzie stali za mną murem. Zwykłych ludzi w Polsce B, C i D nie interesowała wdowa po ministrze wysiadająca z mercedesa. Dla nich było ważne, że ja nie mam szpilek za kilka tysięcy złotych i drogich ciuchów oraz że nazwałam drania draniem. Tyle, że miesiąc potem jak wyemitowałam program, mój mąż odszedł do cichej blondynki. Oświadczył mi to podczas kolacji, kiedy zapytałam, kiedy w tym roku wybieramy się na narty.

- Ja się z tobą już nigdzie nie wybieram - powiedział spokojnie. - Nie mam już z tobą żadnych wspólnych planów.

Kobiety w takich sytuacjach płaczą albo krzyczą, albo błagają, albo nic nie mówią. Ja krzyczałam. Jak nastolatka, z którą zrywa chłopak. Żadnej merytorycznej dyskusji, z jakich byłam znana. Żadnych argumentów. Nawet zjadliwych uwag. Wrzeszczałam, że go zniszczę, że beze mnie będzie nikim i takie tam.

- Z tobą też jestem nikim - powiedział. - A ona jest miła, spokojna i chce mieć dzieci.

I szlag trafił pisanie książki, ponieważ właśnie wtedy pogrzeżyłam się w depresji. Po raz pierwszy w życiu sytuacja mnie przerosła. Zwróciłam się z tym wszystkim do Aliny. W końcu była lekarzem.

- Pomóż mi - powiedziałam. - Nie mogę spać i płaczę.

- Nic dziwnego, że płaczesz - ona mi na to. - Włodek wreszcie cię rzucił, a tego pewnie nie było w twoich planach.

I posłała mi to swoje skanujące spojrzenie. A na koniec wykrzywiła się szyderczo. Czuałam się jak śmieć. Tak, ja też rzuciła-bym taką wredną babę jak ja. Dała mi jednak leki. Na depresję. Upowiedziła, że od razu nie będzie lepiej. Od razu nie, ale stopniowo było. Zaczęłam pisać nawet tę książkę i rozglądać się za pracą. Mimo, że Włodek wyprowadził się z naszego mieszkania, nie chciałam w nim mieszkać. Sprzedałam z zyskiem i kupiłam inne. Zaprosiłam Alinę na parapetówkę. A ona przysłała ze swoją wyniosłą córeczką, której nie znosiłam. Obie obwachały kąty.

- Ładnie - powiedziała Alina. - Sama urządziłaś?

- Nie mam dekoratora wnętrz - powiedziałam.

- A powinnaś, ciociu, zapytać mnie - powiedziała mała gadzina. - Ja na pewno kogoś bym ci poleciła.

- A jak tam w szkole? - zapytałam.

Starłam jej ten uśmiezek z buźki.

- W szkole jak zwykle - odpowiedziała Alina za córkę. - Mogłaby coś osiągnąć, gdyby chciała. A nie chce.

- Może nie może? - zapytałam, jakby jej tu nie było.

- Na pewno nie może - odpowiedziała obrażona córeczka, a potem niby niechcący wylała herbatę na kanapę z jasnym obiciem.

To jednak nie był problem. Przy obiedzie dowiedziałam się, że Alina była u Włodka. On i jego cicha blondynka zaprosili ją do swojego nowego mieszkania. Aż mnie zatrzęsło z oburzenia. Taki brak lojalności.

- Czy ty jesteś moją przyjaciółką? - zapytałam.

- Przykro mi, że w to wątpisz - ona na to.

- To dlaczego poszłaś do nowego domu mojego byłego i uśmiechałaś się do jego świeżej żonki?

- Bo jestem też jego przyjaciółką, a poza tym byłam ciekawa dla kogo cię rzucił.

-1 dla kogo mnie rzucił?

- Dla niezbyt błyskotliwej, miłej dziewczyny, która naprawdę go kocha.

Tego było za wiele.

-1 tak potrafisz rozpoznać, że ktoś kogoś kocha? - zasyczałam.

- Bezbłędnie.

Jak zwykle niezmacona pewność siebie.

- To jak się z tym czujesz, że ciebie nie kocha mąż, córka ani nawet twoja matka?

Lekko ją zaskoczyłam. Nawet udało mi się ją urazić.

- Chodźmy stąd, mamó - powiedziała jej córka.

- Tak, chodźmy.

Wstała i poszły się ubrać. Chciałam wykrzyknąć, że należało jej się za te szyderstwa, brak lojalności. Potem, że przepraszam, żeby mnie nie opuszczała. Była mi potrzebna. Jej recepty też. Ale stałam i nic nie powiedziałam. Poszły w diabły, a ja zachowałam się jak na beznadziejnym filmie, czyli zaczęłam ryczeć i walić pięścią w stół.

Nie odezwałam się do niej więcej. Miesiąc później zginęła w wypadku, a ja pożegnałam ją na cmentarzu. Nigdy jednak nie zapomniałam, że rozstałyśmy się w gniewie.

LENA

Ślepella podekscytowana.

- Dałeś mi niebieskie kwiaty, czy chcesz powiedzieć, że masz nadzieję, że ja... Niebieski to kolor nadziei. Nie, ty nie wiesz co znaczy kolory. Takie kwiaty sprzedawali w najbliższej kwiaciarni - dyktuje.

Od rana napisała osiem wierszy. Nie mam pojęcia jak pracują poeci, ale ta jest w stanie wyprodukować cały tomik w dwa dni.

- Postaw znak zapytania po „kwiaciarni” - dodaje. - Nie, nawet nie kupiłeś tych kwiatów w kwiaciarni, ale z kubła pod cmentarzem.

Jej twórczość niebezpiecznie ewoluuje. Do tej pory nie czepiała się zbyt mężczyzn. Kubeł pod cmentarzem? W końcu to chyba dobrze, że kupił jej kwiaty. W swoim życiu kwiaty dostałam od chłopaka tylko raz. I był to romantyczny Maciek. Mimo że jestem cyniczna z natury, sprawiło mi to przyjemność. Miałam dwudzieste trzecie urodziny i dostałam dwadzieścia trzy róże. Ciekawe co u niego słychać. Zrujnowałam mu to jego małe życie czy nie?

- Zapisalaś? - niecierpliwi się poetka.

- Tak, przepraszam - mówię pokornie. - Pomyślałam o kwiatkach, które ja dostałam od kogoś.

- To dobrze - cieszy się. - To znaczy, że pomyślałaś o swoich przeżyciach, kiedy czytałaś moje słowa. Świetnie, naprawdę.

- Czemu tak surowo oceniasz tego faceta? Kupił jej przecież kwiaty. Nieważne skąd.

Do tej pory nie pytałam o sens jej wierszy, ani co miała na myśli. Uznawałam, że to nie jest moja sprawa. Teraz nie mogę się powstrzymać.

- Nie mów, że też należysz do kobiet, które uważają, że jak facet zrobi jakikolwiek wysiłek, to należy się zachwycać niezależnie od tego, ile tego wysiłku z siebie wydał.

Oblicza feministycznego jeszcze nie przerabiałymy.

- Ja od facetów nie wymagam specjalnego traktowania. Dlatego unikam rozczarowań.

Nie wierzę, że jej to powiedziałam.

- Któryś musiał cię rozczarować, skoro masz takie nastawienie.

Feministka w poetce walczy z psychologiem.

Najbardziej rozczarował gwałcający mnie Krzysio, który uznał, że jestem mu winna za czynsz w naturze. Ja niestety tylko utwierdziłam go w tym przekonaniu. I Maciuś, który umiał zacząć, ale nie umiał skończyć. W myślach robię ewidencję swoich byłych. Czy

rozczarowanie jest prawdziwe, jeśli się niczego od mężczyzny nie oczekuje? Pierwszy zawiódł mnie ojciec, który najpierw nie umiał żyć z matką, a potem nie mógł żyć bez niej. Ale nie czułam rozczarowania. Przeciwnie. Wydawało mi się, że to on oczekuje, że zajmę się nim po śmierci mamy. Tymczasem ja uciekłam przy pierwszej okazji do mieszkania kochanka. I pewnie on był rozczarowany. Przypominam sobie, że oczekiwałam czegoś od brata. Mianowicie, żeby był starszym bratem i dzielnie bronił mnie na podwórku. Co prawda nikt mnie nie atakował specjalnie, miałam już renomę niezłej cholery. Był jednak chłopak z innego osiedla, który wprosił się do naszej drużyny zbijaka. Na ofiarę szczególnie upodobał sobie mnie. Kiedy inni zbijali, podkładał się sprytnie, żeby móc samemu zbijać. Wtedy uderzał piłką wyłącznie we mnie. Najmocniej jak umiał. Celował w głowę i w brzuch. Jeden raz trafił mnie prosto w nos. Coś szczęknęło i poląła się krew. Dzieci rozbiegły się w obawie, że naskarzę i będą miały w domu nieprzyjemności. Została tylko moja najlepsza koleżanka, która poszła po matkę i ten właśnie chłopak. Siedziałam bezbronna na betonie i płakałam rozmazując łzy z krwią. Strasznie mnie bolało i martwiłam się, że będę miała operację. Ten Jacek nie przestraszył się w ogóle. Siedział za to przy mnie i szydził. Słowa „głupia baba”, „obetną ci nos”, „będziesz jeszcze brzydsza” do dziś dźwięczą mi w uszach. Uciekł dopiero jak przyszła matka. I wtedy raz jeden jedyny poskarżyłam się bratu. Powiedziałam co się stało i poprosiłam, żeby tego Jacka sprął. Roześmiał mi się prosto w złamany nos. Sama sobie dawaj radę z chłopakami, usłyszałam. I ten jeden raz przeżyłam rozczarowanie, ale potraktowałam to jak lekcję. Sama sobie muszę dawać radę z chłopakami. I nie wolno oczekiwać, że ktoś weźmie mnie w obronę. Ten Jacek już nie przychodził do nas na podwórko. Ja też „wypisałam się” ze zbijaka po tym jak mnie potraktowały dzieci. Ale to nie było nasze ostatnie spotkanie. Spotkałam go wiele lat później, w pierwszej klasie liceum. Chodził do tej samej szkoły, tyle, że do czwartej klasy. Poznał mnie od razu, jak i ja jego. Podszedł i zaczął rozmowę. Od historii z nosem minęło parę lat i wydawać by się mogło, że nie ma już znaczenia, co się wtedy stało. Nie dla mnie. Najpierw trzymałam dystans, aż zorientowałam się, że na serio jest mną zainteresowany. Wtedy zmieniłam strategię. Umówiliśmy się kilka razy na randki, chodziliśmy do kina i kawiarni. Zgrywałam niedostępną. On mi wyznał, że już wtedy mu się podobałam, dlatego tak się zachowywał. Aż wreszcie zapytał, czy nie pójdę z nim na studniówkę. Zgodziłam się. Jeszcze nie wiedziałam jaki numer wytnę. Na początku planowałam, żeby wystawić go do wiatru i w ogóle nie pójść. Straciłby pieniądze wpłacone za mnie i parę do poloneza. Po namyśle poszłam. Wyglądałam naprawdę dobrze. Sama przerobiłam dla siebie bordową jedwabną sukienkę matki. Przez całą studniówkę bawiłam się z jego kolegami i ignorowałam go jako partnera i chłopaka. Wreszcie

wyszłam z jego najlepszym przyjacielem. Całowaliśmy się w samochodzie tak długo, aż znalazł nas Jacek. Wtedy pierwszy raz usłyszałam słowo „kurwa” skierowane w moją stronę. I nie mogłam sobie wyobrazić lepszej zemsty, ponieważ ten kolega rozbił Jackowi nos. W mojej obronie. Jacek zalewał się krwią, a my odjechaliśmy. I to była moja pierwsza zemsta na facecie, który mnie skrzywdził.

- Zostawił mnie narzeczony - wyznaje Ślepella przerywając moje rozmyślenia. - Kiedy zaczęłam tracić wzrok.

- Mówiłaś, że to ty go zostawiłaś?

- Formalnie tak - wzdycha. - Po wypadku był wspaiały. Czuły, opiekuńczy, pomagał załatwiać formalności pogrzebowe. Podjął się nawet identyfikacji ciała, ale nie pozwolono na to. Musi być rodzina. Pojechał z nami na Oczki. Trzymał mnie za rękę, wspierał ojca.

Milknie na chwilę.

- Zapisz proszę: Rzuciłam perłę przed jednego wieprza. Byłam pewna, że jej nie zauważy. A jednak... Zawołał małpę i prosił, żeby nanizła ją na nitkę. Potem ją nosił do śmierci.

Zatyka mnie. Jej podzielność uwagi jest niewiarygodna. To już dziewiąty wiersz w dniu dzisiejszym.

- Tydzień po pogrzebie mamy przyszedł do domu z różami - wraca do poprzedniego wątku. - Róże były czerwone, a ja nie widziałam ich wyraźnie. Tylko rozmazane plamy. Wcześniej tego nie zauważyłam. Widziałam wcześniej nieostro, ale ciągle płakałam i tarłam oczy. Męczyły mnie bóle i zawroty głowy, wymiotowałam, nie mogłam spać. Sama myślałam, że to stres. Poprosił ojca o moją rękę. Na kolanach. Zamiast wzruszenia poczułam, że powinnam iść do lekarza i zbadać te oczy, bo coś jest nie w porządku. I powiedziałam to. Klęska totalna.

-1 co w tym złego? - pytam.

- Wyobraź sobie. On klęczy i łamiącym się głosem obiecuje mojemu ojcu, że będzie się mną opiekował, kocha mnie nad życie i będzie czekał ze ślubem na czas trwania żałoby. A ja zamiast zalać się łzami wzruszenia, wykrzykuję, że coś mi jest w oczu i muszę iść do okulisty, zaraz, teraz.

Śmieje się cicho.

- Ojciec powiedział, że zachowałam się niezręcznie. Wstydził się za mnie. Tym bardziej, że pojechaliśmy we troje na ostry dyżur okulistyczny i tam dowiedziałam się, że nic mi nie jest. Histeria.

- Mówiłaś, że byłaś u kilku okulistów.

- Dopiero trzeci wysłał mnie do neurologa. Już wtedy było źle, chociaż na skierowaniu mogłam jeszcze odczytać rozpoznanie wstępne: „Podejrzenie ślepoty histerycznej”.

- Moja mama była neurologiem - mówię.

- Naprawdę? - dziwi się. - Moja też była lekarzem. Internistą.

Popatrz, popatrz.

-1 było na wszystko za późno. Chodziłam z wylaną krwią, która uszkodziła ośrodek wzroku. Gdyby wiedzieli o tym wcześniej, mogliby tę krew upuścić. Leżałabym, aż reszta by się wchłonęła i nie byłabym ślepa.

- A ten twój narzeczony?

- W ciągu dwóch tygodni straciłam matkę i wzrok. To było za trudne dla niego. Upierał się, żebyśmy od razu wzięli ślub.

- Czyli nie chciał cię zostawić?

- Powiedziałam, że muszę to wszystko sobie poukładać sama i zrywam zaręczyny. Dałam mu pretekst, z którego chętnie skorzystał. Po roku ożenił się z inną dziewczyną.

- A ty przeżyłaś rozczarowanie - podsumowałam.

- Napisz: Powinnam powiedzieć idź i nie wracaj. Zamiast tego idę na twój ślub. Mam nadzieję, że będziesz żył długo i nieszczęśliwie.

Kolejny tomik poezji wydaje się być skończony.

ALINA

Moje nowe życie było zaskakująco udane. Jako Alina nie radziłam sobie z sobą ani z otaczającym światem, chociaż dla ludzi patrzących z boku mogłam być wzorem uporządkowania, sukcesu w pracy i stosunków rodzinnych. Jako Krystyna jestem samotną panią, której życie się nie udało, ale ma też swoje plusy. Jednym z takich plusów było znalezienie pracy w barze nieopodal mojego miejsca zamieszkania. Moje 30 tysięcy nie stopniało tak bardzo, ale nie były to znów takie pieniądze, za które mogłam beztrudno żyć. Znalezienie pracy to było nie lada wyzwanie. Spodziewałam się, że człowiek, który chce się zatrudnić, musi podać na tacy całe swoje życie kadrom, a stąd mały krok do tego, żeby jakiś urzędnik zwrócił mi uwagę, że nie jestem panią Zembruską. I tu dalej działała moja szczęśliwa gwiazda, anioł stróż czy cokolwiek to może być. W barze potrzebowali kucharki. Właścicielka - młoda dziewczyna odziedziczyła interes po rodzinie, a nie zamierzała sama stanąć za kuchnią. Próbowwała sprzedać lokalik, ale się nie udało. Płaciła na tyle marnie, że żaden kucharz z dyplomem nie zgodziłby się pracować. Ja od razu powiedziałam, że nie mam dyplomu, ale umiem i lubię gotować. Zaczęłam pracę. Początki były trudne. Musiałam nauczyć się planować zakupy i gotować tak, żeby jedzenie się nie marnowało. Nie jest to łatwe zadanie. Pewne potrawy można przygotować wcześniej i potem odgrzać, np. pierogi czy zupy, ale trzeba zaplanować, ile się „zje” w ciągu jednego dnia. Trochę czasu mi to zajęło. Inaczej jest w dni powszednie, inaczej w weekendy. Obawiałam się bardziej technicznych kwestii zatrudnienia. Pani Agnieszka nie chciała zatrudnić mnie na czarno. Bała się inspekcji. Ja miałam tylko dowód osobisty i żadnej wiedzy na temat NIP-u czy innych danych pani Zembruskiej. Ale załatwiłyśmy to bardzo szybko. Najpierw wymeldowałam się ze starego adresu, potem załatwiłam sobie nowy dowód z własnym zdjęciem i nowym adresem, a potem urząd skarbowy wydał mi wszelkie dane, których „zapomniałam”. Przy okazji dowiedziałam się, że osoba, pod którą się podszyłam, nie była ubezpieczona i straciła prawo do renty. To wszystko zostało z pomocą znajomej Agnieszki z urzędu załatwione i uregulowane. Nikomu do głowy nie przyszło kwestionować faktu, czy aby na pewno jestem tym, za kogo się podaję. Byłam nawet na badaniach koniecznych do zezwolenia na pracę przy żywności. Słowem, stałam się całkowicie nowym człowiekiem. Dosłownie i w przenośni.

Wzięłam się za prowadzenie baru z dużą pasją. Po miesiącu nie miałam kłopotu z planowaniem ilości zakupów. Po sześciu miesiącach bar zaczął przynosić zyski, a po roku słynął na całą Pragę. Przychodzili głównie młodzi ludzie, gimnazjaliści, licealiści, ale także ich rodzice. Było czysto, tanio i smacznie. Sama nie wiem, kiedy ta praca zaczęła sprawiać mi

przyjemność. W domu gotowałam, ale raczej niechętnie. Mąż jadł to, co mu podstawiłam pod nos, a córka wiecznie grymasiła. Teraz ludzie przychodzili i chwalili obiady pani Krysi. Wymyśliłam różne bardzo praktyczne dania. Na przykład proponowałam mięso z rosółu wołowego z chrzanem. Pamiętam, że to jedynie danie, które lubił mój mąż. Okazało się, że chętnych na takie mięso jest bardzo wielu. Poza tym podzieliłam menu na męskie i damskie. Kobietom dawałam mniejsze porcje, mężczyznom więcej mięsa. Męskie sałatki były solidne, typu jarzynowa, mizeria, sałata ze śmietaną, a dla dziewczyn surówki, warzywa na parze. Wszystko miało praktyczne i konkretne nazwy typu: kotlet mielony drobiowy lub wieprzowy, albo mizeria, sałatka jarzynowa z jajkiem i szynką itd. Żadne tam „plastry sera w onucach z konfitur”. Dania miały ogromne powodzenie. Pierogi sprzedawałam na sztuki, podobnie kotlety mielone czy krostki, także na wynos. Pieklam pasztety, robiłam mięsa w galarecie i wszystko ludzie zjadali. Moje pasztety były znane na całej Pradze. Co nie udało się sprzedać, niosłam do domu, albo brała Agnieszka, której narzeczony miał dobry apetyt. Nie musiałam wydawać pensji na jedzenie. Z czasem zaprzyjaźniłam się ze stałymi bywalcami baru i oczywiście z Agnieszką, która traktowała mnie jak członka rodziny. Czasami pytała mnie o przeszłość, ale dałam do zrozumienia, że miałam wielkie problemy rodzinne, straciłam rodzinę i leczyłam się psychiatrycznie. Zrozumiałe, że bała się zapytać o szczegóły. Poza tym byłam najnormalniejszą panią pod słońcem, więc nie wydawała się bać, że dostanę psychozy i zacznę sprawiać kłopoty. Lubiała mnie zresztą i traktowała może nie jak matkę, ale na pewno jak zaufaną ciotkę. To na moim ramieniu wypłakiwała się, kiedy chłopak zostawił ją dla innej dziewczyny.

- Zobaczysz - przekonywałam - znajdziesz sobie lepszego.

I znalazła. Nie od razu, ale tworzyli bardzo udaną parę do niedawna. Coś się tam potem popsulo, nie pytałam dokładnie, o co poszło. Podobno był nieodpowiedzialny. Nie wiem, sprawiał bardzo miłe wrażenie. Widziałam go kilka razy, z daleka wprawdzie, bo nie chciałam się spoufalać. Podobałby się mojej córce. Historyk, uczył w szkole, taki miał chmurny wygląd. Zawsze grzeczny, z dobrej rodziny. Nie wiem, co ona od niego chciała. Rzuciła go, a potem płakała.

- Czemu, pani Agnieszko? - zapytałam kiedyś.

- Nasz związek szedł w niewłaściwym kierunku - ona na to.

Mało związków idzie we właściwym kierunku. Mój na przykład w ogóle nie powinien się zdarzyć. Poznałam męża na studiach, na jakiejś imprezie studenckiej. Zaprosili chłopaków z politechniki i sfeminizowany wydział lekarski. Kilka par powstało. My też zaczęliśmy chodzić ze sobą. Miałam nadzieję, że ten związek będzie przejściowy, że spotkam

mężczyznę, który naprawdę będzie mi odpowiadał pod względem temperamentu i dorównywał intelektem. Tak się nie stało. Chodziliśmy ze sobą ze Zbyszkim kilka lat, aż wreszcie staliśmy się „narzeczeństwem”, a potem wzięliśmy ślub. Moja matka była temu przeciwna. „Zobaczysz, mówiła, znudzi cię po roku małżeństwa”. Nie miała racji. Nudził mnie jeszcze zanim zostaliśmy sobie poślubieni. Ja nie wierzę w uczucia. Nie dane mi było doświadczyć tak zwanej „prawdziwej miłości”. Nie marzyłam o tym ani nie tęskniłam. Gdybym trafiła na człowieka, z którym mogłabym porozmawiać o swoich pasjach - wystarczyłoby to, żeby utrzymać małżeństwo. A tak, po kilku latach przestaliśmy sypiać ze sobą. Po urodzeniu syna długo „się goiłam” i nie miałam ochoty na seks. Potem mąż nie nalegał, a mnie było z tym dobrze. Uznałam, że jedno dziecko - syn, zupełnie mi wystarczy. Kiedy zaszłam w ciążę z córką, byłam zszokowana. Nie sypialiśmy ze sobą od lat. Co nie znaczy, że nie sypiałam z innymi. Miałam trzydzieści pięć lat i nie sądziłam, że ten jeden stosunek bez zabezpieczenia zaowocuje krzyczącym wniebogłosy stworzeniem, który stale domagało się mojej obecności. Zachowałam się jak durna nastolatka, nawet nie jak kobieta, która już była matką, a już na pewno nie jak lekarz. Kiedy nie miałam miesięczki, pomyślałam, że to jakieś zaburzenia hormonalne, przedwczesna menopauza może. Wynik testu ciążowego był dla mnie szokiem. Potem źle się czułam, schudłam i przytyłam. Dziwna była ta ciąża. Pierwsze ruchy dziecka wywołały przerażenie. Obcy w środku mnie. Przeklinałam swoją głupotę. Trzeba było pozbyć się dziecka, zanim komukolwiek powiedziałam o ciąży. A wszyscy wokół, na czele z mężem i moja mamusią oszaleli ze szczęścia. „Mała buba” to i „mała buba” tamto świergotał mój mąż, a mnie skręcało. Dlaczego nie pozbyłam się tej ciąży? Poród był koszmarem. Musiałam udawać zachwyty, kiedy położyli mi dziecko na brzuch. Noworodek nie płakał, tylko łypał na mnie dużymi oczami. Od razu wiedziałam, że będę beznadziejną matką. Już syna wychowywałam dość oschle. To, że tym razem urodziłam córkę, naprawdę niczego nie zmieniło. Starłam się wychować ją na odpowiedzialną osobę. Byłoby miło być dumną z dziecka, ale nie w tym przypadku. Miałam przeciętną córkę, zwykłą miernotę. Tak fatalną, że od niej uciekłam. Mogłabym powiedzieć, że nasz związek od początku szedł w niewłaściwym kierunku, jak ten Agnieszki i nauczyciela. Ale ona przynajmniej z nim w porę zerwała.

O wilku mowa. Wpadła do kuchni z rozwianym włosom i pyta czy są jeszcze kopytka, bo ktoś specjalnie przyjechał, żeby spróbować.

- Pewnie, że są - unoszę głowę znad flaków. Z tego dania też słynę. - Zaraz odsmażę.

Kopytka mają być dodatkiem do mielonych i mizerii. Ktoś specjalnie przyjechał do mnie na obiad. No, no.

LENA

Piotr Nowak gapi się na mnie bezczelnie. Siedzimy w kawiarni. On popija zieloną herbatę, ja sącę espresso. Rozmowa się nie klei.

- Czemu mi się tak przyglądasz? - pytam.

- Przepraszam - bąka.

Ten człowiek nie mówi, tylko wydusza z siebie dźwięki. To nie do zniesienia. Jak już uda mu się sklecić jakieś zdanie, to mamrocze patrząc w bok. Nic dziwnego, że dziewczyna go rzuciła.

- Tak tylko się zastanawiam, po co mnie zaprosiłeś - wzdycham. - Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć na temat Eli - zapytaj. Wiem co mogę powiedzieć, a co jest jej prywatną sprawą.

- Tak...To znaczy nie...

Irytujący jest. W dodatku ma na sobie kolejną kraciastą koszulę i czapkę bejsbolówkę na głowie. Na nogach adidas. Naprawdę urwał się z lat osiemdziesiątych. Gdyby go jednak przebrać, byłby całkiem, całkiem.

- Chciałem zapytać czy kogoś masz? - wyrzuca z siebie patrząc mi prosto w oczy.

To pierwsze wyraźnie wypowiedziane zdanie, odkąd się znamy.

- Nie mam - postanawiam nie udawać, że nie wiem o co mu chodzi.

- A Ela?

A więc jednak o nią chodzi.

- Też nie - mówię. - Powiedziała o tym wyraźnie podczas nagrywania programu. I nie jesteśmy parą, jeśli masz jakieś wątpliwości.

- Nie sugerowałem...

- A możesz mi powiedzieć, o co ci chodzi? Najlepiej wprost. Ja w przeciwieństwie do was, poetów, porozumiewam się prozą.

- Sam nie wiem o co mi chodzi - znów mamrocze i patrzy w bok. - Jesteście raczej niezwykle.

I nie może się zdecydować, którą z nas woli?

- Wyjdźmy stąd - proponuję. - Gdybyś odprowadził mnie do domu, byłabym wdzięczna, ponieważ mój były mnie prześladował. Wołałabym być z kimś, gdyby czekał pod domem.

- Jasne - mówi z zapałem.

Dałam mu temat do rozmowy. Po drodze pyta o szczegóły. Jak zwykle zmieniam trochę rzeczywistość. Opowiadam zwięzłą historię o tym jak Krzysztof nie mogąc się

pogodzić z moim odejściem, nachodzi mnie w domu i próbuje z niego wyrzucić.

- Dlaczego zerwaliście? - pyta.

- Jest żonaty - wyjaśniam. -1 to jest jego mieszkanie. Jestem w trakcie szukania innego.

- Mieszkam niedaleko ciebie, wiesz? - mówi nieśmiało. - Jesteśmy naprawdę blisko mnie. Może zechciałabyś wpaść? Moglibyśmy zjeść kolację razem. Niewiele mam w lodówce, ale może zrobię zakupy po drodze.

Czemu nie? On w sumie zyskuje przy bliższym poznaniu. Może naprawdę jest w porządku, tylko wolno się rozkręca?

- Ale mieszkasz sam? - upewniam się.

- Tak - odpowiada zaskoczony. - To mój stary dom. Rodziców znaczy... Wyprowadzili się z siostrą do Zielonki pod Warszawą. Ja zostałem w tym mieszkaniu. Pracuję w tej szkole - pokazuje okazały betonowy budynek, który mijamy.

Całe szczęście. Nie bardzo mam ochotę poznawać resztę rodziny Nowaków. W niewielkim sklepie Piotr próbuje robić zakupy. Z produktów, które wkłada do koszyka, wynika, że ma zamiar zrobić mi kanapki. Przejmuję inicjatywę. Kupuję puszkę pomidorów, małą wędzoną pierś kurzą, kilka plastrów boczku i tagliatelle. Dorzucam jeszcze paczkę kostek rosółowych, bazylię i główkę czosnku. Pytam, czy ma w domu oliwę z oliwek. Ma, siostra mu przywiozła z Grecji. Mijamy dział z alkoholem.

- Kupić piwo? - pyta.

- Wino - mówię wskazując całkiem dobre węgierskie za niewielką cenę.

Płaci grzecznie.

Mieszkanie ma w nieco lepszej części Pragi. Blisko Floriańskiej. Przeprasza mnie, że ma bałagan. Za odrapanymi drzwiami przeżywam przyjemne zaskoczenie. Rzeczywiście ma bałagan, ale mieszkanie obszerne, przyzwoicie urządzone. Wprowadza mnie do dużej kuchni z drewnianym stołem pośrodku.

- Jeśli powiesz mi dokładnie co mam robić - mówi. - To ci pomogę. Potrafię obrać, pokroić...

- Umyj talerze - pokazuję palcem zlew Wypełniony brudnymi naczyniami. -1 potrzebuję blatu do pracy.

Rzuca się z zapalem do zmywania i porządkowania. Ja tymczasem pełna obaw zaglądam do lodówki. Nie jest tak źle. Wprawdzie na środku widzę sześciopak piwa, ale tuż za nim znajduję nieprzeterminowaną śmietanę i kawałek sera żółtego wyschniętego nieco, ale bez śladów pleśni.

Z pomidorów, kostek, śmietany i przypraw przyrządzam gęstą zupę. Nie ma tu miksera, więc ubijam zupę trzepaczką. Wstawiam do piekarnika grzanki z masłem, serem i bazylią. Szybko robię sos z boczku, wędzonej piersi i oliwy z oliwek. Wstawiam wodę na makaron.

Poeta patrzy na mnie urzeczony.

- Potrafię gotować - mówię. - Tylko nie przepadam za tym. - Agnieszka nie umiała...
Moja była znaczy... - znowu to dukanie.

Wzruszam ramionami. Chyba ta jego była wciąż mu zalega.

- Otwórz wino - zarządzam. -1 daj jakieś kieliszki.

Kolacja robi na nim wielkie wrażenie. Patrzy na mnie jak w obraz.

- Jesteś niezwykła - powtarza.

- To Ela pisze wiersze - mówię. - Ja potrafię gotować i dobierać ciuchy.

-1 wino potrafisz dobrać.

- Jeden z moich byłych interesował się tym - mówię. - Podobno mam nos i podniebienie. Niestety nie mogę rozwijać tej pasji.

- Dlaczego?

- Staram się przeżyć - mówię dość szczerze. - A wino kosztuje trochę więcej niż piwo.

- Idiota ze mnie - mówi.

- Pan poeta... - uśmiecham się.

Ramiona ma zaskakująco silne. Pachnie szamponem do włosów i dezodorantem typu „bryza morska”. Usta ma ciepłe, suche i miłe. Ręce błądzą po moim ciele. Oddaję pocałunki świadoma, że nie skończy się na obściskiwaniu w kuchni. Unosi mnie do góry i niesie, a właściwie przesuwa do pokoju obok.

Pasiasta kanapa aż się prosi, żeby się na niej położyć. Piotr wlecze mnie jednak dalej, w głąb mieszkania. Za przeszklonymi drzwiami ma małą sypialnię. Prawie całą wypełnia drewniane, duże łóżko. Rozbiera mnie delikatnie i powoli. Nie ma zdzierania pospiesznie ubrań. Gdyby robił to trochę wolniej, można by sądzić, że zamierza zdjęte ubrania ułożyć starannie na stoiku poskładane w kostkę. Może tak kochają się poeci? Nawet ci, którzy są neowulgarystami praskimi. Ściąga ze mnie powoli bluzkę pokrywając pocałunkami ramiona, ręce i brzuch. Potem nieporadnie rozpina spódnice. Zostaję w pończochach i w koronkowym bordowym komplecie. Marszczy czoło, kiedy widzi kreskę na podbrzuszu - ślad gwałtu. Biust mam spory. Widać to dopiero po zdjęciu bluzki. Kontrastuje ze szczupłością mojego ciała. Piotr jest zaskoczony. Dotyka ręką piersi, delikatnie. To miłe. Nie znoszę facetów, którzy ugniatają biust, jakby praktykowali w piekarni. Bardziej stanowczy jest wobec brodawek.

Uciska je palcem i całuje wsysając głęboko. Siadam na brzegu łóżka, ale on podnosi mnie delikatnie i przenosi na środek. Próbuję go rozebrać, ale odsuwa moje ręce i nie pozwala zająć sobą. On jest kompletnie ubrany, ja w pończochach i stringach. Zostawia moje piersi w spokoju i zanurza głowę w podbrzusze. Czuję w pępku jego język. Rękami sięga do pończoch. Nie odrywając ust od pępka, ściąga je w dół. Jestem naprawdę podniecona. Znow czuję jego język. Tym razem po wewnętrznej stronie ud. Wkłada wreszcie palce za gumkę i ściąga stringi w dół. Rozchylam nogi. Odrywa się ode mnie i wpatruje w moje krocze.

- Nigdy nie widziałem czegoś tak pięknego - mówi cicho.

Czuję się jak w kiepskim romansie. Moim ciałem wstrząsają autentyczne dreszcze. Zamykam oczy i staram się odgadnąć gdzie mnie dotknie. Rękami dotyka mnie po piersiach, talii i pośladkach. Pozwala mi wreszcie na zdjęcie okropnej kraciatej koszuli i T-shirta. Jest bardzo ładnie zbudowany, ma mało włosów. Kładzie się koło mnie. Obejmuje mnie i przewraca delikatnie na bok. Nie pozwalam mu do końca przejąć inicjatywy. Odpycham go delikatnie, układam na wznak i siadam okrakiem tyłem na jego piersiach. Na pośladkach czuję pocałunki, w talii ręce. Rozpinam mu spodnie i ściągam w dół. Nie nosi bielizny.

Neowulgaryści są w łóżku delikatni i mogą bardzo długo. A ja leżałam pod nim, zachwycona jego ruchami, obejmując go i głaszcząc całą noc. Nad ranem zasnęliśmy wyczerpani na jakieś dwie godziny. Rano popatrzył na mnie spod spuchniętych powiek, pocałował mnie wcale nie tak delikatnie jak poprzedniej nocy i zapytał:

- Miałaś kiedyś myśli huxleyowskie?

- Jakie?

- Ja często tak myślę. Jak Huxley. No wiesz: całe szczęście, że nie jestem tym czy tamtym. Teraz też.

- Pisałam o tym w pracy magisterskiej - uśmiecham się.

- Niemożliwe! O „Nowym wspaniałym świecie”?

- Niezupełnie - studzę jego zapał. - O modzie jako sposobie na przynależność do grupy. Tam tak właśnie jest. Kolor ubrania określa pochodzenie i determinuje życie grupy.

- Nigdy w ten sposób tego nie odbierałem - siada na łóżku.

Wstaję. Mam godzinę na to, żeby pójść do mieszkania, umyć się, przebrać się i dotrzeć do mojej poetki.

- Lenina - mówi nagle. - To jest imię dla ciebie.

Odwracam się i wychodzę. Kolejny facet i kolejne imię.

- Ciemność jest we mnie... - dyktuje poetka. - Nie ogarnia mnie nic... Mogę być dla

wszystkich, a jestem dla nikogo.

Ledwie zdążyłam przebrać się w domu. Mam obsesję na punkcie czystości ciała. Jeśli śpiam u kogoś, co zdarza mi się rzadko, mam ze sobą rzeczy na zmianę, własne kosmetyki. Muszę z siebie zmyć dotyk mężczyzny, jego ślinę, pot. Wtedy się od niego uwalniam całkowicie. Pokrywam się swoimi zapachami jak kokonem i znów jestem sobą. Dla niego mogę być Leną, Lenką, Marleną, Maleną, nawet... Leniną. Grunt, że ja jestem pewna kim jestem - sobą. Zmywam i zapominam. Ślepella potrzebuje, żeby ją coś ogarnęło. Nie zdaje sobie chyba sprawy z tego, że myśli o ramionach mężczyzny. Żadna tam ciemność i żadne „Mogę być dla wszystkich, a jestem dla nikogo”. Poetka miała chyba na myśli: „Chcę być dla niego, a jestem dla nikogo”. Ciekawe o kogo chodzi? O byłego narzeczonego? Raczej go nie poznam. Chociaż takich dupków jest tylu, że wystarczy sobie wyobrazić dowolnego, który ucieka przy najmniejszych trudnościach. Mnie też chłopak zostawił po śmierci matki. Ale ja nie liczyłam na niego. Mieliśmy taki układ raczej zabawowy. A w żałobie nie wypada się bawić, zwłaszcza osieroconym córkom. I mnie też nie było wtedy do śmiechu. Miałam niejasne poczucie, że może to jakiś przełom, że powinnam coś zmienić. Nie wiedziałam jednak co i przede wszystkim kogo? Ojca zapuszczającego brodę, wpatrującego się godzinami w okno? Brata, który natychmiast po pogrzebie wyprowadził się z żoną do swoich teściów, do Wrocławia? Samą siebie? Tamten nazywał mnie Len. Od połysku moich włosów niby. Był ze mną na pogrzebie, potem jeszcze spotkaliśmy się kilka razy, ale już się nie kleiło. Rozstaliśmy się z obopólną ulgą.

- Wyrzuć to - wzdycha poetka. - Nie wychodzi mi kompletnie. Nie rozumiem...

- Dlaczego? - protestuję.

- To chała jakaś. Bzdury bez sensu.

- Chyba poezja na tym polega? - pytam dla rozładowania atmosfery.

Ślepella nachmurzą się. Musiało rano dojść tu do scysji. Wchodząc minęłam babcię, która sunęła po mieszkaniu jak gradowa chmura. Od chwili, kiedy zaczęłam pracować u Eli, widziałam tę babcię tylko raz. Wnuczka jest do niej bardzo podobna. Te same oczy, rysy twarzy, eleganckie ruchy. Babcia musiała być z dobrego domu. Miała na sobie rzeczy skromne, ale z dobrych materiałów i w dobrym gatunku. Włosy siwe, starannie ułożone, dyskretny makijaż. Przyjrzała się wtedy mojemu strojowi. Zupełnie przypadkiem byłam ubrana w białą bluzkę i szarą spódnicę typu ołówki. Włosy miałam związane w kok i okulary kujonki. Wyglądałam jak uczennica z lat osiemdziesiątych i to się chyba spodobało. Zauważyłam już wtedy, że między babcią a wnuczką jest wyraźny dystans. Babcia zostawia obiad na kuchni, ale wycofuje się, jakby podkreślała, że jest w tym mieszkaniu obca. Z kolei

Ślepella zwraca się do niej jak do nieproszonego gościa, uprzejmie, ale chłodno. Dziś wydaje się, że coś tu zaszło. Babcia miała zaciśnięte usta i ledwie odpowiedziała na moje pozdrowienia. Poetka zaś nie była w stanie od godziny podyktować mi jednej sensownej linijki.

- Poezja nie polega na pisaniu bezsensów - oburza się. - Tylko na przedstawieniu jakiegoś zdarzenia w kontekście bardziej uniwersalnych przemyśleń czy pytań.

Albo nafaszerowaniu tych przemyśleń określeniami w stylu: „zarabisty”, „gównożerca psychiczny” albo „pierdolenie duszy”. Zwłaszcza to ostatnie miało na pewno wielu fanów.

- Pisz: Ktoś chce być jak ja... Mówię: proszę bardzo. Staje się mną i kradnie...

Ta babcia musiała ją nieźle wkurzyć.

- Może pójdziemy na spacer? - proponuję.

- A jaka pogoda? - kapituluje.

Nienajlepsza. Trochę mży, ale ogólnie ciepły listopad.

- Babcia miała pretensje, że nie poszłam z nią na grób matki.

- Czemu nie poszłaś? - pytam ostrożnie.

- Sama nie wiem. - odpowiada. - Zwykle chodzimy rano, przeciskamy się między tłumem ludzi. Babcia nie umie mnie prowadzić. Umieram z przerażenia, że spotkamy kogoś znajomego, kto nie wie, że nie widzę.

- Mogłaś powiedzieć, że mnie potrzebujesz. Pojechałabym z tobą.

- A nie jechałaś do swojej mamy? - pyta zdziwiona.

No właśnie. Brat zadzwonił do mnie i tonem nieznoszą-cym sprzeciwu powiedział, że przyjedzie po mnie pierwszego o ósmej rano, razem pojedziemy do Błonia po ojca, a potem na grób. Zwykle stosuję bierny opór i wymawiam się podając mnóstwo przyczyn dla których nie mogę pójść ze wszystkimi. Nienawidzę chodzić na cmentarz i patrzeć na grób matki. Świadomość, że coś, co było nią, leży w grobie, sprawia, że zaczynam się bać. Śmierci, przemijania, choroby, samego strachu. Jest jeszcze jeden powód. Nie znoszę żony swojego brata. Cierpiętnicza mina, jaką ta kobieta przybiera za każdym razem, kiedy się widzimy, doprowadza mnie do szału. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wzbudzam w niej litość. Wiem, że chciała zastąpić mi matkę, tak z dobroci serca. Wyprostować moje pokrzywione życie, pełne przelotnych związków i życia z dnia na dzień. Tyle, że ja uciekłabym z domu nawet gdyby matka żyła, zwłaszcza gdyby żyła. Jej śmierć to był impuls. Takie: teraz albo nigdy. Brat chyba zrozumiał. Sam uciekł od ojca nawet za cenę mieszkania z teściami. Na grób pojechałam tydzień wcześniej. Umyłam go, zapaliłam świece. Bratu powiedziałam, żeby wzięli ojca. Obiecałam, że pojadę następnego dnia wymienić wkłady w świeczkach. Potem

wysłuchałam jeszcze, że brat z żoną postanowili zabrać ojca do siebie do Wrocławia. Ojciec się jednak sprzeciwił. Nie dziwi mnie to wcale. Co by ojciec robił we Wrocławiu w willi synowej, o której zawsze wyrażał się z szacunkiem, ale która podobnie jak ja wzbudzała w nim jedynie irytację?

- Podzieliliśmy się obowiązkami - budzę się z letargu. - Ja pojechałam w Dzień Zaduszny.

- Ja w ogóle. Nie mogę jakoś. Może w Wigilię byśmy poszły? - pyta Ślepella.

Znów patrzy na mnie jakby widziała. Kiwam głową. Wyczekiwanie na jej twarzy nie zmienia się.

- Oczywiście - mówię. - Bardzo chętnie.

- Wiesz? - ożywia się. - Dzisiaj nici z poezji. Chciałam napisać coś nowego, ponieważ zaproponowano mi wieczorek autorski. Trochę w ostatniej chwili... Coś tam, że termin się zwolnił...

- Kiedy? - pytam.

- W niedzielę - mówi. - O szóstej w takiej kawiarni na Nowym Świecie.

- „Nowy Wspaniały Świat” - podpowiadam.

- O, to to - cieszy się.

Nastrój jej się zmienił. Wciąż nie mogę się przyzwyczaić, jak to u niej szybko idzie.

-...i pomyślałam sobie - paple. - Że zaproszę Piotra. Co ty o tym myślisz?

A co to ma do rzeczy, co ja o tym myślę? Jego ręce, język w pępku, szczupłe ciało o zaskakująco silnych ramionach. Nazwał mnie Lenina. „Nowy wspaniały świat”. Huxley. Kawiarnia na Nowym Świecie.

- To twój wieczór - mówię. - Ale pomysł wydaje mi się bardzo dobry.

- No właśnie - wydobywa komórkę dla niewidomych i wybiera numer.

- Witaj - mówi lekko schrypniętym głosem. - Jeśli masz czas w najbliższą niedzielę to zapraszam do „Nowego wspaniałego świata”. Na mój wieczór autorski.

Czeka na efekt. W słuchawce chyba cisza. Nie wiem czy Piotr jest zaskoczony zaproszeniem czy nazwą kawiarni w kontekście naszej porannej rozmowy. Ślepella ścisza komórkę aż bieleją jej kostki. Chyba jej zależy.

- To jest kawiarnia na Nowym Świecie... No tak, dawny „Nowy Świat”. Huxley? Naturalnie, że czytałam. To jedna z moich ulubionych książek.

Oczywiście. Jak mogłam na to nie wpaść? Poeta ciągnie do poetki. „Jesteście takie niezwykle” powiedział mi przecież. Pewnie miał na myśli to, że ona jest niezwykła a ja... Czyżbym słyszała rozczarowanie we własnych myślach? Przelecieliśmy się tylko, oboje.

Tego chcieliśmy i było cudownie. Nic poza tym. Jest „Nowy Wspaniały Świat” w niedzielę, ale nie ma Leniny. Koniec.

- Był zaskoczony, ale powiedział, że przyjdzie - oddycha z ulgą.

- Wiesz co? - zrywam się w kierunku szafy. - Jak pozwolisz to przerobię dla ciebie sukienkę. Będziesz wyglądać jak milion dolarów. Na pewno się spodobaś.

- Myślisz, że mogłabym mu się spodobać? - pyta.

- Na pewno - potwierdzam gorąco. - Powinniście spróbować. Może się wam udać.

Prawie w to wierzę.

MARIA

Zaczęłam poszukiwania metodycznie, jak dziennikarka. Mam znajomości w „sądówce”. Wykorzystałam je. Dostałam protokół z sekcji zwłok po tamtym wypadku. Gdybym nie wiedziała, że Alina przeżyła, nie podejrzewałabym, że w raporcie jest coś nie tak. Ale wiedziałam, że żyje. Przeczytałam raport z tej sekcji. Opisane bardzo dokładnie obrażenia zewnętrzne i wewnętrzne. Ciało zmasakrowane, zupełnie zmiażdżone przez uderzenie o twardą metalową powierzchnię. Obrażenia wewnętrznie nie budzące wątpliwości, że osoba z sekcji nie przeżyła uderzenia autobusu o słup. Dokładny opis wszystkich narządów, z którego w skrócie wynika, że osoba badana poniosła śmierć na miejscu. W to nie wątpię, że ktoś zginął tragicznie. Interesuje mnie tylko, jak tę osobę wzięto za Alinę. I kim była osoba, która zginęła? Z raportu wynika, że sekcjonowana była bardzo zmieniona zewnętrznie. Ciało prawie obdarte ze skóry, prawa ręka oderwana w nadgarstku, lewa wyrwana ze stawu barkowego. Ciało nie miało nóg. Powstrzymując mdłości, szukam opisu twarzy. Tyle, że z twarzy prawdopodobnie nic nie zostało. Czaszka zmiażdżona i pęknięta w kilku miejscach. Czyli miałam rację. Nie można było zidentyfikować tej osoby na podstawie szczątków, jakie leżały na stole sekcyjnym. Konieczne byłoby badanie DNA. Tyle, że kilka lat temu te badania nie były powszechne. W tym przypadku nikt nawet nie próbował ich wykonać. Zwłoki zidentyfikował mąż. Nie miał wątpliwości, że widzi martwą żonę. Napisane jest, że zidentyfikował ciało na podstawie budowy i znaków szczególnych. Tyle sekcja sądowa. To nie było aż tak dawno temu, raptem kilka lat. Czy ja miałam jakiegokolwiek wątpliwości, że Alina zginęła? Nie, bo i na jakiej podstawie. Nawet do głowy mi nie przyszło wypytować Zbyszka o szczegóły rozpoznania zwłok Aliny. Przyjęłam do wiadomości, że ją zidentyfikował. Teraz przez głowę przeszła mi absurdalna myśl - a może Zbyszek wie, że Alina żyje?

Wykręcam jego domowy numer, kiedy tylko wracam do domu.

- Marysia? - jego charakterystyczny schrypnięty głos jest pełen zdumienia. - Czy coś się stało?

- Alina mi się przyśniła - kłamię na poczekaniu. - Pomyślałam, że dowiem się czy wszystko u was w porządku.

- W zasadzie w porządku - on na to. - Nie wiem, co ci powiedzieć.

- Czy mogę cię odwiedzić? - pytam, żeby przerwać ciszę, która zawisła między nami.

- Naturalnie - mówi bez entuzjazmu.

- Mogę przyjechać nawet dziś, zaraz - mówię.

- Proszę - odpowiada coraz bardziej zdziwiony. - Nigdzie praktycznie nie wychodzę. Jestem w domu.

- A sam jesteś? - ryzykuję, że zorientuje się, że jednak czegoś chcę.

- Mieszkam sam - ucina. - Dzieci na swoim.

Jadę z duszą na ramieniu. Wyrzucam sobie, że nie zaplanowałam tego spotkania. O co go spytam? O szczegóły z tamtych dni?

- To dlaczego przyszłaś? - pyta, kiedy godzinę później siedzimy przy herbacie.

- Chciałam się z tobą zobaczyć - mówię zgodnie z prawdą. - Niedługo będzie rocznica jej śmierci. Może moglibyśmy razem wybrać się na grób Aliny?

Drgnął, kiedy wypowiedziałam jej imię.

- Dlaczego raptem teraz? - pyta. - Z tego co wiem, nie byłaś na jej grobie od dnia pogrzebu.

Nieprawda. Byłam raz. Po tym jak Włódkowi urodziło się dziecko. Wypiłam trochę za dużo i nie mogłam znieść samotności. Nikogo nie miałam. Żadnych przyjaciół. Znajomych niewielu. Byłam jeszcze bez pracy. Pojechałam do przyjaciółki na cmentarz. Przy grobie rozplakałam się i poprosiłam Alinę o wybaczenie. Mówiłam „wybacz mi” i „przebacz”, jakbym zawiniła w tym wypadku. Ale przynosiło ulgę. Na koniec poprosiłam o pomoc w ułożeniu sobie życia. Dwa dni później zadzwonił dawny znajomy, że został wydawcą gazety codziennej i widzi mnie jako wicenaczelną. Naczelną to figurant. Człowiek nie mający pojęcia o dziennikarstwie. Ja jako wicenaczelną miałam praktycznie odpowiadać za całą robotę i wziąć na siebie „dziennikarstwo śledcze”. Zgodziłam się, bez pytania za ile. Bardzo potrzebowałam pracy. Nie ze względu na pieniądze, tylko rozpaczliwie musiałam wrócić do zawodu, władzy nad ludźmi i samych ludzi. Szybko okazało się, że dowodzę bandą nieudaczników, a gazeta schlebia najprostszym gustom. Moje rubryki wypełniałam jednak rzetelnie, spełniałam oczekiwania Zarządu i czytelników. Miałam także dziewczynę z „Działu: ludzie”, która opanowała do perfekcji kontakty z paparazzi i plotki typu kto z kim. Umiała wyciągnąć komentarz na sporny temat od najbardziej niechętnej tabloidom gwiazdy, co podnosiło nakład. Słowem, gdyby nie fakt, że dla osoby z moim doświadczeniem to zajęcie było poniżające - byłoby mi bardzo dobrze. Teraz jednak postanowiłam skupić się na moim nowym pomysle - książce: Dlaczego one znikają? Chociaż może lepszy byłby tytuł: „Gdzie jesteś teraz?”

- Byłam raz na jej grobie - stawiam na szczerłość. - Jak Włódkowi urodziło się dziecko. Potem rzeczywiście nie. Wolę myśleć, że ona jest gdzieś blisko nas, krąży wokół.

- Przepraszam - mówi Zbyszek. Widzę jak powoli nabiera do mnie zaufania.

- Nie szkodzi - wzdycham. - Życie toczy się dalej. Nie masz wrażenia, że ona jest blisko nas?

- Nie mam - on na to. - Nie czuję, że mnie chroni albo opiekuje się dziećmi. Odeszła bezpowrotnie. Trochę czasu mi zajęło, żeby to zaakceptować, ale w końcu pogodziłem się z tym.

- Byliście lepszym małżeństwem niż my z Włodkiem - mówię. Jak go sprowokować do mówienia o identyfikacji ciała?

- Pewnie gorszym - kiwa głową. - Tylko nic z tym nie robiliśmy. Nawet nie dla dzieci. Po prostu nie chciało się nam rozstawać.

- Nigdy w ten sposób nie mówiła o tobie.

- Była dość skryta. Wielu rzeczy o niej nie wiedziałaś.

Wstaje i dolewa sobie wody z czajnika do kubka. Tu się zgadzam. Nie wiedziałam, że jest zdolna do takiej podłości jak sfingowanie własnej śmierci.

- Czego na przykład nie?

- Miała romanse - mówi to bardzo spokojnie. - Wiedziałem o tym. Przy pierwszym czekałem, aż powie, że odchodzi. Ale nie powiedziała. Potem odkryłem, że dla niej to tylko rozrywka, zaznaczenie władzy. I odpuściłem.

- Ja bym nie darowała.

- Ja to nie ty.

- Czyli nie czułeś satysfakcji patrząc na nią na stole sekcyjnym?

- Nawet po tobie nie spodziewałbym się takiego pytania-wypowiada to spokojnym tonem. - Czego tak naprawdę chcesz?

- Piszę książkę o znanych rodzinach, które zostają w żałobie po śmierci bliskich. Jak sobie z tym dają radę i tak dalej. Jeden z rozdziałów poświęcony jest traumie rozpoznawania zwłok. Wiem, że to bolesne, ale chciałam zapytać o to ciebie...

- Wiesz, Marysiu - Zbyszek aż siada z wrażenia. Nie jestem w stanie wymyślić niczego innego, żeby wyciągnąć od niego informacje. - Alina zawsze mówiła, że nie zna bardziej cynicznej osoby od ciebie. Nie myliła się.

- Sama miała grzeszki na sumieniu - przypominam.

Teraz już nie dam się wyrzucić, zanim się nie dowiem jak ją rozpoznał.

- Muszę cię prosić, żebyś wyszła - wstał od stołu.

- Wyjdę, oczywiście - także wstaję, żeby go uspokoić. - Myślałam, że możesz mi powiedzieć, co się w takiej sytuacji czuje.

- Naturalnie - ciągle stoi. - Myślałem, że idziemy w takie miejsce jak na filmach, gdzie

z metalowej szuflady wysuwają ciało pokryte białym prześcieradłem. Odsuwają tylko na tyle, żeby zobaczyć twarz. Skroń męża ściska wzruszenie i mówi cicho; „tak to żona”, a potem zostaje odprowadzony przez przystojną psycholog, która pociesza go w bólu.

- A jak było naprawdę?

- Wprowadzono mnie do przedsionka i otwarto drzwi. Buchnął dziwny, okropny zapach, jakby brudu, lepkości, słodkawo. Zrobiło mi się niedobrze. Ktoś powiedział stanowczo, że musimy przez to przejść. Lepiej od razu. Kiwnąłem głową. Nie bardzo pamiętam, co było potem. Podtrzymywano mnie.

Nie mogłem patrzeć, ponieważ coś drażniło moje oczy. Podeszliśmy do stołu. Zamiast przystojnego psychologa towarzyszył mi człowiek w przybrudzonym fartuchu. Uprzedzono mnie, że ciało jest w strasznym stanie. Nie patrzyłem. Chciałem wyjść stamtąd jak najszybciej. Kiwałem głową, że to ona i myślałem o dwóch rzeczach - żeby dzieci nie musiały na to patrzeć i żeby móc już iść. Czy to cię satysfakcjonuje?

- Tak, dziękuję ci.

- Nie możesz znaleźć innego tematu do książki?

- Ja nie wybrałam tego tematu, to on wybrał mnie. Co tam u dzieci?

- Idź już. Nie przyjmowałaś do wiadomości faktu, że mamy dzieci. Nigdy nie dostały od ciebie nawet czekolady. Po co pytasz?

Od czekolady psują się zęby. Po co miałam ją kupować? Dzieci Aliny nigdy mnie nie lubiły. Ani ja ich.

- Przepraszam, że zajęłam twój czas - nie ustępuję. - Czy mogę cię jeszcze odwiedzić?

- Wolałbym nie - otwiera drzwi.

Wizyta skończona. Była więcej niż owocna. Zbyszek nie rozpoznał ciała. Wrażliwiec, który pisał piękne, nigdy nie wydane wiersze, miałby pochylić się nad zmasakrowanymi szczątkami żony? Czuję, że ta książka będzie bestsellerem.

LENA

Do niedzieli czas płynie bardzo wolno. Nie odbieram od niego telefonów. Ignoruję smsa: „Czy będziesz w »Nowym Wspaniałym Świecie«, Lenino?” Przecież wie, że taką mam pracę. Może pyta o to, czy będę w jego życiu? I co, będzie posuwał nas obie?

Ślepella ogarnięta przygotowaniami do wieczoru poetyckiego. Czytamy wiersze przewidziane do prezentacji podczas wieczoru. Nie wiem po co powtarzać je tyle razy. Będzie je czytał ktoś inny. Do niedzieli nie powstaje ani jeden nowy wiersz. Nie ma jednak obawy. Ostatnio napisała ich aż nadto.

Szczęśliwa redaktorka przyjechała i wzięła je do wydawnictwa. Nowy tomik ma trafić do księgarń już na Gwiazdkę. Powstaje za to bardzo oryginalna sukienka. W szafie poetki znalazłam klasyczną małą czarną z weluru. Nic specjalnego, przed kolano, długie rękawy, dekolt łódka. Obciąłam lewy rękaw i kawałek dekolту tak, że z prawej strony zaczynał się u podstawy szyi, a kończył pod lewą pachą. Do tego dołożyłam mnóstwo małych lazurowych kwiatków z materiału tak, że wyglądały jakby ktoś je rzucił na sukienkę. Kwiatki kupiłam na straganie. Wypatrzyłam je na bazarku niedaleko domu. Delikatny jedwab był wpięty w gruby stelaż z plastiku. Rozerwałam konstrukcję i Ślepella ma teraz kreację. W dodatku pasuje do jej wiersza. Tego o niebieskich kwiatach z kubła pod cementarzem. Pożyczyłam jej własną srebrną kopertówkę i sznurowane czarne buty do kostki. Mamy ten sam rozmiar.

Swoje dzieło oceniam spod kolumny. Ludzi przyszło bardzo dużo. Zaskakująco, zwłaszcza, że niewiele było plakatów na mieście, a w internecie informacja tylko na stronie kawiarni. Wiersze ma czytać znana aktorka serialowa. Siedzą teraz obie na szezlongu, omawiają kolejność czytanych wierszy. Aktorka serialowa jest w zielonej sukience z imitacji tafty i złotych szpilek na obcasie. Przy Ślepelli wygląda jak dziewczyna z prowincjonalnej dyskoteki. Przy mnie zresztą też. Ja mam na sobie jedwabną czarną bluzkę lekko przezroczystą i czerwoną rozkloszowaną spódnicę długości 7s. Długo myślałam nad butami. Najbardziej pasowałyby te, które pożyczyłam Eli. Wreszcie zdecydowałam się na sznurowane wysoko sandały i transparentne rajstopy. Włosy miałam luźno rozpuszczone w stylu „dopiero wstałam z łóżka”.

- Dlaczego nie odbierasz telefonów ode mnie?

Spodziewałam się tego pytania. Miałam wcześniej ułożonych kilka wariantów odpowiedzi. Zdecydowałam się na:

- Byłam bardzo zajęta przygotowaniami do tego wieczoru.

- A teraz możemy porozmawiać? - nie ustępuje.

- A teraz jestem zajęta byciem na tym wieczorze.
- Lenina... - mówi prosząco.
- Chodź - przerywam. - Chyba się jeszcze nie przywitałeś?

Ciągnę go w stronę szezlongu poetki i aktorki serialowej. Mówię Eli, że to on. Aktorka serialowa wpada w achy i ochy, że go zna, czyta i w ogóle. Ślepella przybiera uwodzicielską pozycję.

- Witaj - grucha. - Proszę siądź blisko nas.

Wygląda świetnie. Światła na widowni gasną. Oświetlony jest tylko szezlong.

- Zebraliśmy się tutaj ze szczególnej okazji... - zaczyna aktorka dramatycznym mezzosopranem.

Wycofuję się pod moją kolumnę. Sięgam po kieliszek wina. Ma kolor mojej szminki i spódnicy. Może nie powinnam się malować pod kolor spódnicy? To banalne. Widzę jak Piotr przez chwilę się ogląda, a potem przywołują go poetka i aktorka. Zajebisty poeta zostaje przedstawiony widowni i oklaskany entuzjastycznie. Gdybym nie musiała odwieźć jej do domu po imprezie, wyszłabym stąd natychmiast.

Wieczór jest wielkim sukcesem. Ludzie wykupili wszystko, co tylko przyszło z wydawnictwa. Wielu podchodziło, dyskutowało na temat wierszy, zachwycało się autorką, jej sukienką. Siedzimy teraz przy winie i gawędzimy we czwórkę: poeci, aktorka i ja. Aktorka wyraźnie stara się zrobić na Piotrze wrażenie. Poetka udaje, że nie zależy jej na zrobieniu wrażenia przed nikim, zwłaszcza Piotrem. Ja udaję tajemniczą nieznajomą. Aktorka zwraca się do mnie:

- Czy to prawda, że pani uszyła tę sukienkę?
- Nie - prostuję zgodnie z prawdą. - Ja ją tylko przerobiłam dla Eli.

Wręcza mi swoją wizytówkę i prosi, żebym zadzwoniła i zostawiła jej swój numer telefonu. Ślepella ma minę jakby bała się, że odejdę od niej. Nie ma obawy. Ja znam te aktorki. Kilka razy miałam z nimi sesje w „Modzie”. Wyobrażają sobie, że za ciuchy nie będą płaciły. Są wielce zdziwione, że trzeba oddać ubrania po sesji zdjęciowej. Jedna kiedyś powiedziała mi oburzona, że Scarlett Johansson dostaje ubrania na wielkie gale za darmo z pozdrowieniami od największych projektantów. „Ona tak”, powiedziałam wtedy znacząco. Tego dnia oglądałam odcinek serialu, w którym została posłana do szpitala. Zdjęcia nawet się nie ukazały, ponieważ jej postać w serialu umarła, a na to miejsce weszła inna dziewczyna. Ta tułaj też ciągnie ogony w serialu, który ma słabą oglądalność.

- Czy mogłabyś wezwać taksówkę? - pyta poetka.
- Naturalnie - wyjmuję komórkę.

- Ja was odwiozę - proponuje Piotr. - Naprawdę bardzo chętnie.

Wpycha się nawet aktorka. Mieszka na Powiślu, więc ku jej rozczarowaniu odwozimy najpierw ją. Potem jedziemy do domu Eli. Wsiadamy obie.

- Dobranoc - mówię modląc się, żeby nie powiedział nic o naszym bliskim sąsiedztwie.

- Ja poczekam - protestuje. - Nie mogę pozwolić, żeby kobieta sama wracała w nocy do domu.

- Jest wieczór - protestuję. - Dopiero 21.00.

- Oczywiście poczekaj, jeśli możesz - grucha Ela. - Będę ci bardzo wdzięczna. Lenka mieszka na Pradze. Gdybyś mógł odprowadzić ją, naprawdę...

Szybko się żegna po wejściu do mieszkania.

- Naprawdę dasz sobie radę? - upewniam się. - Nie chcesz pogadać ani nic? Zmyć ci ten makijaż?

- Nie będę go zmywała - mówi. - Poczekam. Kiedy odwiezie cię do domu, może tu wróci.

Nie wrócił. Tym razem zdzieraliśmy z siebie ubrania już w przedpokoju, całując się zachłannie. Tym razem głównie ja pracowałam językiem. A potem nie poszłam od razu się umyć, tylko założyłam na siebie jego T-shirt, chłonąc zapach, który na nim pozostał. Nie chciałam się go pozbywać w żaden sposób.

- Zostań, Lenina - poprosił rano.

Dziś mam dzień wolny, w zamian za pracę wczoraj do późna. Ela miała nadzieję, że Piotr do niej przyjdzie i niezręcznie będzie, kiedy rano zastanę ich razem. Stało się inaczej.

- Zostań, proszę - przyklęka obok łóżka.

- A kiedy wrócisz? - uśmiecham się.

Zmienił pościel i posprzątał dla mnie. To wzruszające. Nie tak, żeby od razu zrobić mi obiad, ale mogłabym poczekać na niego, aż wróci z pracy.

- Mam dziś tylko cztery lekcje, ale nie o tym mówię. Zostań ze mną.

- Chcesz ze mną chodzić? - pytam z poważną miną.

- Zamieszkać ze mną - patrzy mi prosto w oczy. Nie mamrocze i nie łyka spółgłosek.

To by było wyjście z mojej sytuacji. Mogłabym się wyprowadzić z dawnego mieszkania i zapomnieć o Krzysiu. Znów nie być zależną. Chociaż nie, o żadnej niezależności nie może być mowy. Byłabym zależna od poety.

- Szukam mieszkania - zaczynam ostrożnie. - Mówiłam ci o tym.

- Zostań - nic do niego nie dociera. - Przecież wariuję na twoim punkcie. Do

Agnieszki tego nie czułem.

- Dopiero się poznaliśmy - przypominam.

- Wiem, ale do Agnieszki tego nie czułem - mówi.

Muszę kiedyś mu powiedzieć, żeby nie wspominał swoich byłych dziewczyn w obecności potencjalnych kolejnych narzeczonych, bo nie ułoży sobie życia.

- Jak wrócę z pracy, pojedziemy do ciebie i pomogę ci się przeprowadzić.

- A co na to twoi rodzice?

- To moje mieszkanie. Przekazali mi je notarialnie. Siostra dostanie dom w Zielonce.

Zresztą jest bardzo dobrze sytuowana... To nie jest ważne!

Zrywa się i ubiera szybko.

- A jak Agnieszka zechce wrócić do ciebie?

- Jeszcze tydzień temu się o to modliłem. Teraz mam to gdzieś.

Teraz chce mnie.

- A jeśli Ela będzie cię chciała?

Stoi kompletnie ubrany w drzwiach sypialni.

- Ja chcę ciebie - cedzi. - Zamknąć cię na klucz, czy zostaniesz dobrowolnie?

- Płacimy wszystkie opłaty po połowić Składamy się na jedzenie i nie jesteśmy parą.

Jednak przekręca klucz w drzwiach. Wstaję, idę pod prysznic. Czy się zgodzić? Przecież tego chcę. I już się w zasadzie zgodziłam. Wyciągam z szafy w przedpokoju czysty T-shirt i ciemny dres. Jest szczupły i raczej drobny, ale i tak tonę w jego ubraniach. Szafę ma przepastną, prawie pustą. W sam raz dla mnie. Wracam do sypialni, żeby pościelić łóżko. Na poduszce obok leży kartka zadrukowana drobną czcionką. Słyszałam rano szum drukarki, ale byłam przekonana, że drukuje pomoce naukowe dla swoich uczniów.

Mów do mnie, kiedy błagam, żebyś przestała.

Śpij, kiedy lizaniem cię budzę.

Każ mi przestać, każ zacząć.

Zrobię wszystko, co powiesz, zanim powiesz, zanim zechcesz.

Masz władzę i użyj jej.

Przeciw mnie, dla siebie.

Tylko bądź ze mną.

Beze mnie jesteś królową.

Ze mną będziesz królową.

Z tobą będę królem.

Bez ciebie jestem byłym królem.

Jemu potrzebna jest poetka. Nie ja. Nosiłaby ten wiersz w portfelu, obok koniczynki od matki i zdjęcia bratanka. A ja co mam z nim zrobić? Potraktować jako bonus do przepastnej pustej szafy, wanny w łazience i połowy czynszu?

- Na grobli stanęłam pośrodku jeziora. Bezpieczna pośród wody, a jednak od utopienia dzieli tylko wąski pasek drewna, jeśli będzie spróchniałe...

Zapisuję machinalnie jej słowa. Może powinnam była wczoraj do niej zadzwonić? Pewnie była rozczarowana niedzielnym wieczorem. Patrzę uważnie w jej twarz. Powieki ma zaczerwienione, wokół oczu wyraźna opuchlizna.

- Jeśli będzie spróchniałe, rozlegnie się głuchy trzask i wpadnę do wody. Chłód mnie ogarnie i brak powietrza. Potem ciepło i światło w tunelu. Albo resztki świadomości, że nie ma tam nic.

Jak ja jej powiem, że wczoraj przytaszczyliśmy do niego trzy walizki moich ubrań i butów?

- Ale jeśli nie pozwoli mi upaść do wody, to czy mnie uchroni? Poszukam tunelu i jego światła w innym miejscu. Może nad rzeką z kamieniami w kieszeniach? Może na moście? Albo jak Anna Karenina? Kto wie?

Za wiele tych pytań jak dla mnie.

- Zapisłaś? - pyta.

- Naturalnie - potwierdzam. - Coś jest nie w porządku?

- Nie odzywasz się prawie - mówi. - Zaczynam być wyczulona na sygnały pozawzrokowe.

- Ty też nie jesteś w nastroju - wykręcam się.

- Ja jestem rozczarowana - mówi. - To co innego.

- Skąd wiesz, że ja nie jestem?

- Ty niczego nie oczekujesz, więc nie przeżywasz rozczarowań. Sama mi to mówiłaś.

- Tak jest łatwiej. - potwierdzam. - Nie chcę trudności.

- Kształtują człowieka.

Bzdury. Znam takich ukształtowanych, którym wszystko przychodzi łatwo.

- Widocznie wolę nie być ukształtowana. - mówię.

- Nie przyszedł, wiesz? - pyta.

Wiem.

- A czekałaś?

- Bardzo czekałam. Tak bardzo wierzyłam, że przyjdzie, że... - kręci głową. - Jak

mogłam być taka głupia? Kto zechce niewidomą?

- Słuchaj - protestuję. - To nie tak. To znaczy to nie musi tak być jak ty od razu zakładasz. Facetów trudno zrozumieć...

- Mówiłaś, że nie masz z tym problemów...

- Mówiłam, że nie próbuję ich zrozumieć, ani zmieniać - koryguję. - Z tym nie mam problemów.

- Zakochałam się w nim - nie ustępuje.

Od pierwszego wejrzenia, można by rzec. Gdyby było pierwsze wejrzenie.

- Może on potrzebuje więcej czasu - perswaduję.

I znów jego ciepłe wargi obejmują brodawki moich piersi. Wilgotnieję na samo wspomnienie. Wczoraj długo się opierałam. Kiedy już zataszczyliśmy moje ubrania do jego mieszkania i całkowicie zajęłam mu szafę, zawołał mnie do kuchni i pokazał ładnie nakryty stół na którym stało sushi. Objął mnie w talii i usiłował przyciągnąć do siebie i wtedy też się oparłam. Jeszcze po kolacji powiedziałam, że jestem zmęczona przeprowadzką, zakurzona i idę pod prysznic, a potem spać. Sama. I wtedy zrobił coś niesamowitego. Zaprowadził mnie do łazienki, gdzie stały zapachowe świece. Napuścił wody do wanny, zapalił te świece i zaczął bardzo powoli mnie rozbierać. I już się nie opierałam. Pozwoliłam włożyć się do wanny, namydlić gąbką jak dziecko i opłukać. I wysuszyć ręcznikiem frotte. A potem zaniósł mnie do swojego łóżka, przeniósł świece i nie dał zasnąć przez kilka godzin mruczając mi do ucha wiersze. Pamiętam jak przed zaśnięciem obejmował mnie ciasno rękami i nogami. Oddawałam te pocałunki i pieszczoty, wchodziłam w niego sama i pozwalałam mu wejść mruczając, że nie jesteśmy parą, żeby o tym pamiętał.

- Bądź cierpliwa - mówię. - Pytał o ciebie, mówił, że jesteś niezwykła.

- To może nie rzucę się do wody...

- To już osioł ze Shreka mówił mu, że jak zobaczy światełko w tunelu, to żeby tam nie szedł. Ja też ci to mówię, Ela - nie idź tam. Słyszysz? Nie idź tam!

Śmieje się.

- Ty zawsze potrafisz mnie pocieszyć.

Nie powiem jej o przeprowadzce, nie dziś.

- Robię co mogę - łapię ją za rękę. - Odgrzejemy zupę babci, a potem siądziemy do internetu. Poszukamy, może jest coś na temat twojego wieczorku.

- Recenzja? - otwiera szeroko niewidzące oczy. - Myślisz, że są jakieś?

Ta jej miłość to nie jest zbyt głęboka.

- Co do recenzji to nie jestem pewna, ale na pewno są wpisy internautów.

Były dziewięćdziesiąt dwa wpisy. Przeczytałam jej wszystkie. Siedziała, słuchała i puchła z dumy. Już nie była odrzuconą dziewczyną, której chłopak nie chciał. Była „zajebista”, fantastyczna i znała duszę kobiecą.

- Dzięki, że jesteś - czytałam z satysfakcją. - Ja sama jestem gruba i głupia. Przyszłam, bo myślałam, że zobaczę kogoś gorszego od siebie. A ty jesteś superlaską i twoje słowa wwierciły mi się w duszę. Posłuchaj czegoś innego: Droga Elu, płakałam przez ciebie wczoraj i zerwałam z chłopakiem. Nie jest mnie wart. Albo tego: nie mogłam zasnąć. Pisz do mnie więcej wierszy. Każde słowo trafia do mnie.

- Nie zmyślasz? - pyta.

- A posłuchaj tego: „Z prawdziwą przyjemnością donoszę, że byłem wczoraj na wieczorze poetyckim współczesnej młodej poetki Elżbiety Stachlewicz. Pierwszy raz miałem okazję zetknąć się z jej poezją, kiedy trafił do mnie debiutancki tomik »Smuga światła«. Wiersze, jeszcze nieukształtowane, nie do końca sformułowane myśli, już wtedy pozwalały mieć nadzieję, że poetka nabierze z wiekiem kształtów, śmieiej nawiąże do poezji niemieckiego baroku, na co ma najwyraźniej ochotę. W drugim tomie: »Kwiaty dobra« już śmiało poczyna sobie ze słowem i formą poetycką. Tak dobrze rozwijającą się twórczość mógł przerwać wypadek, w którym poetka straciła najbliższą osobę, a sama doznała trwałego kalectwa. Byłem przekonany, że w dniu wczorajszym zobaczę osobę zrezygnowaną, złamaną bólem i słusznymi pretensjami do losu. Tymczasem zobaczyłem dziewczynę przepiękną, która przygotowała dla wielbicieli wiersze mocne jak pociski, precyzyjne jak laser i prawdziwe jak jesienna zmienna aura. Może nieco drażniła maniera interpretatorki wierszy, ale nie jest to w żadnej mierze winą poetki. Zresztą takie wiersze trudno zepsuć nawet zbyt egzaltowaną recytacją. Z niecierpliwością czekam na tom kolejny: »Coraz mniej olśnień«. Z przyjemnością dostrzegłem także na widowni, a potem w kularach poetę zbuntowanej Pragi Piotra Nowaka. Panie Piotrze, czekamy na pana nowe wiersze! Chociaż sądząc ze sposobu, w jaki patrzył na piękną koleżankę, może nieprędkiem doczekamy się nowych utworów.»

Ostatnie zdanie przeczytałam nieco ochrypłym głosem.

- Kto to napisał? - dopytuje się Ślepella.

- Mariusz Boratyński - odczytuję.

- To bardzo znany krytyk - mówi. - Zwykle jest bardzo ostry.

- Należy ci się - potwierdzam. - Chociaż niepotrzebnie wspomniał o Piotrze Nowaku.

To był w końcu twój wieczór.

- To nic - uśmiecha się. Ciekawe co by było, gdyby krytyk napisał o kimś, kogo aktualnie Ślepella nie lubi albo nie jest przedmiotem jej westchnień. - Wiesz co? Zadzwonimy

do niego i zaprosimy go na kolację. Co ty na to?

- Chcesz zaprosić krytyka na kolację?

- No coś ty! - śmieje się. - Przecież mówię o kolacji dla Piotra i ciebie.

- Ja nie jestem ci potrzebna do tego - mówię. - Chyba, że chcesz, żebym ci ugotowała.

- Oczywiście, że jesteś potrzebna. Mam wrażenie, że mu się podobasz. Zwraca się do ciebie jakoś miękko. Mówiłam ci, że zaczynam odbierać takie wrażenia, które są związane ze słuchem, nie z widzeniem.

- Na pewno ci się wydaje - zaprzeczam szybko.

Całował moje stopy. Każdy palec, a ja myślałam, że odleczę.

- W każdym razie chciałabym, żebyś była. Ugotuje babcia, a ciebie prosiłabym, żebyś mnie ubrała.

Tu mnie ma.

- Wiesz? - mówię to, na co od dawna miałam ochotę. - Kupiłybyśmy trochę ciuchów. Będiesz miała inne spotkania autorskie, potem wydajesz nowy tomik. Poza tym święta, różne imprezy, telewizja itd.

- Chciałam ciebie właśnie o coś takiego poprosić. Tylko czy dałoby się tak, żebym ja nie musiała iść?

Czyli idealnie. Dostaję jej kartę kredytową, omawiam z nią, co powinnam jej kupić i ile pieniędzy mogę na to przeznaczyć. Dziwi się, kiedy mówię, że kupię, co potrzeba, a potem zmierzmy w domu. To, co nie będzie pasowało rozmiarem albo stylem, będzie można bez problemu zwrócić. Dziwi się, że tak można.

Wchodzę sobie jeszcze raz na forum internetowe i czytam pięć wpisów wrażeń z wieczorku poetyckiego, które najbardziej mnie zainteresowały. Wszystkie dotyczą sukienki w jaką ubrałam poetkę. Została określona jako: piękna, elegancka, ekstrawagancka, magiczna, ale też zaręczona, wyczesana i naturalnie „zajebista”. Tylko jedna osoba zasugerowała, że to sukienka kogoś z młodych, bardzo zdolnych polskich projektantów. Dziwne. Ja bym powiedziała, że to raczej w stylu Marchesa. Georgina Chapman rzuca takie kwiatki na tkaninę. Weszłam sobie jeszcze na facebooka. Nie jestem specjalnie aktywna. Mam profil głównie po to, żeby dostawać informacje o modzie i organizowanych sesjach fotograficznych, ale teraz nie o to mi chodzi. Wczoraj zadzwoniłam do Krzysztofa, żeby poinformować go, że wyprowadziłam się z jego mieszkania. Sądziłam naiwnie, że okaże jakąś wdzięczność. Może nawet przeprosi. Poprosi, żeby puścić w niepamięć gwałt. Nic z tych rzeczy. Ponownie nazwał mnie kurwą i złodziejką, a następnie zagroził, że „zapiżdzy mi życie, jeśli się do niego zbliżę”. „Zapiżdzy”? Cóż za nieadekwatne określenie. Miałoby znaczyć, że zaszkodzi,

utrudni, uprzykrzy? Nie bałam się aż tak bardzo nawet, kiedy kant stołu wcinał mi się w podbrzusze. Nie jest ode mnie lepszy. Tylko silniejszy. Nasz układ był do pewnego czasu wzajemny. Ale miarka się przebrała. Wtedy i teraz. Widziałam, jakie miał hasło. Kilkakrotnie w mojej obecności wchodził na swój profil na facebooku. Nie wiedział o tym. Zasłaniał zawsze ręką. Ale mnie wystarczyło jedno zerknięcie przez ramię i wiedziałam, że hasło to jego własne imię. Wieczorem po tej rozmowie weszłam tam i umieściłam jedno z naszych zdjęć. Wiem, że wieczorami, jeśli jest w domu wyłącza komputer, komórkę i wszystko. Po godzinie miał już dwadzieścia pięć wpisów. Rano wszyscy znajomi komentowali jego budowę anatomiczną. A znajomych miał ponad dwustu. Wśród nich zapewne jakieś koleżanki żony. Zadzwoił do mnie od razu, jak się tylko zorientował, że na profilu wisi jego zdjęcie. Odebrałam komórkę i zaczęłam wykrzykiwać przestraszonym głosem, żeby się ode mnie odczepił, bo zadzwonię na policję. Był tak wściekły, że nie panował nad głosem, słowami, zdaniem. Ale i ja i on wiedzieliśmy, że nie jest mi w stanie nic zrobić. I ja jemu już też. Jesteśmy kwita. Tak mu zresztą powiedziałam. I poradziłam, żeby powiedział żonie, że to fotomontaż. Teraz wiele się takich robi. To kwestia techniki. Na pewno to kupi.

ALINA

Może powinnam sprawdzić co słyhać u męża i dzieci? Złamać żelazną zasadę, że trzymam się z daleka od dawnego życia? Jestem przekonana, że Maryśka zaczęła działać. Nie znam bardziej wyrachowanej osoby. Zawsze interesowały ją wyłącznie własne korzyści. W ludziach widziała tylko pionki na drodze do własnego celu. Dzieliła te pionki na trzy kategorie: ludzi, którzy mogli jej się do czegoś przydać, takich, którzy mogli jedynie zaszkodzić oraz tych, na których trzeba było uważać, ponieważ na razie nie było wiadomo do jakiej kategorii ich zaliczyć. Chciałabym wiedzieć co zrobi, żeby nasze „spotkanie” obrócić na swoją korzyść. Zacznie mnie szukać?

- Czy coś się stało, pani Krysiu?

- Nic, nic - pytanie Agnieszki wybiło mnie z rytmu. - Dlaczego pytasz?

- Pani taka zamyślona dziś - mówi. - I klient upomina się o kiszone ogórki. Prosił, ale nie dostał.

- Przepraszam, dziecko - mówię skruszona wyciągając słoik własnoręcznie kiszonych ogórków.

- Ależ nie, pani Krysiu - Agnieszka czerwienieje na samą myśl, że mogłam pomyśleć, że przywołuje mnie do porządku. - Ja tylko się martwię, czy pani nie jest chora?

Wydałam te ogórki niecierpliwemu chłopakowi w garniturze i wróciłam do Agnieszki.

- Rzeczywiście, Agnieszku - mówię. - Jakby coś mnie brało. Pogoda taka dziwna, raz śnieg pada, raz deszcz. Może złapałam od kogoś wirusa...

- Może zamkniemy i pani pójdzie do lekarza?

- Lekarz niepotrzebny - protestuję. - Wystarczy poleżeć trochę w ciepłe i dużo pić. Aspirynę wziąć, jakby gorączka była.

- No, lepiej samemu się nie leczyć - mówi stanowczo. - Moja ciocia sama się leczyła ziółkami, że niestrawność niby, wrażliwe jelita...

Pewnie okazało się, że rak żołądka.

-...i okazało się, że to rak żołądka...

- To rzeczywiście, może pójdę - kiwam głową, jakby przestraszyła mnie perspektywa podzielenia losu jej ciotki, która się nie leczyła.

Ustalamy, że za godzinę zamkniemy bar. Po obiedzie jest mniejszy ruch. Agnieszka zostanie z Kasią, moją pomocnicą i dadzą sobie radę.

Człapię do domu noga za nogą. Może rzeczywiście jakieś przeziębienie mnie bierze. Ostatnia rzecz na którą mam ochotę to wizyty u lekarza rodzinnego. Mam bardzo złe zdanie o

lekarzach w ogóle. Sama przez wiele lat praktyki nie popełniłam ani jednego błędu. Miałam wyjątkowego nosa do diagnostyki, czego nie mogę powiedzieć o moich kolegach, którym często zwyczajnie brakowało wiedzy. Medycyna była moją wielką pasją. Uwielbiałam władzę, jaką dawał mi szpital. Na dyżurze czułam się jak ryba w wodzie. Im więcej pacjentów, zadań, tym bardziej udawało mi się wszystko poukładać. Dyrygowałam Izbą Przyjęć, pielęgniarkami na oddziale. Studenci gratulowali sobie, jeśli trafili pod moją opiekę, ponieważ mogli się wiele nauczyć. Czasami wspominam trudniejsze przypadki, ale rzadko. Dziwne, jak mogłam rozstać się z tym szczególnym zajęciem, a co najdziwniejsze nie tęsknię ani trochę. Przez lata mojego odosobnienia nie natrafiłam na ani jeden przypadek, w którym musiałabym zrzucić maskę kucharki i niczym doktor Kildare ratować komuś życie, czy odbierać poród na ulicy. Raz jeden w barze zasłabł starszy mężczyzna. Zanim mi o tym doniesiono, pogotowie już przyjechało i zabrało go do szpitala. Nawet nie zdążyłam pomyśleć, co by się stało, gdybym musiała ewentualnie człowieka reanimować. Ale i wtedy mogłam powiedzieć, że miałam dziadka, czy ojca - lekarza i napatrzyłam się jak to się robi.

Miałam jakąś niezachwianą pewność siebie, że Maryśka spróbuje zburzyć moje dotychczasowe życie. Maryśka... Nigdy nie zostałybyśmy przyjaciółkami, gdyby nie moja matka, która przyjaźniła się z jej matką. Obie pracowały i pomagały sobie w opiece nad nami. Albo mnie ze szkoły odbierała ciocia Ada, albo mama brała do domu mnie i Maryskę, i tam czekałyśmy, aż ciotka skończy borować ludziom zęby w przychodni. Początkowo wspólne rozmowy czy zabawy nie kleiły się. Obie odrabiałyśmy lekcje przy stole, a potem każda wsadzała nos w swoją książkę. Przełom nastąpił wtedy, kiedy pewnego dnia obie zorientowałyśmy się, że czytamy to samo: „Pana Wołodyjowskiego”. Ona pierwsza zaczęła się śmiać i zapytała mnie, jak mi się podoba Baśka. Ja jej na to, że poszłabym za Azję, a nie za Pana Michała. Zgodziła się niechętnie. Potem dodała, że Kmicic jest świetny a Oleńka do bani. No to ja się zgodziłam i jakoś tak poszło. Nasza przyjaźń była dziwna, oparta na niepisanej umowie, że będziemy sobie pomagały. Naturalnie, jeśli będzie to w interesie tej pomagającej. W podstawówce chodziłyśmy do innych szkół, ale liceum wybrałyśmy to samo. Ona była świetna z polskiego, historii, a noga z matmy, chemii i biologii. Za to ja byłam tylko trochę mniej błyskotliwą humanistką, ale z pozostałych przedmiotów nikt mnie nie przebił. Czyli, że ja byłam ta zdolniejsza. Mimo wszystko. Maryśka to wiedziała. Nie musiała mi pomagać z żadnego przedmiotu, za to ja pilnowałam, żeby przyswoiła sobie chociaż podstawy przedmiotów potrzebnych do zdania matury. Okazywała wdzięczność niechętnie. Ciocia wychowała ją w poczuciu, że wszystko jej się należy. Wychuchana jedynaczka. Ja też byłam jedna, ale moja matka wolała nauczyć mnie samodzielności. I chociaż nie pamiętam z

dzieciństwa, żeby mnie przytulała, dała mi siłę, którą znalazłam w sobie wtedy, kiedy autobus uderzył w słup. Nie poszłam w ślady mamy, która była bibliotekarką szkolną, i zostałam lekarzem, a Maryśka zamiast iść na medycynę albo na stomatologię, jak jej matka, skończyła polonistykę, a potem poszła na dziennikarstwo. W czasach kiedy zaczynała, nie istniała niezależność w tym zawodzie, ale nigdy się o tym nie mówiło ani u niej w domu, ani w rozmowach między nami. Mój mąż szeptał, że musi być związana z władzą. Nie obchodziło mnie to. Patrzyłam na jej sukcesy z dystansem. Nie było chyba w kraju człowieka, który by nie kojarzył jej nazwiska. O to jej chodziło. Kochała sławę, jaką dawała jej telewizja. Szczyciła się tym i ubolewała, że jej mąż nie podziela jej upodobania do bywania w liczącym się towarzystwie. Lubiłam Włodka, bardziej niż Maryśka mojego męża, którego uważała za niewartego uwagi nudziarza - słusznie zresztą. Włodek był dobrym dziennikarzem, któremu ona zniszczyła karierę. To wcale nie tamten incydent z wiceministrem i wyrzucenie jej z pracy było powodem ich rozvodu, tylko to, że Włodek musiał odejść z telewizji. Nie wystarczyło jej, że przygotowuje najlepsze newsy informacyjne. Ona chciała, żeby występował na wizji. Teoretycznie Włodek miał wszystko to, czego nie miała Maryśka. Był męski, naprawdę przystojny, dobrze zbudowany, miał miły głos. Tyle, że kochał to, co robił i bycie „twarzą” go nie interesowało. Próbował jej to wytłumaczyć, ale nie chciała słuchać. Mógł być prezenterem na wizji i co, nie chciał? Miał pozwolić, żeby inni spijali śmietankę? Według niej jego miejsce było na wizji i koniec dyskusji. Tak go namawiała, nakręcała, że się zgodził. To była porażka. Męczył się i inni się męczyli. Nieustannie był porównywany z żoną. Podkreślano, że nie ma tego daru wymowy, charyzmy. Nawet reportaże robił gorsze. W końcu złożył wymówienie i wrócił do pracy w terenie. Wtedy zmieniły się władze w telewizji i zaproponowano mu przeniesienie do redakcji lokalnej. Włodek najpierw zgodził się zmienić redakcję na mniej prestiżową, ale wytrzymał krótko. Odszedł na własne żądanie, a Maryśka uprzykrzała mu codziennie życie.

Pewnie wstydziła się, że ma męża nieudacznika. Kłócili się bardzo albo mieli ciche dni. Po którejś z takich kłótni ona nawet nocowała u nas. Prosiła mnie wtedy, żebym z nim porozmawiała, ponieważ ona już nie ma argumentów. Nie chciałam się wtrącać. Wiadomo jak to jest: para się kłóci, przyjaciółka idzie mediować, para się godzi, przyjaciółka jest winna wszystkiemu. Dziękuję bardzo. Ale tak mnie męczyła, że się zgodziłam. Nie miałam zamiaru do niczego go namawiać. Cóż za absurdalny pomysł, żebym zaczęła przekonywać go do powrotu do telewizji. Chciałam go pocieszyć i powiedzieć, żeby szedł własną drogą. Wszystko się w końcu ułoży, miałam mu powiedzieć. Ale ta wizyta poszła w innym kierunku. Z Włodkiem to zresztą nie był pierwszy raz. Działał na mnie, a ja na niego od dawna.

Pierwszy raz przespaliśmy się ze sobą wiele lat temu. Maryśka wyjechała robić wywiad w terenie. Zbyszek był w sanatorium, a mnie, przyjaciółkę domu, Włodek - słomiany wdowiec, zaprosił na kolację. Byliśmy zaskoczeni tym, jak dobrze nam ze sobą w łóżku. Seks dojrzałych ludzi, rozczarowanych swoimi partnerami. Potem byliśmy ze sobą jakiś czas. Ten związek był dla mnie ważny. Ja zerwałam. Powód był poważny. Nie chodziło o przyjaźń z Maryską, czy chęć ratowania naszych związków. Bałam się, tego co się stało i tego, co mogło się dalej stać. Przez wiele lat nasze relacje z Włodkiem były wzorowe. Do tamtego dnia, kiedy znów zaczęliśmy. Tyle, że Włodek tym razem nie zamierzał odpuścić. „Już mi nie uciekniesz”, mówił, „możemy być szczęśliwi”. Akurat. Maryśka zatrułaby nam życie. Nie dałaby spokoju ani mnie, ani jemu. Nastawiłaby dzieci przeciwko mnie, matkę, mojego męża namawiałaby niestrudzenie, żeby nie odpuścił. Nawet, gdybyśmy postawili na swoim, to potem skupiłaby całą swoją energię na tym, żeby uprzykrzyć nam ten związek. „Dlaczego musimy mówić im o tym?”, pytałam Włodka. „Chcę z tobą mieszkać, pokazać cię całemu światu, być z tobą normalnie”, odpowiadał bez przerwy. Bałam się tego. Chyba go nie kochałam. Nawet jego. Zerwaliśmy. Zaraz potem był skandal z programem Maryśki. Potem Włodek poznał gdzieś blondynkę i pierwsze co zrobił, to pokazał mi ją, żebym żałowała co mnie omija. Żałowałam. Ryczałam w poduszkę ze złości i żalu. Może nawet z miłości. Może z powodu zranionej dumy. Ze mną byłby szczęśliwszy, ale cóż, sama wybrałam. Zresztą dokonał właściwego wyboru, ponieważ jakiś czas później zginęłam w tym wypadku.

LENA

Pojechałam w sobotę do ojca, do Błonia. Zostawiłam Piotra jęczącego, że chce ze mną pojechać na wystawę w Zachęcie, spacer w Łazienkach, obiad w Nu Jazz albo gdziekolwiek chce. Zgłaszał nawet chęć pójścia do klubu na awangardowy koncert. Oboje to moglibyśmy pójść wyłącznie na Plac Zbawiciela, gdzie zbierają się podobne do nas oryginały, bez pieniędzy, utrzymywane przez rodziców albo kochanków i obowiązkowo uprawiające oryginalny zawód. Im bardziej odjechane zajęcie, tym schodek na placu wyższy w hierarchii. Ja jako asystentka niewidomej poetki mogłabym usiąść nawet u wrót kościoła. Ustąpiłby mi miejsca suwnicowy, wożący dekoracje teatralne albo sprzedający bilety w cyrku. Piotr, jako historyk w liceum na Pradze i poeta neowulgarysta mógłby ująć w tłoku, mówiąc głośno, że mieszka w mieszkaniu po rodzicach. Tłumaczyłam mu to, ale nie zrozumiał. W końcu powiedziałam, że muszę jechać do ojca i już.

- Lenka! - zdziwił się tato otwierając drzwi.

Było mi niedobrze od zapachu z pociągu. Kozaki z Zary uwaląłem w błocie, jakie zimą i latem można znaleźć na drodze przy naszych blokach. Szczęśliwie nie spotkałam nikogo znajomego. Wizytę w rodzinnym mieście zaczęłam od wyprawy do miejscowego ciuchlandu. Już dawno powinnam była tu przyjechać. Dziewczyna, która sprzedawała ciuchy była siostrą koleżanki ze szkoły i wiedziała, że mam odjazd na punkcie ciuchów. Nie wiedziała natomiast, że straciłam pracę w „Modzie”. Z zazdrością zerknęła na moją kamizelkę ze sztucznego futerka, którą miałam narzuconą na kurtkę i buty za kolano.

- Fajna kamizela - mruknęła i zaprowadziła mnie za kotarę, gdzie trzymała lepsze ciuchy dla znajomych. - To Promod?

- Versace - mruknęłam. - Wyczesalam w ciuchlandzie na Pradze.

To nie była prawda, ponieważ kamizelkę zrobiłam sama odpruwając ze starego futerka po mamie rękawy i kołnierz. Ale takie perełki można znaleźć w lumpeksach małych miasteczek. Na przykład pelerynkę Versace albo zakiet Jil Sander. Wyciągnęłam mnóstwo ciuchów. Połowa dla mnie, połowa dla poetki. Góra ciuchów kosztowała niecałą stówkę. Kocham lumpeksy z cenami za kilogram.

- Co to za torbiszczę? - zapytał ojciec widząc potężną reklamówkę. - Pewnie pranie chcesz zrobić?

- To zakupy - mruknęłam. - Nie żartuj.

- No nie wiem - uśmiechnął się ojciec. - Tak rzadko mnie odwiedzasz, że mogłem pomyśleć, że pralka ci się zepsuła.

Rozebrałam się i nastawiłam wodę na herbatę.

- Zmieniłam mieszkanie - powiedziałam. - Napiszę ci tutaj nowy adres. Tylko nie podawaj go nikomu, kto by tu zadzwonił i zapytał. Dobrze?

- Masz jakieś kłopoty? - zaniepokoił się.

Żadnych. Tylko nie chcę, żeby były kochanek wiedział, gdzie mnie znaleźć.

- Nie mam kłopotów. Tylko osoba, od której wynajmuję nie płaci podatku. Nie chcę, żeby miała kłopoty.

- Miała czy miał?

A co mu za różnica?

- Tato - proszę. - Lepiej powiedz co u ciebie.

- Po staremu - popatrzył w okno. - Nie brakuje mi niczego. Brakuje mi wszystkiego.

O mało nie wzięłam kartki, żeby zapisać.

- A tak serio?

- Tęsknię za ludźmi - nalał herbaty do szklanek pamiętających czasy Gierka.

Nie znosiłam ich. Matka też nie. Za jej życia służyły do nalewania soków i kompotów. Herbatę piłyśmy z kubków. Po jej śmierci ojciec wyciągnął te szklanki i potłukł kubki. Nie mam pojęcia, czy pokruszył dziesięć kolorowych kubków przez przypadek, czy specjalnie.

- To wyjdź do ludzi - zaproponowałam. - Macie tu jakiś dom kultury, kluby.

- Mamy - westchnął. - Wyjdę. Powiedz mi co u ciebie.

- Pracuję u dziewczyny, która jest niewidoma - zaczęłam. - Pomagam jej na co dzień i przepisuję jej wiersze.

- A ta gazeta? - uniósł brwi.

- Musiałam odejść - machnęłam lekceważąco ręką. - Intrygi i takie tam.

To wciąż bolący temat i niezłatwiona sprawa.

- A jesteś ubezpieczona? - zapytał.

Cały ojciec. Kto myśli o czymś takim?

- Daję sobie radę tato - pogłaskałam go po ręku.

Skórę miał cienką. Paznokcie nieco za długie. Sweter nie pierwszej świeżości.

- Wolałbym, żebyś wróciła do domu - popatrzył na mnie. - Mama by tego chciała.

- Pracę mam w Warszawie...

- Wiesz, że to marne wykręty. Nie chcesz mieszkać ze starym ojcem.

- Tato, jesteś kochany, nie wtrącałbyś się, wszystko bym miała... Wiem. Chodzi o to, że dorośli ludzie powinni mieszkać na swoim.

-1 to wynajęte mieszkanie, od którego nie płacisz podatków to jest „na swoim”?

Mieszkam w wynajętym mieszkaniu nowego chłopaka. Przynajmniej jest wolny. Poprzedni kochanek miał żonę, a ja dawałam mu w zamian za czynsz. Wyrzucili mnie z posady, w której zarabiałam grosze, ale mogła być trampoliną do kariery. Kariery w moim pojęciu czyli tworzenia mody. Teraz stylizuję niewidomą poetkę, która nie jest w stanie tego docenić. Płaci mi dobrze i nie wydaję na jedzenie. W łóżku jest mi dobrze z poetą praskim, ale będę go namawiała, żeby był z Elą. On potrzebuje inteligentnej kobiety, a ja nie jestem typem muzy.

- Ugotuję ci ogórkową.

Zrobiłam ogórkową, usmażyłam kotlety z kurczaka i mielone, które mu zamroziłam. Ogarnęłam trochę dom. Nastawiłam pranie. Przysiągł, że je rozwiesi. Zmieniłam pościel w łóżku i obejrzałam z nim „Wiadomości”, które od zawsze nazywał „Dziennikiem”. Uparł się, że odprowadzi mnie na pociąg.

- Przyjadę na Wigilię - obiecałam. - Może nawet wcześniej. Zanocuję i będziemy sobie razem. Chyba, że wybierasz się do Wrocławia, do syna i synowej.

- Boże broń - powiedział, kiedy pociąg już nadjeżdżał. - Nie znoszę tej dziewczyny.

Prawie go kochałam, kiedy taki bezradny machał mi na pożegnanie.

Wizyty w domu rodzinnym zawsze mnie przygnębiały. Obrażeni kochankowie także. Chociaż nie. Ci ostatni budzili we mnie irytację i postanowienie, że to początek końca. Piotr powitał mnie lekko obrażony, ale już w progu rzucił się do całowania. Odsunęłam go delikatnie, ale stanowczo i powiedziałam, że jestem zmęczona. Marudził, że nie zadzwoniłam, że przyjeżdżam. Wyszedłby po mnie na dworzec. Mówiłam mu, że nie jesteśmy parą i, żeby się nie zachowywał jak jakiś pieprzony narzeczony. Zrewanżował się wiadomością, że przyjął zaproszenie od Ślepelli na przyszłą sobotę, na kolację. Mam tydzień, żeby powiedzieć jej o wspólnym mieszkaniu, zrobić zakupy, ugotować albo poszukać sobie nowej pracy. Kiedy już leżałam w łóżku, sama, zadzwoniła moja komórka. Myślałam, że to Krzysio z nowymi bluzgami, ale okazało się, że dzwoni Maciej.

- Lenka? - powiedział. - Chciałem tylko ci powiedzieć, że powiedziałem żonie o nas.

Co za idiota. Nie ma żadnych nas.

- Jesteś tam, Lenka?

- Jestem - mówię.

Znów nie mam pojęcia, co powiedzieć.

- Nie odejdę od niej i małego - głos mu się łamie. - Uporamy się z tym.

- Oczywiście - mówię. - Żona wybaczy.

- Tak - powtarza. - Uporamy się z tym.

- Życzę ci szczęścia, Maćku - mówię na przydechu. Niech myśli, że płacze.

- Nie mogę inaczej. - Chyba on płacze.

Co za kretyńska sytuacja. Zdążyłam o nim zapomnieć. I o tym stylizowaniu w jego piśmie. A potem w „Natalii”. Wzdrygam się. Przez chwilę mam ochotę pójść do Piotra do łóżka i kochać się z nim, ale po namyśle rezygnuję. Zamiast tego obmyślam, w co powinna ubrać się Ela na kolację z Piotrem, żeby zrobić na nim wrażenie. A potem zastanawiam się nad strojem na pierwszy z dziesięciu wieczorów promujących jej nowy tom poezji: „Coraz mniej olśnień”. Przed snem utrwalam sobie w głowie, że jej znakiem rozpoznawczym będą pagony. Kayah ma frędzle, Doda ćwieki i metal, a poetka walcząca będzie miała pagony.

Karteczkę z poduszki składam starannie i wsuwam do szuflady.

Śpij skarbie, zasłużyłaś na sen.

Nie chcesz się ze mną kochać

Nie chcesz rozmawiać

Nie chcesz być

Ale ja jestem

Jeśli tylko zechcesz się kochać

Jeśli zechcesz rozmawiać

Zechcesz ze mną być

Ani słowa o pieprzeniu.

Wyrabia się czy traci styl?

- Świąteczne spotkanie, wielkie staranie, duszy i ciała głaskanie, mokre oczekiwanie - dyktuje poetka.

Mokre? To jasne, że go chce. Tylko jak sprawić, żeby on chciał. Odrzucam tu całkowicie kwestię egoizmu.

- Tylko nie rozczarowanie. Branie, ale nie dawanie. Żadne przeproszenie.

Przeproszać to ja nie będę. Nikogo do niczego w życiu nie zmuszałam.

Na kolacji Elka będzie miała granatowe marchewy, zieloną, trawiastą bluzkę i szary żakiet. Wszystko jedwabne, lejące się. To jedne z ciuchów, jakie jej kupiłam. Przywiozłam ubrań za prawie dwa tysiące złotych, a ona je wszystkie zaakceptowała. Nie chciała niczego oddać do sklepu, niczego. Mierzyła i długo pytała, co jak wygląda i która z gwiazd nosi podobne zestawy. Dotykała materiałów i uczyła się rozpoznawania ich po fakturze.

- Na wypadek, gdybyś już nie chciała dla mnie pracować - mówiła, a mnie w piersi mroziło.

Wysłałam swój życiorys i portfolio do dwóch redakcji, licząc, że zostanę stylistką pracującą na umowę-zlecenie. Na stały etat nie miałam czasu ze względu na pracę u Ślepelli. W portfolio miałam niewiele własnych stylizacji i musiałam dołączyć te z „Dzidziusia” i „Natalii”. Koniec końców ułożyłam to tak, że jestem wszechstronna i wezmę wszystko, co się nawinie. Może coś z tego będzie. Tymczasem jedyną moją klientką jest poetka.

- Poprosiłam babcię, żeby coś zrobiła na sobotni wieczór - przerywa moje rozmyślenia.

- Mogę sama coś zrobić - protestuję.

Babcia ostatnio stwierdziła, że mam na wnuczkę zły wpływ i przestała odpowiadać na moje grzeczne „dzień dobry”. Na szczęście jej kuchnia nie ucierpiała na jakości.

- Babcia jest zła na mnie.

- A co się znów stało?

- Chodzi o to, że jej nie potrzebuję - mówi Ela. - Kiedyś przesiadywała u mnie, pocieszała. Teraz prawie nie przychodzi.

- Pewnie myśli, że przeze mnie? - jestem przekonana.

- Babcia nie zwykła myśleć, że coś może być moją winą.

Wszyscy wokół byli winni, tylko nie ja. Jak straciłam wzrok, wrzeszczała na lekarzy, zaskarżyła tego okulistę, który rozpoznał u mnie histerię.

- No, należało mu się - mówię.

- Ona taka jest - Ela wzrusza ramionami. - Kocha za bardzo. Po śmierci matki ma tylko mnie.

- A twój brat?

- Mówiłam ci, że nie jesteśmy zbyt blisko. Jest sporo starszy, mieszka w Zielonej Górze.

To zwiął dalej niż mój.

- Babcia nie odzywa się do ojca od tamtego czasu. Obwinia go za śmierć matki - kontynuuje. - Ja byłam oczkiem w głowie, a teraz się zmieniam.

- A zmieniasz się?

- Niewątpliwie. I nie chodzi tu o ciuchy. Walczę o siebie. Chcę zaistnieć jako poetka. Zakochałam się. Planuję z nim przyszłość. Będę walczyła o to, żeby go przekonać, że jestem pełnowartościową kobietą.

Przelykam ślinę.

- Nie musisz go przekonywać - mówię. - Jesteś pełnowartościową kobietą.

- Ale ta bielizna, którą mi kupiłaś, nie zaszkodzi.

Kupiłam jej seksowny różowy komplet z Intimissimi. Różowy. Taką bieliznę nosiła Lenina. Wyobraziłam sobie jak ją rozbiera powoli i ściąga z niej ten komplet. Stanowczo nie mogę być na tej kolacji.

- Zamówimy sushi - mówię. - Można to jeść palcami, nawet lepiej. Nie będę potrzebna. Przyjdę wcześniej, a potem wyjdę zanim on przyjdzie. Będziesz go miała tylko dla siebie.

- Jesteś pewna?

Jak najbardziej. I tak czuję się jak stręczycielka.

- Ze mną będzie niezręcznie. Będzie myślał, że trzeba mnie odwieźć do domu, nie rozluźni się.

Dalej, przecież nie chcesz, żebym tu była.

- Jeśli nie będzie ci przykro... - kapituluję.

Nic Piotrowi nie mówię. W sobotę ubieram się, jakbym szła na przyjęcie. Spódnica, bluzka, ale rajstopy, a nie pończochy. Asystuje mi Piotr. Próbuję wyprosić go z mojego pokoju, ale mi się nie udaje.

- Lenina, moja Lenina' - powtarza. - Czy my tam szybko skończymy i będziemy mogli wrócić do domu?

- Będziecie razem występować w cyklu programów o poezji - tłumaczę cierpliwie. - Musicie się dogadać i omówić, co i jak.

- Dlaczego razem? - marudzi.

- Ciesz się - mówię zdecydowanie. - To ona ludzi kręci. Razem wypadacie znacznie lepiej niż oddzielnie. Ona jeszcze by się sama obroniła, ale ty z twoją gadką w telewizji to naprawdę nie masz czego szukać. Istniejecie tylko jako kontrast i dopełnienie. Korzystaj.

Ubieram się ciepło, bo jadę tramwajem.

- Będę musiał kupić sobie garnitur? - krzywi się.

- Żartujesz chyba - zatrząskuję drzwiami od szafy przeglądając się w lustrze. Może być. - Poeci wulgarni nie ubierają się w garnitury.

- A w co?

- Nie we flanelowe koszule - mówię. - Jak będziesz grzeczny na kolacji, to mogę z tobą iść do sklepu i wybrać ci coś.

Zrobię specjalizację ze stylizowania poetów.

- Nie spóźnij się - mówię wychodząc.

MARIA

W policji też mam znajomości. Zresztą pamiętają mnie tutaj jeszcze dobrze i witają jak dawno niewidzianego, ale oczekiwanego gościa.

- Witam, Marysiu - moje dawne „głębokie gardło” rozpromienia się na mój widok.

Od razu wyjaśniam o co mi chodzi. Dawniej też tak robiłam i on to doceniał. Nie zajmowałam mu czasu i nie bawiłam gadkami. On nie musiał udawać, że mu się podobam.

Na akta sprawy trzeba poczekać. Są zarchiwizowane. Zresztą sprawa nie nosi znamion przestępstwa. Nikomu nie wytoczono procesu. Kierowcy zginęli w katastrofie, nie znaleziono innych winnych. Mimo nawału pracy w Centralnym Archiwum, akta dla mnie znajdują się. Wcale nie jest ich mało. Mają kilkaset stron. Muszę przestudiować wszystko bardzo dokładnie. Każde słowo może być ważne i przyczynić się do odnalezienia mojej „przyjaciółki”. Przecież Alina musi gdzieś funkcjonować, z czegoś żyć. Była zaniedbana, ale nie wyglądała jak żebraczka.

Od Zbyszka nie wyciągnęłam wiele, ale mam pewność, że jest przekonany, że pochował zwłoki żony. To niemożliwe, żeby ją ukrywał albo pomagał jej po sfigowanej śmierci. Z synem nie będę rozmawiała. Nie znam go dobrze, ale wiem, że zawsze był po stronie Zbyszka. Z matką nie łączył go głęboki związek. Przy najbliższej okazji uciekł od nich. Z córką nawet nie próbowałam się kontaktować. Liczyłam, że Zbyszek nie powie jej o mojej wizycie. Zakładając, że ta gadzina w ogóle ojca odwiedza. To by było do niej podobne, żeby zerwała z nim i jeszcze obwiniała go za jej śmierć. Kiedy byłam w ich dawnym mieszkaniu, nie znalazłam na ścianach, czy półkach żadnych zdjęć ani Aliny ani jej dzieci. Tyle, że to nic nie znaczy. Zbyszek nie był sentymentalny i nie znosił zdjęć. Alina lubiła mieć zdjęcie rodziny na biurku. Ale kiedy jej córka nie spełniła jej oczekiwań i oświadczyła, że mowy nie ma, żeby skończyła medycynę, Alina usunęła jej zdjęcie ze swojego gabinetu. Rzadko mówiła o córce. Ja jej wyjątkowo nie lubiłam. Już jako malutka dziewczynka miała problemy z nawiązaniem kontaktu z rówieśnikami. Trzymała się daleko od koleżanek z przedszkola, potem z klasy. Nie miała przyjaciółki. Liczyła się dobrze, ale nie bardzo dobrze. Nie miała problemów, ale też i niczym wybitnym się nie odznaczała. Chociaż nie. Alina przebąkiwała o jej ambicjach literackich. Śmiać mi się chciało, ale potem udało jej się wydrukować parę tekstów, które nie były złe. Wszystko ustało jednak z chwilą śmierci Aliny. Słyszałam, że noga jej się powinęła. Tak czy inaczej, nawiązanie kontaktu z nią nie wchodzi w ogóle w grę.

Przestudiowanie dokumentów z tamtego zdarzenia może mi zająć nawet kilka tygodni.

To nic. Zaczęłam już pisać i czuję, że ta książka to będzie bestseller.

Szukam w aktach odpowiedzi na kilka pytań. Pierwsze z nich i zasadnicze brzmi: Gdzie jest Alina i jak udaje się jej ukrywać? Dlaczego została uznana za zmarłą na podstawie tak wątpliwych przesłanek, jak identyfikacja męża, który nie spojrział na ciało? Skąd w ogóle pomysł, że jechała tym autobusem? Może pokłóciła się z rodziną i wysiadła wcześniej, a oni pod wpływem szoku nie pamiętają tego? Wiem, że tak może być, że człowiek wypiera całe zdarzenie. Alina pewnie wiedziałaby na ten temat więcej z racji swojego zawodu. O ironio, właśnie pomyślałam, że pomogłaby mi odszukać samą siebie.

Po tygodniu poszukiwań docieram do istotnej informacji. W spisie rzeczy odnalezionych na miejscu zdarzenia jest skórzana okładka, w której był dowód osobisty Aliny oraz jej prawo jazdy. Jeśli wyszła z tego autobusu żywa, to na pewno nie miała dokumentów. Czy to możliwe, żeby zgłosiła zaginięcie i dostała kopię mimo, że rodzina oddała jej dowód do Urzędu Stanu Cywilnego, tak, jak się postępuje w przypadku śmierci?

Wtajemniczam mojego dawnego informatora w sprawę. Przynajmniej częściowo.

- To teoretycznie możliwe - mówi. - Chociaż mało prawdopodobne. Teraz wszystko jest skomputeryzowane. Z chwilą oddania dowodu nie kasujemy wyłącznie samego dokumentu. Także pesel przestaje istnieć. Nie można więc wyrobić nowego dowodu osobistego.

- A jeśli to zrobiono, zanim dokumenty zostały oddane? Może teoretycznie wyrobiono nowy dowód, a potem został oddany stary, którym się teraz „zmarła” posługuje.

- Teoretycznie to może tak być, ale ten pesel i tak by nie działał. Taka osoba nie mogłaby się nigdzie zarejestrować. Nie mogłaby wykonywać żadnej pracy, pójść do lekarza, wyjechać za granicę na dowód osobisty...

- Paszport - olśniewa mnie. - Nie oddali paszportu i ona go używa!

- To akurat łatwo sprawdzić... - mój kryminalny stuka w klawisze komputera. Widać wciągnęła go ta sprawa.

- Nie - mówi po chwili. - Paszport został oddany po śmierci tej osoby. Poza tym nikt nie zgłosił zaginięcia, czy kradzieży dokumentów na to nazwisko trzy miesiące przed datą śmierci. Nie mam możliwości sprawdzić, czy ktoś próbował używać peselu tej osoby np. w przychodni. Wydaje mi się to jednak bardzo mało prawdopodobne.

- To jak ona żyje?

- A jesteś pewna, że żyje?

- Jak nigdy dotąd - mówię cicho.

Wracam do studiowania akt sprawy. Nie ma mowy, żebym je wypożyczyła, więc

przychodzę do biura codziennie, jak tylko otwierają archiwum i studiuje papierzyska robiąc tony notatek. W redakcji przekonuję wszystkich, że zapadłam na przewlekłą chorobę i pracuję z domu. Udaje mi się godzić na razie te dwa zajęcia. Mój naczelny póki co nic nie mówi. I pewnie nic nie powie, póki widzi napisane artykuły.

Po kilku tygodniach zdaję sobie sprawę, że niczego z tych akt nie da się wycisnąć. Trop z dowodem osobistym muszę odrzucić. Jeśli myślała racjonalnie, to nie zostawiała by dokumentów. Zakładam, że świadomie zaplanowała swoją śmierć i wmówiła ludziom, że była w autobusie. Jeśli jednak do niego nie wsiadła? Wykluczone. Zbyszek nigdy nie umiał kłamać. Musiał wierzyć, że nie żyje. A jeśli w to wierzył, to znaczy, że to wszystko stało się po katastrofie, którą w jakiś cudowny sposób Alina przeżyła. Zaraz, zaraz, ale przecież nie tylko ona przeżyła to uderzenie. Ta myśl olśniewa mnie nagle na środku jezdni podczas przechodzenia na drugą stronę. W takich samych okolicznościach zobaczyłam Alinę po latach. Przecież jest wiele osób, które odniosły powierzchowne obrażenia i takich, którym nic się nie stało. Jak mogłam od tego nie zacząć?

Ponownie zwracam się z prośbą o osobistą przysługę do znajomego z kryminalnego. Po dwóch dniach dostaję listę i adresy żyjących uczestników katastrofy. Na czele listy oczywiście Zbyszek i jego córka. Adres ten sam, pod który ostatni raz pojechałam dwa tygodnie temu. Nie ma na nim nowego adresu dziewczyny. I tak nie zamierzam jej odwiedzać. Oprócz nich, katastrofę przeżyły jeszcze tylko trzy osoby. To ułatwia poszukiwanie. Było jeszcze pięcioro rannych, ale ciężko i zmarli po mniej lub bardziej długim czasie leczenia. Jako pierwszą odwiedzam młodą dziewczynę o imieniu Alicja. Wcześniej umawiam się na wizytę. Częstouję ją opowieścią, że piszę książkę o osobach, które przeżyły wypadki komunikacyjne, ale takie, w których śmierć poniosło wiele osób. Dziewczyna mieszka z rodzicami w bloku na Ursynowie. Na ładnej twarzy widać ślady tamtego wypadku. Lewe oko jest nieco mniejsze, na skroni ledwie widoczna blizna.

- Patrzy pani na to? - Alicja pokazuje palcem bliznę.

- Nie chciałam cię wprawić w zakłopotanie - mówię.

- Nie wprawiła pani - kręci przecząco głową. - Przyzwyczyłam się. Chociaż bezpośrednio po wypadku było ze mną wiele wywiadów, potem przestano się interesować moją historią. Dopiero pani zadzwoniła...

Muszę uzupełnić te wiadomości, znaleźć archiwalne gazety. Wtedy mogła powiedzieć coś ciekawego.

- Jaką książkę pani pisze? - pyta.

- Psychologiczną - mówię. - Interesuje mnie nie sam fakt wypadku, tylko ludzkie

zachowanie. W trakcie, potem...

- Wie pani, że wtedy zginął mój chłopak?

- Słyszałam. Bardzo ci współczuję.

- Dziękuję. W pewien sposób uratował mi życie. Stał przede mną. Oboje odrzuciło nas w kierunku okna. On głową wybił szybę. Ja uderzenie przeżyłam na jego plecach. Odłamki wbiły mi się w twarz, ale nie uszkodziły ważnych organów. Miałam kilka operacji. Wyjęto szkło z oka. Omal nie straciłam wzroku, ale już jest dobrze. Tylko małe blizny pozostały.

- Czy wracasz wspomnieniami do samego uderzenia?

- Nie pamiętam go w ogóle - mówi ku mojemu rozczarowaniu. - Wszystkiego dowiedziałam się później z prasy, od policji i lekarzy. Części od rodziny Marcina - mojego narzeczonego.

- Czy on zginął na miejscu? - pytam.

- Delikatna to pani nie jest... - dziewczyna unosi do góry brwi. - Miał przeciętą tętnicę szyjną. Wykrwawił się. Tak, zginął na miejscu.

- Czyli nic nie pamiętasz? - podsumowuję pomijając jej uwagę.

- O co pani chodzi? - denerwuje się. - Zgodziłam się na tę rozmowę, ponieważ mama powiedziała mi, że pani pisze książkę o tych co przeżyli wypadki. Myślałam, że moja opowieść o tym, jak wyszłam z tego wypadku, pomoże komuś uporać się z własną tragedią.

-I tak jest...

- Nie jest pani szczerą.

- Powiedz to, co chcesz powiedzieć innym, którzy przeżyli podobny koszmar.

- Nie rozmawiajcie o tym z obcymi, bo koszmar wróci - Alicja wstaje. - Niech pani już idzie.

Niezbyt udana to wizyta. Na przyszłość muszę uważać na to, co mówię i przygotować się do rozmowy. Zaślepiła mnie myśl, że jestem Sherlockiem Holmesem w spódnicy. Żałosne. Mam jeszcze dwie osoby na liście. Może tym razem zdołam nie spieprzyć sprawy.

LENA

Wychodzę jakieś dziesięć minut przed jego przyjściem.

- Powodzenia - mówię obłądnie wyglądającej Slepelli.

- Trzymaj kciuki - na to ona.

Zwykła kobieta o niezwykłych zdolnościach i urodzie pragnie mężczyzny. A on pragnie jej. Przemknęłam przez bramę i poszłam na autobus, na wypadek gdyby poeta nadjechał ze strony przystanku tramwajowego i zobaczył, że nie jestem w mieszkaniu Eli. Kiedy zadzwoni do drzwi i zorientuje się, że zostawiłam go z nią samego, będzie już pozamiatane. Nie wycofa się.

Przychodzi grubo po północy. Udaję, że śpię. Zwykle zasypiam bardzo wcześnie, ale tym razem nie mogę. Czekam aż wróci. Poznam czy był z nią czy nie. Nie, żeby czekała na jego powrót. Po prostu czasami nie mogę zasnąć jak jest pełnia. Był z nią. Nawet nie próbuje zapukać do mnie. To oznacza, że z nią był. No i dobrze. Naturalnie, może też być tak, że Piotr jest obrażony. Zorientował się, że zrobiłam wszystko, żeby poszedł do innej kobiety, wkurzył się i był z nią. No i dobrze. Przed zaśnięciem myślę o jutrzejszym małym zleceniu. Aktorka serialowa poznana w „Nowym Wspaniałym Świecie” poprosiła mnie o pomoc w przygotowaniu do castingu. Walczy o rolę szefowej agencji modelek. Mam ją ubrać do zdjęć próbnych.

Rano wpycham się do łazienki przed Piotrem, mimo, że mam być u poetki o 12.00, a on w pracy na 9.45. Wychodzę z łazienki punkt 9.00, kompletnie ubrana i w makijażu. Nawet na mnie nie patrzy. W kuchni stoją dwa kubki i dwa nakrycia. Widzę, że zszedł do sklepu na dole po świeże bułki. Więc jednak wzniósł się ponad nasz przyziemny konflikt. Albo był z nią i ma wyrzuty sumienia. Niepotrzebnie. Nie byliśmy parą.

- Nie ma masła - frasuje się.

- Wczoraj kupiłam - mówię wydobywając kostkę z zakamarków lodówki.

- Coś chcesz powiedzieć? - pyta.

- A ty?

Wiem, że nie lubi jak odpowiadam pytaniem na pytanie. No dawaj. Powiedz mi, co o mnie myślisz.

- Czy ja dla ciebie naprawdę nic nie znaczę?

- Dziewczyna cię rzuciła, bo zachowujesz się jak nastolatek zakochana w koledze z klasy - mówię. - Gadasz banałami, wspominasz byłą i patrzysz jak pies.

- A wy kochacie drani, tak?

- Może inne tak, ja nie jestem zaangażowana uczuciowo. Do tej pory tego unikałam i teraz też mi się udało. Nie dorabiam sobie teorii.

- Ktoś cię musiał strasznie skrzywdzić w dzieciństwie - mówi.

Zwykle, kiedy czytam coś takiego, gotuje się we mnie. Nienawidzę takich usprawiedliwień własnych czy cudzych błędów.

- Mylisz się - mówię. - Jestem podła z natury. W domu mnie kochano, nie pochodzę z rozbitej rodziny. Matka była dobra i uczciwa. Ojciec jest dobry i uczciwy. Żadne palcem mnie nie tknęło. Miałam wszystko. Kanapki do szkoły i obiad w domu.

- Czyli coś ze mną jest nie tak?

- Nie podpieram się własnym dzieciństwem, udanym albo nieudanym. Za błędy płacę sama. Staram się ich unikać, albo negocjuję najniższą możliwą stawkę cenową. Staram się mieć spokój, a jeśli ktoś zalezie mi za skórę, to mu odpłacam. Jak umiem.

- Jesteś cyniczna.

- Być może. Nie zależy mi na tym, żeby ludzie mnie lubili. Gdyby tak było, tkwiłabym w pasmanterii w Błoniu. Ale jestem gdzie jestem. I całę szczęście.

- Lenina!

Zabrzmiało jak obelga. Skoro z nią był, to nie musi mnie obrażać. Chyba, że chce, żebym się wyprowadziła. Niedoczekanie. Komórka podskakuje na stole. To od niej. Piszę, żebym przyszła jak tylko będę mogła. Nie o dwunastej, a wcześniej. Tylko dwa błędy. Muszę ją pochwalić. Oczywiście, jeśli tylko nie spotka się ze mną, żeby mnie zwolnić z pracy. Może teraz to on jej będzie pomagał i przepisywał wiersze. Może powiem jej, że uczucia nie powinno łączyć się z pracą. Tylko co, znów mam zebrać? I może jeszcze jego poprosić, żeby nie kazał mi szukać innego mieszkania. Wychodząc trzaskam drzwiami, ponieważ wiem, że Piotr tego nie znosi.

Ślepella ma w sobie wewnętrzne światło. A jednak z nią był. Smutne to, że każda, nawet nowoczesna, feministka, niezależna, singielka i tak dalej, jaśniej jak się prześpi z facetem.

- Przepraszam cię, że najpierw się umawiamy na południe a potem ja taki alarm robię.

Wyraża się niegrammatycznie. Co to może oznaczać?

- Nie ma sprawy. Nie miałam za bardzo co robić.

- No to nie mam wyrzutów sumienia.

Siada w ulubionym fotelu i czeka na swoją herbatę. Jeśli poprosi o kanapki z miodem, to znaczy, że chce pisać wiersze. Jeśli grzanki to znaczy, że jest w dołku.

- Babcia usmażyła naleśniki. Są w piekarniku, jeszcze ciepłe. Masz ochotę?

- Pewnie - mówię. - A jak tam babcia?

- Od rana zadowolona. Wpadła tu i zastała mnie w prozku. Spałam chyba do dziesiątej - uśmiecha się. - Spotkała się z dawno niewidzianą znajomą. Przyjaciółką mojej mamy. Pogadały sobie i chyba babcia odpuściła.

- Może pogodziła się wreszcie z tym kim chcesz być i z kim - zaczynam ostrożnie.

- A może byś mnie zapytała jak było? - śmieje się już całkiem otwarcie.

Czy najpierw rozebrał ciebie, a potem dopiero siebie? Czy ściągnął ci stringi zębami?
Czy włożył język w pępek?

- Jak było? - pytam miękko głosem.

- On chce brać ze mną udział w spotkaniach poetyckich.

Spodziewam się. A na każde ja ją ubiorę, a on rozbierze.

- Będziemy mieli razem dwanaście spotkań promujących nasze wiersze w największych polskich miastach. Wspólnych. Tylko dwa spotkania przewidziano z innymi młodymi poetami. Dzwoniliśmy do naszej redaktorki, jest zachwycona. Naturalnie jeździsz wszędzie ze mną. Jeśli oczywiście chcesz. Ale mam nadzieję, że chcesz.

Ale pokój będziemy miały osobny.

- Oczywiście - zgadzam się prędko.

Czyli nie powiedział jej o początku naszej znajomości, o tym, że mieszkamy razem.
Ela nie zwolni mnie. Jestem jej potrzebna.

- Sushi było świetne. Wina nie chciał - zamyśla się.

- A jak już omówiliście spotkania i zjedliście sushi? - ona oczekuje, że się zapytam.

- To robiłam, co mi powiedziałaś. Nastawiłam muzykę i zdjęłam zakiet. Poprosiłam go, żeby mi pomógł zrobić herbatę. Podałam rękę.

Słucham w napięciu.

- Przyciągnął mnie do siebie i pocałował. Ależ on całuje...

Brazylijska telenowela.

Wzdycha.

- A potem powiedział, że jestem pięknością, niewiarygodną poetką, hipnotyzującą osobą, ale...

Ale?

- On jest gejem.

Z naleśnika skapuje mi łezka konfitur wprost na bawełnianą jasną spódnice. Jasna cholera, nie odczyszczę tego.

- Nie wygląda na geja - mówię.

- Mnie też nie wyglądał, albo powinnam powiedzieć nie słyszał i nie dotykał, ale jest gejem.

Gejem. Niepotrzebnie starałam plamę. Rozmazała się na jasno-szarej bawelnie.

- Ukrywa się, bo pracuje w szkole. No i wiesz, jakie są jego wiersze. Nie są gejowskie.

Zdecydowanie nie są.

Pieprzę się wszędzie - w życiu i w urzędzie pierdolę takie na cokole

Mój cudzie z tatuażem na udzie

Dmucha taką z piersiami dmuchanymi

Sama chce

Naszyję asymetryczną falbanę na tę plamę, jeśli nie zejdziesz.

- A, i jeszcze jedno - mówi. - Czemu mi nie powiedziałaś, że będziesz wynajmowała mieszkanie w jego kamienicy?

- Tak wyszło jakoś...

- No i dobrze - mówi. - Będzie miał na ciebie oko. Ja niestety nie mogę...

Czy nie powinna być w dołku? Właściwie co się takiego stało? Nie odrzucił jej mężczyzna, tylko wzięła geja za hetero. Nie chodzi o jej ślepotę, tylko jego orientację. Nie ma się czym martwić. Spotkania poetyckie się odbędą. Marketing ruszy całą parą. Dotarły do niej głosy, że jest piękna i dobrze ubrana.

W dodatku kamień może spaść mi z serca, bo Piotr załatwił sprawę mieszkania. Wynajem kawalerki w tej samej kamienicy, to prawie prawda.

- Te naleśniki możemy posmarować miodem, dobrze? - podaje mi talerz. - I dość już o tym. Piszmy wiersze.

MARIA

Druga na liście jest kobieta w średnim wieku, Anna Pekofowicz. Cóż za dziwaczne nazwisko. Na szczęście zgadza się ze mną porozmawiać. Tym razem przygotowuję się do wizyty starannie. Jechała sama, nikt jej nie zginął. Miała skomplikowane złamanie nogi, leżała w szpitalu i miała dwie operacje, ale w sumie wyszła z wypadku bez większych uszczerbków na zdrowiu. Po wypadku chętnie udzielała wywiadów i fotografowała się w prasie codziennej z nogą na wyciągu. Przeczytałam te wywiady. Właściwie nic nie wносиły w mojej sprawie. Żadnych wzmianek np. o tajemniczym aniele wyciągającym rannych spod stosu martwych ciał. Albo o oddalającej się we mgle osobie. Nie zaszkodzi jednak spróbować.

Anna Pekofowicz pali się do rozmowy ze mną. Najpierw jednak muszę wysłuchać uwag na temat swojego dawnego programu telewizyjnego. Z ust kobiety wylewa się zjadliwa słodycz. Chwali program i jednocześnie wsadza szpile. Chyba myśli, że jest inteligentna. Wysłuchuję jej opinii tylko po to, żeby wyrobić sobie pogląd na jej charakter. Czy jest osobą prawdziwą? Czy może mnie okłamać, nawet nieświadomie i skierować moje prywatne śledztwo na fałszywy tor?

- Tak się cieszę, że mogę komuś pomóc - papie kobieta. - Ten wypadek zmienił moje życie.

- W jaki sposób?

Logiczne pytanie, ale wytrąca ją z równowagi.

- Jak to w jaki sposób? - gdcze. - Proszę pani, patrzyłam jak ludzie umierali, jęczeli, no... tego nie da się opisać.

- Proszę postarać się opowiedzieć co pani pamięta - poprosiłam wyciągając notes i starając się sprawić wrażenie, że czekam na jej słowa.

- Ludzie jęczeli, krzyczeli, błagali o pomoc... - zaczyna, ale trochę niepewnie.

- W której części autobusu była pani, w czasie uderzenia?

- No tak bliżej przodu...

- Kiedy straciła pani przytomność? - pytam z obojętną miną.

- W ogóle nie straciłam - oburza się.

- Czyli wszystko pani pamięta? - upewniam się.

- O co pani chodzi? - narastający niepokój w głosie.

O to, czy jesteś wiarygodnym świadkiem.

- Po prostu pytam - mówię słodko.

- No tak... Mogłam na chwilę stracić przytomność, ale zaraz ją odzyskałam.

- Czy oprócz pani ktoś był przytomny?

- O co pani chodzi? - znów ten niepokój.

- O to, czy pamięta pani inne osoby, które także niosły pomoc rannym?

Specjalnie używam słowa „także”, mimo że nie wierzę, żeby z otwartym złamaniem nogi próbowała chociażby wstać.

- Nie - stwierdza stanowczo. - Nikt nikogo nie ratował. Wyniosłam na plecach młodą dziewczynę z autobusu. Nawet mi nie podziękowała.

Mówi to z goryczą.

- Blondynkę czy brunetkę? - pytam.

- Blondynkę, chyba... Miała czapkę.

- Wie pani kto to był?

- Nie pamiętam imienia, ale potem dowiedziałam się, że zginęła jej matka.

Czyli może być mowa o córce Aliny. Tyle, że nie wierzę, żeby ta kobieta mogła unieść cokolwiek przy takich obrażeniach.

- Kto wezwał pogotowie?

- Podobno jakaś dziewczyna zadzwoniła z komórki.

Ta, którą podobno wyniosłaś na plecach.

- Dlaczego pani nie wezwała pogotowia czy policji?

- Nie miałam komórki - denerwuje się.

Muszę przystopować. Pozwalam jej paplać co czuła, kiedy widziała poszkodowanych. Coraz bardziej przekonuję się, że niczego nie pamięta. Musiała odzyskać przytomność, kiedy przyjechało pogotowie. Zasypuję ją pytaniami, na które czeka, typu: jak to jest uratować komuś życie, być bezsilnym wobec takiej tragedii itp. Na koniec pytam:

- Czy widziała pani kogoś oddalającego się z miejsca wypadku. zanim przyjechało pogotowie?

- Jakiś samochód przejechał, ale się nie zatrzymał. Chyba...

- Czy ktoś odwiedził panią w szpitalu? Dziennikarz, psycholog, kto pytał o to, co pani pamięta?

- Mnóstwo ludzi mnie pytało - mówi. - Mówiłam pani, że udzielałam wielu wywiadów. Kiedy ukaże się książka?

- Dostanie pani egzemplarz autorski - zapewniam wychodząc.

Kompletna porażka. Może poszczęściłi się z mężczyzną, ostatnim na liście. Mężczyźni są bardziej wiarygodnymi świadkami. Pamiętają może mniej szczegółów, ale nie

starają się ubarwiać rzeczywistości.

Adam Jachdaj nie chce ze mną rozmawiać. Może nie tyle nie chce, ile nie widzi takiej potrzeby. Twierdzi, że niczego nie pamięta. Zeznania złożył od razu. W wyniku wypadku miał złamane żebra. Żadnych urazów głowy. Czyli może być dobrym świadkiem. Upieram się przy tym spotkaniu, wreszcie mężczyzna zgadza się ze mną porozmawiać. Umawiamy się na mieście, w obskurnym lokalu, w którym podają tanie, głównie smażone dania na miejscu i na wynos.

- Już wszystko mówiłem - znów swoje. -1 niech mnie pani nie pyta, co czułem wtedy...

- Dlaczego? - nie wiem, jak się do niego „zabrać”.

- Wracałem ze zmiany. Wcześniej wypilem dwa piwa. Po pracy - zastrzega się. - W autobusie zasnąłem od razu. Jadę od pętli do pętli, więc mogę spać. Obudziło mnie uderzenie i potworny ból w piersi.

- Miał pan złamane żebra...

- Podobno aż pięć - uśmiecha się a mnie ogarniają mdłości na widok stanu jego uzębienia. - Potworny ból.

- Czy pamięta pan, jak ktoś pomagał rannym?

- Było pogotowie, policja, straż pożarna. Na szczęście szybko mnie zabrali. Wcześniej dali zastrzyk i odpłynąłem.

- A zanim przyjechali, pamięta pan coś?

- Że bolało - uśmiecha się a ja odwracam wzrok. - Ta dziewczyna dzwoniła na pogotowie. Krzyczała i płakała. Tyle.

- Czy zanim przyjechało pogotowie ktoś udzielił panu pomocy? - nie ustępuję.

- Mnie nie, ale ktoś wyciągał dziewczynę, która leżała obok mnie. Chyba tę samą co potem zadzwoniła na pogotowie.

- Kto to był? - ogarnia mnie podniecenie. Chyba mam świadka.

- Skąd mam wiedzieć. Była noc. Nawet nie jestem tego pewien.

- Poznałby pan te osobę? - wpatruję się w niego intensywnie. - To bardzo ważne.

- Nie - kręci głową.

- Mężczyzna? Kobieta?

- Nie wiem.

Kelnerka stawia przez Adamem Jachdajem plastikowy talerz z fasolką po bretońsku. Po raz kolejny opanowuję mdłości.

- Czy widział pan kogoś oddalającego się z miejsca wypadku?

- Wywozili nas karetkami... Nie wiem o co pani chodzi?

- Nie. Nie. - co za idiota. - Chodzi mi o osobę, która oddalała się z miejsca wypadku zanim pojawiły się służby ratownicze...

- Nie widziałem.

- Czy ktoś odwiedził pana w szpitalu? Ktoś obcy, kto wypytywał o szczegóły wypadku?

- Nie leżałem w szpitalu. Zostałem tylko kilka godzin. Dostałem leki, żeby nie bolało i won.

- Kiedy pan składał zeznania na policji?

- Kiedy już mogłem mówić swobodnie - śmieje się, a między zębami ma kawałki fasolki. - Jakiś miesiąc później, może mniej. Już wiem gdzie panią widziałem. To przez panią tamten gość strzelił sobie w łeb. W telewizji jest pani większa.

Kończy fasolkę po bretońsku. Niewykluczone, że widział Alinę jak upewniała się, że córce nic nie jest. Nawet jeśli rzeczywiście ją widział, nie prowadzi to do niczego. Nie udowodnię w ten sposób, że przeżyła wypadek. Nie wiem także, gdzie jej szukać. Tylko moja książka ma coraz więcej stron.

LENA

Aktorka serialowa chciała, żebym w godzinę zrobiła z jej szafy garderobę transetterki, a z niej Sarę Jessikę Parker. Może i nie jestem Patricia Field, ale jej do bohaterek „Seksu w wielkim mieście” jest bardzo daleko. Udało się tylko wybrać coś na casting. Znalazłam klasyczne spodnie w kolorze czarnym i czerwoną jedwabny bluzkę. Z przepastnej torby pełnej biżuterii nic praktycznie mi nadawało się do noszenia. Wygrzebałam jednak dwa sznury pereł, które powiązałam ze sobą okręcając je skórzaną zawieszka. Wypadło bardzo oryginalnie. Doradziłam buty i fryzurę. Tylko torbę musimy kupić nową, ponieważ żadne ze skajowych obrzydlistw w jej szafie nie powinno ujrzeć światła dziennego. Umówiliśmy się na następny dzień. Tymczasem ma ćwiczyć rolę, bo samym strojem nikt jeszcze castingu nie wygrał.

Wlokę się do domu skrajnie zmęczona, emocjonalnie głównie. Nie wiem, czy Piotr będzie w domu. W sklepie na dole kupuję wino, dwa różne sery i trochę winogron. Postanawiam okazać skruchę. W końcu odwrót to też taktyka wojenna.

Jest w domu. Z głośników wydudnia się jakiś wściekły rock. Wokalista śpiewa po niemiecku. Jest gorzej niż myślałam. Przebieram się w dzinsy i wkładam jego T-shirt.

- Przyjdiesz na kolację? - przekrzykuję wściekłą perkusję.

- Nie jestem głodny.

- Mam wino i sery. I winogrona.

- Smacznego.

Nie patrzy na mnie. Jestem zraniony, mały miś. Trzeba obrać inną taktykę.

- Chciałam cię przeprosić - wyłączam muzykę. - Tylko nie wiem jak.

- Normalnie - zamienia się w belfra. - Podchodzi się do osoby pokrzywdzonej, mówi przepraszam, ewentualnie za co, jeśli nie jest to oczywiste, a potem...

- A potem?

- A potem mogę zjeść te sery.

- Przepraszam za słońce, przepraszam za deszcz, przepraszam, za co tylko chcesz... - nuce.

- Zgrywasz się - mówi. - Lepiej sobie idź.

- Przepraszam - zaczynam uroczyście. - Za to, że nie powiedziałam ci, o co chodzi z tą kolacją.

- Przeprosiny przyjęte.

Albo nie był specjalnie obrażony, albo docenił to, że w ogóle chciałam się pogodzić,

albo był głodny. Patrząc jak zjada sery i popija winem jak kompotem jestem raczej skłonna przyznać, że to trzecie.

- Az tym pseudo coming outem to co ci przyszło do głowy? Pytam z ciekawości.

- A wolałabyś, żebym jej powiedział, że to na twój widok twardnieją mi jaja?

Poeta wulgarysta się wyłonił.

- Wyglądała obłądnie, jak wychodziłam. Nie stwardniały ci na pewno?

- Pocałowałem ją - mówi, jakby wyznawał winę. - Jest piękna, jej ślepotą to nie problem. Nie epatuje swoim nieszczęściem. Jest inteligentna i jest świetną poetką.

- To dlaczego nie zostałeś?

- Miała inny smak niż ty. Inną skórę. I wyobrażałem sobie, że dotykam ciebie.

Doceniam, że nie zgłasza żadnych pretensji o to, że potraktowałam go jak idiotę, odrzuciłam propozycję stałego związku, nie dopuszczałam do wyznań. Może pora też coś z siebie dać?

- Dzięki, że jej powiedziałeś o tym mieszkaniu - mówię.

- Jakoś wybrniesz. Nie musisz nawet mówić, że mieszkanie w tej samej klatce i za tymi samymi drzwiami.

No dalej, nakazuję sobie. Wykrztuś to wreszcie z siebie. Nie stracisz kontroli.

- Nie chciałam, żebyś tam został - nie patrzę mu w oczy. - Jestem wściekła o to, że się całowaliście.

No i nie bolało. Pozwoliłam mu wejść dopiero, kiedy już pocałował każdy fragment mojego ciała. On zresztą nie protestował.

ALINA

Kiedy byłam Aliną, nie znosiłam świąt. Jako pani Krysi nie tylko nie przeszkadza mi świąteczny rozgardiasz, ale nawet całkiem lubię tę porę roku. W domu rodzinnym siadaliśmy do Wigilii razem z matką. Już przy życzeniach byłyśmy poważnie skłócone. Ja z naciskiem podkreślałam, że życzę jej zdrowia, szczęścia i tym podobne banały, a ona zaczynała podsumowanie roczne: że wnuczka nie może się zdecydować, co będzie robić w życiu, a syn się daleko wyprowadził, jakby mu tu nie można było zapewnić pracy i mieszkania, a mąż taki jakiś... Lista ciągnęła się, aż przerywałam zdenerwowana i prosiłam, żeby z pretensjami poszła bezpośrednio do zainteresowanych. Co roku żałowałam, że nie wzięłam dyżuru w Wigilię. Miałabym przynajmniej z głowy. Na życzeniach się nie kończyło. Matka siadała do stołu, próbowała po kolei wszystkiego i znów zaczynała: a śledzie ile moczyłaś? Zą krótko. W wodzie? Ja moczę w mleku. Karp ma łuski, niedokładnie oczyszczony. Pierogi brałaś na zamówienie? U nas w domu samemu się sklejało. Jak byłaś malutka, to mi pomagałaś. Trzeba było powiedzieć, to bym... Tyle, że nigdy nie pomagała i sama niczego nie ugotowała. Przed nocą już się do siebie nie odzywałyśmy. Między nami chodziła córka i mediowała. Nie, żeby była dobrą dziewczyną, chciała pomóc, czy nie zносиła kłótni. Bawiło ją to, że może ingerować w nasze wzajemne relacje. Ciekawe, czy spotyka się z moją matką. Znając córkę, wybrała między swoim ojcem a babcią. Pewnie postawiła na relacje z babcią. Babcia może we wszystkim pomóc ukochanej wnuczce. Zamknięty w sobie ojciec nie jest najlepszym kompanem. Babcia pewnie wspomaga ją finansowo, gotuje. Ojciec wymagałby sam obsługi. Biedny Zbyszek. Wyobrażam sobie, jak siedzi sam, wpatrzony w regał z książkami albo w telewizor.

Ciągle powracam myślą do Maryśki. Co zrobi, co knuje teraz? Co mi grozi? Wczoraj w nocy śniło mi się, że Maryśka przyprowadziła do mnie córkę, która krzyczała, że jestem aniołkiem. Zupełny absurd. Co ona może zrobić? Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności jestem innym człowiekiem. Nie ma możliwości, żeby moja „przyjaciółka” domyśliła się, że teraz nazywam się inaczej. Poza przypadkiem, zbiegiem okoliczności, który mógłby mnie zdemaskować, nikt nie jest w stanie mnie znaleźć. Maryśka musiałaby przyjść do baru i jakimś cudem wejść do kuchni. Ja rzadko pokazuję się klientom. Jej działania to zapewne chęć „wykurzenia” mnie z nory. Najlepiej będzie, jak nie dam się sprowokować i nie zrobię nic. Przez chwilę myślałam, żeby w rocznicę mojej „śmierci” pojechać na cmentarz. Z daleka zobaczyłabym, czy ktoś przyjechał, żeby złożyć kwiaty na grobie czy zapalić świeczkę. Może dzieci, mąż, moja nieutulona w żalu matka. Pokusa jest dość silna, ale właśnie teraz nie mogę

tego zrobić. Maryśka może wartować przy moim grobie niczym żołnierz.

Święta mijają mi szybko. W barze jest duży przedświąteczny ruch. Na spuchniętych od stania nogach spędzam długie godziny nad pierogami i uszkami. Kiedyś nie miałam czasu ich lepić, teraz monotonne czynności sprawiają mi przyjemność. Ważne, żeby każdy pierożek był taki sam, miał taką samą ilość farszu i fałdek. Barszcze sprzedajemy w butelkach. Całą piwnicę mamy pozastawianą kamionkami, w których kisi się esencja buraczana. Wszystko najprawdziwsze, ze świeżych składników, żadnych koncentratów. Podobnie żurki i rosoly. Najdłużej pracowałam nad pasztetem. Dodawałam zbyt dużo wątróbki i robił się za ciężki. Z kolei marchew psuła smak. Wreszcie dobrałam właściwe proporcje, a moja Agnieszka znalazła człowieka, który sprzedaje nam świeżą dziczyznę. Przed Świętami nie nadążałam piec. Słowem, miałam mnóstwo pracy, a jeszcze musiałam pocieszać Agnieszkę, której były chłopak najwyraźniej zakochał się w innej dziewczynie. Podobno przyszedł kupować pasztet i pierogi na ich wspólne święta. Nie rozumiem tej dzisiejszej młodzieży. Agnieszka z nim zerwała, a teraz płacze i chce, żeby do niej wrócił. Z kolei tamten nie widzi, że dziewczyna się w nim kocha i przychodzi kupować pasztety zachwycony, że ma ze swoją były takie dobre relacje. Ostatnio opowiadał jej o nowej dziewczynie. Podobno jest zupełnie inna niż Agnieszka. Nie spala się w uczuciach, powiedział, cokolwiek miał na myśli. Agnieszkę to dotknęło, chociaż niesłusznie. Najlepszy dowód, że ona spaliła się w uczuciach do tego chłopaka, kiedy najpierw go zostawiła, a potem zaczęła za nim płakać. Mogłabym przemówić mu do rozsądku, tylko po co? Najlepiej nie wtrącać się w sprawy młodych.

Sama nie kochałam. Nie byłam też kochana. Zakochana tak, z wzajemnością, choćby we Włodku, ale prawdziwego uczucia nie doświadczyłam. Mogę winić jedynie mamusię, która nie umiała nauczyć mnie tej szczególnej więzi z drugim człowiekiem. Może moja córka poznała się na niej i nie kontaktują się? Czasami chciałabym wiedzieć co robią moi bliscy.

Święta spędzam głównie na odsypianiu zaległości i smarowaniu maścią spuchniętych kostek. Telewizora nie mam i nie chcę mieć, więc nie wiem, co się dzieje na świecie. Mój świat trzyma się nieźle i to mi wystarczy. Z mieszkania wychodzę pierwszego dnia po świętach, żeby się przejść po okolicy. Bar będzie zamknięty jeszcze przez dwa dni.

- Ładne słońko, pani Krysiu - zagaduje dozorca.

Jest wdowcem. Mężczyzna z niego dość obrzydliwy, z ubytkami w uzębieniu, cuchnącym oddechem. Nie przeszkadza mu to obrzucać mnie lubieżnym wzrokiem, ile razy mijamy się w korytarzu. Mężczyznom z Pragi wydaje się, że sam fakt, że są mężczyznami, czyni ich atrakcyjnymi.

- Rzeczywiście - przytakuję. - Święta i słońko.

- Tak sobie myślałem, pani Krysienko kochana, że pani tak sama spędza święta...

- Nie sama, panie Kazimierzu - protestuję. Niech myśli co chce.

- Ale ja nie widziałem, żeby pani miała kiedy gości.

Gdyby tak nie szczyrzył tych obrzydliwych zębów, mogłabym z nim chwilę porozmawiać. A tak nie ma mowy, żebym dobrowolnie przebywała w towarzystwie kogoś takiego dłużej niż to jest absolutnie konieczne.

- Nie wszystko pan widzi - odsuwam się na bezpieczną odległość i odwracam się, żeby odejść.

- Ktoś pytał o panią - dobrze, że jestem odwrócona do tego człowieka tyłem, bo krew odpływa mi z twarzy.

Odwracam się powoli.

- Kto? - pytam schrypniętym głosem.

Łypie na mnie małymi oczkami. Kto to mógł być? Jakim cudem Maryśka mnie znalazła? Co ja teraz zrobię?

- Taka jedna pani...

Dobrze się bawisz, cholerny cieciu?

- Jaka pani?

- Ta pani z baru, bardzo ładna dziewczyna. Była tuż przed Wigilią, kiedy pani gdzieś wyszła. Zapomniała pani zabrać świątecznego jedzenia z kuchni. I przyniosła.

Mam nadzieję, że nie zobaczy, jak wielka ulga maluje mi się na twarzy. Rzeczywiście, zapomniałam pierogów z kapustą i grzybami ulepionych w ostatniej chwili, żeby były świeże. Już nie słucham dozorca, który krzyczy za mną, że te pierogi ma w lodówce i, żebym wstąpiła jak będę szła z powrotem.

- Niech pan zje za moje zdrowie - odkrzykuję.

- Obiecałem tej pani...

- Niech pan zje za moje zdrowie, tylko szybko, póki świeże...

Oddalam się szybkim krokiem. Na ulicach jest spory ruch.

Ludzie nie wychodzili z domu przez dwa dni, zjedli większość zapasów. Teraz ruszają po sklepach. W większości centrów handlowych na pewno są tłumy. Zwykle chodziłam na ubraniowe polowanie zaraz po świętach, kiedy ruszały wyprzedaże. Teraz nie czuję potrzeby ubierania się elegancko. Do sklepów spożywczych nie wchodzę, mam jeszcze zapas przedświąteczny. Kupuję gazetę w kiosku. Pogoda jest ładna. Zamierzam wybrać się do pobliskiego ZOO i poczytać sobie siedząc na ławce. Nie ma obawy, żebym spotkała moją córkę czy Maryśkę. Córka boi się zwierząt, a Maryśka ich nie lubi. Słońce jest jasne, prawie

wiosenne, śniegu mało. Ludzi prawie wcale. Otwieram gazetę. Oprócz wiadomości co się stało na świecie podczas Świąt (niewiele) są różne mniej czy bardziej ciekawe artykuły. Moją uwagę przykuwa nekrolog. Robię się mokra od potu.

W dniu... przypada... rocznica dnia, w którym zginęła moja przyjaciółka Alina... Nigdy nie pogodziłam się z Twoją śmiercią. Czuje, że jesteś blisko mnie. Do zobaczenia. Marysia.

I jeszcze napis pod spodem:

W dniu... w kościele... czekam na każdego, kto zechce wspomnieć tę wspaniałą osobę, niezwykłego lekarza, cudowną matkę i żonę oraz przyjaciółkę.

LENA

Kwestia świąt rozwiązuje się sama. Brat i szwagierka siłą zmusili ojca do wyjazdu do Wrocławia. Ojciec zrobił wszystko, żeby nie dać się tam zaciągnąć. Skapitulował jednak. Mnie nawet nie usiłowali zapraszać. Dom we Wrocławiu nie jest tak duży, żeby pomieścić zdziwaczałego teścia oraz nielubianą siostrę męża jednocześnie. I świetnie. Piotr prosił, żebym pojechała z nim do jego rodziców do Zielonki, ale wybiłam mu to z głowy natychmiast. Liczyłam, że pojedzie sam i będę miała mieszkanie dla siebie na kilka dni, ale nie chciał spuścić mnie z oczu. Powiedział rodzicom, że jedzie ze mną do moich rodziców. Ci uznali, że to coś poważnego, przekazali dla mnie symboliczny prezent (gipsowego aniołka), życzenia świąteczne i nadzieję, że wkrótce się poznamy. Siostra Piotra kupiła mu na tę okoliczność dwie normalne koszule i komplet bielizny. Muszę ją kiedyś poznać, ponieważ kobieta ma gust. Podobno już dawno chciała wyrzucić pół garderoby brata, ale wskórałaby tylko tyle, że chodziłby w tym, co przeznaczyła na „po domu” czy „do sprzątanania”.

Ślepella zagospodarowana. Jej brat z bratową przyjeżdża z Zielonej Góry. Babcia robi święta. Nie zapraszają ojca, podobno nie jest w stanie spotkać się z teściową. Biedny człowiek. Chyba mi go żal, ale zasadniczo nie moja sprawa. Ela daje mi wolne na święta i jeszcze dwa dni. Potem musimy się spotkać, bo jest dużo do zrobienia przed teatrem objazdowym „Młodzi polscy poeci”. Z zadowoleniem stwierdzam, że Ślepella zaraziła się kwestią ciuchów. Zależy jej na tym, żeby za każdym razem inaczej wyglądać. Dopytuje o dobór ubrań, dodatki, dyskutuje o fryzurze. Straciłam dodatkowe zajęcie u aktorki serialowej trzeciej kategorii. Niestety nie dostała roli szefowej agencji modelek. Nie przez strój, który jej doradziłam na casting. Podziękowano jej i powiedziano, że się nie nadaje. Ale w komisji była znana telewizyjna stylistka i pochwaliła jej gust. Oczywiście nie muszę dodawać, że artystka nawet nie zająknęła się na mój temat. Wiem, bo zapytałam wprost. I trudno. Wiersze Eli i Piotra będzie czytał znany aktor. Filmowy, a nie serialowy. Przystojny i wolny. I chyba hetero, bo miał żonę, która niedawno zostawiła go dla jakiegoś biznesmena.

Piotr zamawia jedzenie na Wigilię w restauracji swojej byłej. Naturalnie była nie gotuje, ale Pani Krysia, która jest szefową kuchni, słynie na całą Pragę. Nawet znani krytycy kulinarni wyrażają się z zachwytem o jej kuchni. To ładnie z jego strony, że pomyślał. Zresztą jeszcze babcia poetki daje mi pierogi i uszka, a rodzice Piotra ciasta.

Żeby mnie całkiem mieszczaństwo nie ogarnęło, nie zgadzam się na kupienie choinki. Wystarczą gałęzie, które przystrajam wysuszonymi szyszkami pomalowanymi na czerwono i złoto.

- Na pewno nie chcesz jechać do domu? - pytam w przeddzień Wigilii. - Nie mam nic przeciwko, a nawet bym wolała.

- Jak jeszcze raz o to zapytasz, to zmuszę cię do zjedzenia karpia i śledzi.

- Lubię karpia i śledzie. Nie znoszę soli - odgryzam się.

- A ja pieprzu - on na to.

- A ja pieprzenia - ale mi wyszło.

- Ale ze mną lubisz? - znów mały misio.

Na razie dobrze jest jak jest. Upieram się, że nie jesteśmy parą, ale nie próbuję skakać w bok. Zaczęłam go ubierać, bo tylko tyle umiem z siebie dać. Oczywiście poza łóżkiem, ale tam co najmniej tyle samo biorę, co daję, więc to co innego. Nie chcę też, żeby poczuł się zbyt pewnie, bo to usypia czujność. W chwili, kiedy oddasz facetowi pałeczkę i zaczniesz kombinować, co mu ugotować, żeby smakowało, nagle przestajesz go ciekawić, frapować i tak dalej. W sekundę zjawia się jakaś księgowa, asystentka, w ostateczności siostra kolegi i zajmuje twoje miejsce. A ty zostajesz rozczarowana. A rozczarowanie to uczucie, którego mam zamiar nigdy w życiu nie doświadczyć.

Maciek dzwoni z życzeniami świątecznymi. Żona pojechała do rodziców z synkiem. On ma dyżur w redakcji w samą Wigilię. Dopytuję, czy się pogodzili. Owszem, ale ona jest zraniona. Pyta, czy jestem sama w ten szczególny dzień. Czyli, że mu się jednak podobało i chętnie by to powtórzył. W końcu żona została już zraniona i nie ma dla niej różnicy, czy mąż raz skoczył w bok, czy kilka razy.

- Lepiej nie, proszę - odpowiadam mu drżącym głosem.

W końcu są święta.

Z własnej inicjatywy dzwonię do Pani Łodzi. Dzięki niej mam w końcu pracę. Staruszka bardzo się cieszy. Obiecuję wpaść do niej jutro rano z życzeniami. Liczyła, że się odezwę i upiekła więcej pasztetów. Zdradza mi jeszcze, że w moim dawnym lokum mieszka Krzysiek.

- Ten twój kuzyn, Marysiu - mówi podekscytowana. - To się wprowadził niedługo po tym jak ty się wyprowadziłaś. Nie gniewaj się, ale to awanturnik. Krzyczy tu, awanturuje się i... - głos jej cichnie - sprowadza kobiety.

Czyli, że żona go rzuciła i orze jak może. Nie wiem tylko, czy naprawdę mu zaszkodziłam, czy wyświadczyłam przysługę.

Leżymy z poetą na kanapie. On drzemie, ja planuję sobie przyszły rok. Dobrze byłoby coś zacząć robić w branży. A co z życiem osobistym? Niejedna by skakała z radości, mając u boku Piotra. Zwłaszcza, że poeta jest z tych nietypowych. Spokojny, kolegów nie ma, nie

upija się na umór i chyba kocha, chociaż nigdy tego nie powiedział.

- Robisz postanowienia noworoczne? - pyta.

- Czytasz w moich myślach?

- Czy jest tam miejsce dla uwielbiającego cię poety?

- W końcu to tylko postanowienia na przyszły rok - odpowiadam. - Dobrze jest jak jest.

- To mało poetyckie - mówi.

- Ty jesteś poetą a ja wcieloną prozą życia.

- Ty jesteś moją muzą.

- Muza po gorzale nie ma twarzy wcale, mordę oblizuje... - cytuję.

- Nauczyłem się pić wino.

- Po winie pieprzy tylko o mojej winie, wywleka brudy, podłożone świnie...

- Jak to miło, kiedy ukochana świetnie orientuje się w twojej twórczości - mówi. -

Przecież wiesz, że to nie o tobie.

Wiem. Wierszy, które mi zostawia na poduszce, nie znajdę w żadnym tomiku i nie ma w nich neowulgaryzmów.

- Denerwuję się tymi waszymi wieczorami poetyckimi - mówię.

- Czym ty masz się denerwować? - pyta.

- Jeśli chcesz powiedzieć, że to wy występujecie, a ja tylko trzymam ślepą poetkę za rękę, to nie krępuj się. Nie jestem drażliwa na swoim punkcie. Chodzi o całą organizację, stroje itd.

- W ogóle nie rozumiem o co chodzi z tymi ciuchami - przyznaje. - To znaczy fajnie, jak laska ładnie wygląda, lubię sukienki, obcasy rzeczywiście robią z nami facetami różne fajne rzeczy... Ale żeby z tego zrobić aż zawód, wydawać taką kasę?

- Nie zamierzam ci nawet tego tłumaczyć. Po prostu noś to, co ci przygotuję i już.

- Zawsze to lubiłaś? - pyta.

Jak byłam mała, ubierała mnie matka. Uparcie krytykowała wszystko, co chciałam włożyć na siebie. Nie spodnie, tylko sukienka, to nie ta okazja. Nie sukienka, tylko spodnie - jest zimno. Nie te buty, nie ta bluzka. Ryczałam zwykle przed otwartą szafą. Przestała się wtrącać dopiero w liceum. Na studniówkę chciała mnie wziąć do sklepu i kupić strój. Zachowywała się przy tym, jakby łaskę robiła, że udostępnia mi swój gust. Już wtedy można było przychodzić na te imprezy ubranym jak się chce. Nie musiałam iść w białej bluzce i czarnej spódnicy. Wybrałam sobie wcześniej sukienkę w Warszawie w sklepie „Młodzi polscy projektanci”. Sukienka była koktajlowa, nie wieczorowa, ale za to czarna, z

czzerwonymi wstawkami z jedwabiu i dużą kokardą z tyłu. Matka odmówiła kupienia jej. Zamiast tego wybrała spódnicę czarną, prostą do ziemi z pęknięciem z boku i falbaniastą białą bluzkę. Taki banał. Powiedziałam: nie. Zniżyłam się nawet do proszenia o tamtą sukienkę. Argumentowałam, że jest tańsza niż wybrany przez nią zestaw. Na nic. No to powiedziałam, że nie. Nie pójdę na studniówkę. Miała satysfakcję. Była nieugięta. „Marlenka nie chce iść na studniówkę”, zwierzała się przyjaciółce. „Strój jej się nie podoba. Dlaczego mam ustąpić?”, pytała. „To co z tego, że taka okazja?” argumentowała. Poszłam na studniówkę. Naturalnie. Jakbym mogłam nie iść? W ostatniej chwili kupiłam w Błoniu czarną sukienkę. Prostą, bez żadnych ozdób. Wyglądałam nieźle, choć na tle moich koleżanek bardzo skromnie. Wszystkie miały sukienki do ziemi, lakierowane fryzury i buty na obcasach, w których nie umiały chodzić. Ta studniówka zakończyła mój roczny związek z Adamem. Chyba wstydził się, że ma taką nieatrakcyjną dziewczynę, bo bawił się ze swoją koleżanką, która przyszła z Pawłem z mojej klasy. My z konieczności siedzieliśmy z Pawłem razem przez cały wieczór. Mnie Adam był obojętny, ale ta dziewczyna chyba była dla Pawła ważna. Doceniałam, że dotrzymuje mi towarzystwa. Postanowiłam odwdziaczyć mu się w jedyny znany mi sposób. Zaczęłam go uwodzić, mizdrzyć się do niego i całować, kiedy tylko tamta znalazła się w pobliżu. I tak upłynęła mi studniówka. Adam wyszedł z dziewczyną Pawła, a ja go pocieszałam na tylnym siedzeniu samochodu. Adam, który mówił do mnie „Leniu”, zadzwonił potem z propozycją, żeby spotkać się w kawiarni i wszystko sobie wyjaśnić. Nie chciałam. Powiedziałam mu, żeby spieprzał i dodałam, że w łóżku przypomina kawałek drewna. Nie zadzwonił więcej. Podobno skończył politechnikę w Warszawie, ale nigdy więcej go nie widziałam. Dziewczyna Pawła ponoć była wściekła. Chciała do niego wrócić. Czyli pomogłam mu. Urażona ambicja, to zawsze działa. Nie wiem jak to się skończyło. Widziałam Pawła kiedyś w pociągu, ale nie podeszłam, żeby porozmawiać.

- Nie myśl, że lubię wszystkich uznanych projektantów jak leci - mówię.

Nie powinnam wspominać niczego, co było w Błoniu. Matki przede wszystkim. Psuje mi to humor. Muszę się pilnować.

- A to są różni?

- Nie udawaj - podtykam mu pod nos „Twoją Modę”.

Kupuję każdy numer. Kiedyś tam wrócę jako naczelną. Tymczasem oglądam stylizacje, relacje z pokazów mody, trendy, technikę pokazywania modelek. I naturalnie sposób w jaki ubierają się gwiazdy.

- Na przykład nie znoszę Vivienne Westwood - zaczynam. - Uważam, że projektuje przypadkowo zestawione ze sobą kolorowe szmaty.

- Cała ta twoja moda to przypadkowo zestawione ze sobą kolorowe szmaty.
- Zobacz - pokazuję palcem najnowszą kolekcję Lanvin. - Niezwykle kobiece, delikatne stroje. Znak rozpoznawczy - falbany.
- Chude modelki - mówi poeta.
- Ale sukienki takie jak lubisz - mówię. - Falbanki, dużo czerwieni.
- Krótkie spódnice i wysokie obcasy - potwierdza. - To mnie kręci. U ciebie.
- Agnieszka nie nosiła sukienek? - pytam.
- Nie zwracałem na to uwagi - przyznaje. - Łączyło nas chyba porozumienie na głębszej płaszczyźnie, niż stroje.

Czyli ubierała się praktycznie albo sportowo. Śmieszą mnie intelektualistki, które udają, że nie interesuje ich forma tylko treść. Przeważnie treść nie taka znów głęboka, a forma wynika z braku stylu.

- Nie chciałem cię urazić - mówi.
- Nie uraziłeś - zapewniam go. - Nie mam problemu z twoją Agnieszką.
- I nie przeszkadza ci, że spotkałem się z nią?
- Mówiłam ci, że nie jesteśmy parą - minę mam obojętną.
- Oczywiście na jej prośbę. Zależało jej, żebyśmy po rozstaniu zachowali przyjacielskie kontakty.

Już wierzę. Pewnie chciała zobaczyć jak bardzo jest bez niej nieszczęśliwy. Osobiście nie zachowałam przyjacielskich kontaktów z żadnym z moich byłych. Nie wierzę w ogóle w przyjacielskie kontakty między ludźmi, którzy zerwali ze sobą.

- I co? - pytam. - Jak wam się gadało?
- Lenina - mówi. - Patrzyłem na nią i zastanawiałem się czemu tak rozpaczalem, kiedy odeszła.

- A czemu rozpaczales? - dociekam. Może uświadomił sobie, że warto rozdawać karty zamiast biernie czekać na to, co dadzą.

- Przy rozstaniu powiedziała, że jestem nijaki. Ani ze mnie facet, ani poeta, ani nauczyciel.

Ostro. Zwłaszcza, że w łóżku jest fantastyczny. I ma coraz lepsze recenzje. Fakt, że jak go rzucała, to nikt o nim nie słyszał. A i nauczycielem chyba nie jest złym. Nie dalej jak kilka dni temu do drzwi zapukała uczennica. Miałam ubaw, bo wybałuszyła pomalowane tuszem oczy na mój widok i zasłoniła się płaszczem, żeby nie widać było króciutkiej sukienki i koronkowych rajstop. Zacukała się, ale spytała o „pana profesora”. Myślała pewnie, że on otworzy i zrobi z nią to, co w swoich wierszach. Powiedziałam grzecznie, że przekażę bratu,

że była i zapytałam, czy może chce zostawić wypracowanie czy referat. Zostawiła jego książkę do podpisu.

- A jak tam ta dziewczyna, która przyszła tu po twój autograf?

- Daj spokój - pochmurnieje. - Nie wiem co mam zrobić. Ona chyba jest jakaś zaburzona.

- Napalona. To nie jest zaburzenie.

- Podobasz jej się - mówię. - Jesteś atrakcyjny.

- Nie wiesz co mówisz - protestuje. - Uczennica nie może chodzić do domu nauczyciela. Ani zamykać się z nim w klasie.

- Zamknęła się z tobą?

- Zamknęła - potwierdza. - I chciała, żebym przeleciał ją na biurku.

Nadstawiam ucha. Za moich czasów to było nie do pomyślenia. Nauczycieli raczej unikaliśmy. Mogli narobić kłopotów. Teraz jest inaczej, skoro uczennica napastuje nauczyciela.

- I jak sobie poradziłeś?

- Zadzwoiłem po woźnego. Okłamałem go, że ktoś nas zamknął od zewnątrz. Trzymałem się od niej z daleka. Nawet jak zaczęła płakać.

- Może cię oskarżyć o napastowanie tak czy inaczej.

- Raczej nie. Zadzwoiłem dwie minuty po przerwie. Natychmiast jak przekręciła klucz. I trzymałem słuchawkę przy uchu. Nie miała szans.

- I tak może się mścić - podsumowuję.

Ale, żeby miał okazję i nie skorzystał, to naprawdę odwaga. Chyba, że bał się ukrytej kamery albo czegoś w tym stylu.

- Nie potrzebnie jej powiedziałaś, że jestem twoim bratem. Trzeba było powiedzieć, że jesteś moją dziewczyną. Dałaby od razu spokój.

- To nie ma dla takich znaczenia. Jestem o tym przekonana. Gdybym powiedziała, że mamy wyznaczoną datę ślubu, mógłby wydać się jej jeszcze bardziej atrakcyjny. - Było powiedzieć, że jesteś gejem.

- Oszalałaś? Gej nauczycielem w szkole? To dopiero nie miałbym życia.

W sumie to były miłe Święta. Zadzwoiłam nawet z życzeniami do brata.

MARIA

Napisałam ten nekrolog „upamiętniający” Alinę, żeby wykurzyć ją z bezpiecznej kryjówki. Alina bardzo dobrze mnie zna i wie, że odkąd zobaczyłam ją na ulicy, nie spocznę, zanim jej nie znajdę i nie poznam motywów postępowania. Wierzę, że kiedyś pokażę, jak wielkie draństwo zrobiła swoim bliskim, zdemaskuję jej egoizm i podłość. Zrobię to albo bezinteresownie, albo w celu promocji swojej książki. Sama przed sobą muszę jednak przyznać, że nie mam pojęcia, gdzie jej szukać i żadnych dowodów na to, że żyje. Moje spotkanie na tamtej ulicy. Czy przekonałabym policję albo sąd, żeby wszczęto poszukiwania? Co ważniejsze, czy jej rodzina chciałaby tego? Właśnie - jej rodzina. Jedyne moje as w rękawie. Wszystko, co mogę zrobić to czekać, żeby się ujawniła, popełniła błąd, wpadła w panikę, albo powiedzieć prawdę jej rodzinie. Mogłabym pójść do jej syna, córki, a przede wszystkim do Zbyszka i powiedzieć co wiem. Może nie przekonałabym ich do końca, ale zasiała ziarno niepewności. Stąd już tylko krok do ekshumacji i badań DNA, które potwierdzą, że w grobie Aliny leży jakaś przypadkowa nieszczęśnica, która nie wiadomo skąd się wzięła. To byłoby podłe, zgadzam się, zburzyłoby cały świat tych ludzi, ale czyż ona nie wykazała się większą podłością?

Nie mogę się doczekać zainicjowanego przeze mnie spotkania w kościele. Gdzieś w zakamarkach głowy mam nadzieję, że przyjdzie sama Alina. Wyjaśni wszystko, poprosi, żeby nikomu nie mówić. W książce zmienię imiona i nazwiska. Zamiast non-fiction będzie powieść sentymentalna o kobiecie, która sfingowała własną śmierć. Kto wie, może nawet skończy się happy endem i przekazywaniem sobie bukietów przez kamerami? Dzień przez spotkaniem w kościele - niespodzianka. Dzwoni do mnie jej matka.

- Marysiu kochana - płacze w słuchawkę. - Jak dobrze, że pamiętałaś o Alince.

- Bardzo mi jej brakuje, ciociu - też mi „napływają” łzy do głosu.

- Ja nie mogę przyjechać wtedy. Nie chcę się spotkać ze Zbyszkiem, nie mogę po prostu. Nie po tym, co zostało powiedziane po wypadku i jeszcze później.

- Nie wiem, czy Zbyszek będzie - odpowiadam. - Byłam u niego, ponieważ chciałam zaproponować wspólną wizytę na cmentarzu. Rozmawialiśmy i była to rozmowa bardzo chłodna. Nie wiem ciociu, czy on przyjedzie do kościoła. Jestem raczej pewna, że nie.

- Mimo wszystko nie mogę - ciocia tchórzy wyraźnie.

- Oczywiście - niech myśli, że ją rozumiem. - Wystarczy, że teraz rozmawiamy. Czy mogłaby ciocia dać mi kontakt do swoich wnuków? Może nie zauważyli ogłoszenia w gazecie?

- Naturalnie - wahanie w głosie. - Tylko nie wiem, czy oni zechcą. Mariuszek mieszka daleko. Mają małe dziecko. Pewnie nie przyjedzie. A Mała... Wydaje mi się, że ona w Boga nie wierzy.

Ja jestem o tym przekonana. Pod względem cynizmu wrodziła się w matkę, z którą tak wojowała.

- Chciałabym spróbować mimo wszystko, jeśli ciocia pozwoli. Minęło wiele lat. Czas leczy pewne rany.

- Niestety nie, moja droga. Niektórych zadr nie da się wyjąć nawet po latach. Wrastają głęboko i mimo, że porastają zdrową tkanką, przy byle ucisku bołą.

Prawdziwa poetka. Podaje mi jednak komórkę do Małej. Zadzwoń, ale nie w najbliższym czasie. Jeszcze nie jestem gotowa na rozmowę z nią.

W kościele pustki. Siadam wygodnie w ławce i czekam. Kiedy weszłam, w pierwszym rzędzie klęczała kobieta. Jej sylwetka wydała mi się znajoma i przez chwilę zabiło mi mocno serce. Ale kobieta wstała i wyszła z kościoła, mijając mnie. Zaczynam mieć obsesję. Kobieta, która wydała mi się Aliną miała inny wzrost, sylwetkę, słowem w ogóle nie była do niej podobna. Muszę przestać myśleć tylko o tym. W kościele jest zimno. Siedzę nieruchomo. Próbuję się modlić dla zabicia czasu, ale zamiast słów pocieszenia wychodzą mi z głowy wyłącznie żądania. Przerывam przy: „Boże, niech ona tylko przyjdzie, da mi to, co chcę a potem ją piekło pochłonie..

Po dwóch godzinach jestem gotowa zrezygnować. Wtedy uchylają się drzwi i wchodzi mój były mąż Włodek. Siada obok mnie i dotyka ramieniem mojego ramienia. Potem przykłęka na drewnianej desce i odmawia jakąś modlitwę. Jestem w szoku. Nigdy nie widziałam, żeby się modlił. Był, jest właściwie, bardzo racjonalnym człowiekiem. Widział śmierć w Afryce, głodne dzieci, ludzi i zwierzęta utopione w powodzi. Wiele razy prawie zginął od kul. Nigdy nie widziałam, żeby się modlił. Aż do teraz. Po rozwodzie widziałam go zaledwie kilka razy, kiedy musieliśmy ustalać jakieś sprawy formalne. Kiedy już wszystko zostało powiedziane, opisane, załatwione, przestaliśmy się spotykać. Dla mnie te spotkania były bardzo bolesne, a dla niego na pewno nieprzyjemne.

- Tu chcesz zrobić to spotkanie? - pyta cicho.

- Lepiej chodźmy stąd - odpowiadam. - Tu nie można specjalnie rozmawiać.

- Myślałem, że chcesz się za nią modlić.

- Nie, nie chcę się za nią modlić.

Unosi brwi ze zdziwienia, ale wstaje posłusznie. Wychodzimy z kościoła. Chwilę idziemy wzdłuż ulicy, potem wchodzimy do pierwszego napotkanego baru-kawiarni. Włodek

prawie się nie odzywa. Ja też nie wiem, co powiedzieć. Nie spodziewałam się go w ogóle. Byłam przygotowana na to, że przyjdą dzieci, jej matka, nawet Zbyszek. Miałam nadzieję, że będzie sama główna zainteresowana, ale że mój były mąż? Po co przyszedł? Może dla mnie? Może za chwilę powie mi, że jest mu źle z głupią blondynką i zacznie mnie błagać, żebyśmy do Ciebie wrócili. Byliśmy przecież całkiem szczęśliwi, a przynajmniej idealnie dobrani pod względem intelektualnym. Razem moglibyśmy tyle jeszcze dokonać. Dlaczego odszedł do innej? Może gdybym chciała mieć dziecko, gdybym się postarała... Gdyby nie było tamtej porażki z telewizją Włodka, gdyby minister nie strzelił sobie w głowę po moim programie, gdyby, gdyby...

- O co chodzi z tym spotkaniem? - pyta.

On mnie zna, wie, że zawsze mam jakiś cel w tym, co robię.

- To była moja przyjaciółka - mówię.

- Nasza przyjaciółka - prostuje.

- Nasza, ale ja ją znałam od dzieciństwa.

Kiwa głową.

- Co porabiasz teraz? - pytam.

- To, co kiedyś - mówi. - Reportaże, ale nie jeżdżę już do Afryki. Nie mogę się narażać, mam dziecko.

- W jakim jest wieku? - pytam.

- Kasia ma pięć lat - miesza łyżeczką w herbacie.

Zawsze pijał kawę, nawet wieczorem. Teraz poprosił o zieloną herbatę.

- Kochałeś ryzyko - przypominam. - Stępiły ci się pazury?

- Może stępiły, może nigdy ich nie miałem.

- Czyli dalej w siebie nie wierzysz...

- Rozmowa prowadzi donikąd.

- A z żoną rozmawiasz o czym?

- Nie przyszedłem, żeby się klócić z tobą.

- A po co?

- Podobno chciałaś wspomnieć przyjaciółkę. Dlatego przyszedłem.

Nie wierzę. Musi za mną tęsknić. Chce do mnie wrócić. Po co mu blond pinda, z którą nie ma o czym porozmawiać. Boże, jeśli tak będzie, przestanę szukać Aliny, wyrzucę książkę do śmieci. Przyjmę do wiadomości jego córkę. Postaram się, postaram...

- Tak naprawdę przyszedłem, żeby ci o czymś powiedzieć - przestaje mieszać w szklance, a ja patrzę na niego z nadzieją.

Nie jestem taka cyniczna. Nigdy nie przestałam cię kochać. Jeszcze wszystko będzie dobrze, tylko daj nam szansę.

- Tak? - mój schrypnięty z emocji głos, żadnych sztuczek.

- Minęło wiele lat odkąd się rozstaliśmy i odkąd Alina zginęła... - zaczyna.

Boże drogi, Włodek, powiedz, że chcesz znów ze mną być.

- To już teraz nie ma znaczenia... Chociaż może jednak ma. Dlatego chciałem, żebyś wiedziała - wyraźnie się płacze.

- Powiedz mi - mówię łagodnym głosem. - Zawsze cię rozumiałam. Zawsze byłam po twojej stronie.

- Dlatego to dla mnie trudne...

- Wiem, że popełniłam wiele błędów. Czasem chciałaby się cofnąć czas...

Mogę powiedzieć wszystko, każdy banał, byleby wrócił.

- Miałem romans z Aliną.

Grom z jasnego nieba. Zastygam w zdumieniu tak wielkim, że muszę wyglądać na chorą, albo w jakimś ataku.

- Właściwie to nie był romans. Kochałem ją, pragnąłem. Błagałem, żeby ze mną była. Nie chciała. Zerwała ze mną, a potem poznałem Anię. Odszedłem od ciebie, bo nie mogłem znieść tęsknoty za Aliną. Nie mogłem spać, jeść, nic. Po jej śmierci to był już dramat całkowity. Chciałem skończyć ze sobą. Ania poskładała mnie do kupy. Wie o wszystkim. Także o tym, kim była dla mnie Alina.

Rozmazuje mi się obraz przed oczami. Odsuwam gwałtownie szklankę z wodą. Upada, ale się nie tłucze. Woda się wylewa, ale nie w jego stronę. Ścieka na podłogę.

- Alina żyje - mówię. - Widziałam ją. Jestem tego tak pewna, jak tego, że jesteś zwykłym draniem. Dlatego zorganizowałam spotkanie. Żeby przyszła i błagała mnie, żebym nikomu nie powiedziała.

Zostawiam go nie mniej zszokowanego niż ja byłam, kiedy powiedział mi, że ją kochał.

LENA

Zaraz po nowym roku zaczął się cykl spotkań „Młodzi poeci współcześni”. Miałam z tym mnóstwo roboty, bo spotkania odbywały się co tydzień, dwa. Na każde przygotowywałam dla Ślepelli zestaw do lokalnej telewizji oraz na dwa wieczory poetyckie. Oczywiście sama też musiałam jakoś wyglądać. I doszedł mi obowiązek ubierania poety, żeby za bardzo nie odstawał od reszty towarzystwa.

Ślepella po udanych świętach jeszcze bardziej się rozkręciła poetycko. Codziennie zaczynamy dzień nie od wierszy, ale czytania recenzji internetowych i w lokalnych gazetach. Zaczęłam je drukować i wpinać w segregator. Na jej prośbę oczywiście. Dodatkowo, za każdym razem, kiedy ma wystąpienie, robię jej zdjęcia. Zdjęcia też zamieszczam w segregatorach i w swoim portfolio z dokładnym opisem skąd pochodzą wszystkie składniki stroju. Czasami do portfolio dołączam komentarz internauty, jeśli dotyczy on stroju poetki lub mojego. A komentarze są jak najbardziej korzystne: „Wiersze jak wiersze - napisała 76A~Pollonia. - Ale ubiera się genialnie.” „Skąd masz te kiecki?” - pyta ŚwinkaMruk. „Szkoda, że nie widzisz jak zajebiście wyglądasz” - skomentował uszytą przeze mnie sukienkę wiewiórJG.

Z jednej sukienki jestem szczególnie dumna. Do zwykłego czarnego golfa doszyłam spódnicę z tafty, asymetryczną z falbanami. Sama miałam podobną na sobie, ale nie pchałam się przed szereg. Stałam sobie grzecznie w tłumie. Stylistka nie może być na pierwszym planie. Ale największą furorę zrobiła Ślepella w Warszawie. Ubrałam ją w szarą, zwyczajną sukienkę, na którą naszyłam zwinięte w ślimaki kawałki grafitowego jedwabiu. Największe naszyłam na ramionach jako pagony, ponieważ postanowiłam, że będzie to znak rozpoznawczy jej stylu. Wyszło genialnie. Poeci mieli już jakąś renomę i program, mimo, że nadawany rano w lokalnym paśmie cieszył się popularnością. Ludzie komentowali prezentowaną poezję i stroje. Do redakcji napływały wiersze pisane przez amatorów. Wierszomania zaczęła się szerzyć podobnie jak tańcomania po „Tańcu z gwiazdami”. Producenci cyklu byli na tyle zadowoleni, że postanowili pójść w programach o poezji o krok dalej. Powstał wstępny projekt show, w którym amatorzy mieliby prezentować swoje utwory. W jury oprócz Eli i Piotra zasiadłoby dwóch celebrytów albo wydawców, a nagrodą byłoby wydanie tomu wierszy poety, który wygra. Głosowałyby naturalnie publiczność. Mnie pomysł wydał się śmieszny. Bo jak niby rozstrzygnąć finał? Dać im po kilka słów i niech piszą wiersze? Podobne zdanie ma Piotr, ale Ślepella zapaliła się do tego pomysłu. Nie oglądała podobnych programów z cyklu „Talent show”, więc nie wie jaki to obciach. Ale może

chodzić przecież o pieniądze. Ślepella biedna nie jest, ale od przybytku głowa nie boli.

Sprawdzianem, czy warto rozkręcać takie reality show, ma być program warszawski. Tym razem poeci nie wystąpią w lokalnym paśmie, tylko w telewizji ogólnopolskiej. Najpierw program poranny, potem wizyta w dużej sieciowej księgarni, na koniec wieczór w teatrze. Aktor wynajęty jako „czytacz” dobrze sobie radzi z interpretacją wierszy. Szczególnie pasuje do wierszy Piotra, które trzeba czytać w specyficzny sposób, żeby nie raziły. Jemu się to udaje. Piotr na początku go chwalił, ale potem zauważył, że poszliśmy we dwoje na kawę podczas kiedy przygotowywano jego i Elę do emisji. W tej „kawie” nie było zresztą nic zdrożnego, ale wykręcałam się jakoś słabo. Niech się poeta pomartwi trochę. Aktor nawet sympatyczny, ale za bardzo zakochany w sobie. Odnotowałam jednak, że pod wrażeniem Ślepelli, bo piękna, utalentowana itd. Powiedziałam mu jeszcze, że ona zyskuje przy bliższym poznaniu, że ciepła, rodzinna, kobieca. W końcu to prawda. Bardzo bym chciała, żeby ona sobie kogoś znalazła, tyle, żeby to był ktoś, kto nie będzie mógł mnie zastąpić. Może coś z tego będzie, bo on ma maślany wzrok jak na nią patrzy, a ona uśmiecha się tak, jak wtedy, kiedy była zainteresowana Piotrem. Ten program to dla nich wszystkich, i dla mnie naturalnie także, pewne wyzwanie.

Skontaktowała się z nami stylistka telewizyjna, która stwierdziła, że musi poetkę ubrać do programu ogólnopolskiego. Na szczęście Ślepella odesłała ją do mnie. Ja z kolei tonem nie znoszącym sprzeciwu stwierdziłam, że jestem asystentką i stylistką, i nie potrzebujemy w tej kwestii rad. Groziła wstrzymaniem programu. Miała pecha, bo wiem, że wszelkie umowy są podpisane. Ale sławę najlepiej ubranej kobiety wśród różnych pisarek i poetek Ślepella miała już taką, że tamta w końcu podkuliła ogon i odpuściła. Na Warszawę szykowałam zresztą coś specjalnego. Zaplanowałam wystąpienie w programie śniadaniowym w jedwabnym kostiumie w kolorze nude, który wypatrzyłam w ulubionym lumpexie. Kostium miał metkę New Look i nie był w ogóle noszony. Do tego szpilki też cieliste, ale bluzka bardzo bogata z kokardą pod szyją, w biskupim fiolecie. Włosy wysoko w kok, kolczyki po babci poetki. A na wieczór w teatrze postanowiłam, że dosyć tego sztukowania, ubierania poetki w lumpek-sie i poszłam prosto do pracowni najlepszej polskiej projektantki na naszej Pradze. Powiedziałam jej w czym rzecz i projektantka nie bez oporów, ale w końcu zgodziła się pożyczyć sukienkę. To ważne, ponieważ ceny jej sukienek zaczynają się od 4 tys. złotych w górę. Ślepellę stać by było na taki zakup, ale wydanie tylu pieniędzy, żeby raz się w czymś pokazać to gruba przesada. Byłam z siebie bardzo dumna, że udało mi się załatwić taką ważną rzecz, ponieważ stroje wypożyczane są tylko bardzo znanym osobom. Przeważało to, że projektantka jest fanką Ślepelli, jej wierszy i stylizacji. Szczególnie przypadła jej do gustu

moja sukienka ze ślimakami z przodu i na ramionach. Przyjęłam z zadowoleniem komplement. Zaprosiłam projektantkę na galę poetycką i powiedziałam, że zdjęcie poetki znajdzie się w kolorowych pismach z odpowiednią adnotacją, od kogo pochodzi ten strój.

Mam mniej czasu dla Piotra. Spędzam z poetką całe dni. Całe szczęście, że wieczorami mamy chwilę dla siebie. A i te spędzam głównie kompletując mu szafę.

- Nowe ubranko, nowe ubranko - mówi mierząc ładną marynarkę w stylu militarnym Diesla.

- Jeszcze to - podaję mu podkoszulek z Jimem Morissonem.

- To na pewno pasuje? - upewnia się.

W życiu nie widziałam większego abnegata, jeśli chodzi o ubranie.

- Wkładaj - mówię tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Dla ciebie włożę wszystko, Lenino - mówi. - Chociaż wolałbym zdejmować.

- Potem.

- Najładniejszy jest kolor kanarkowy - mówi.

- Co? - nie rozumiem.

- Zieleń khaki jest okropna. Jestem alfą i kocham moje stare ubranka.

- Co ty pieprzysz?

- Po prostu cieszę się, że nie jestem beta, albo co gorsza - delta, mam swoją Leninę i noszę ubranko w kolorze odpowiednim.

- Czyli czujesz się ze mną jak w „Nowym wspaniałym świecie”?

- To jest mój nowy wspaniały świat z tobą, Lenino.

Mógłby już skończyć z tym cytowaniem Huxleya. Wygląda w tej stylizacji bardzo dobrze. Muszę trochę podciąć mu włosy. No i wytłumaczyć, jak lepiej prezentować się na wizji. Ma tendencję do schylania głowy.

- Co ty mówisz?

Najwyraźniej zastygł w oczekiwaniu na odpowiedź, a ja byłam zajęta zastanawianiem się, czy ma odpowiednią fryzurę.

- Mówię, żebyś wyszła za mnie za mąż i miała dzieci. Za mnie za mąż i ze mną dzieci. Ratunku.

- Chcesz, żebym miała młode jak zwierzę?

- Tym razem cytat z Huxleya nie jest odpowiedni. Chcę pokazać cię całemu światu, żyć z tobą zwyczajnie, mieć dzieci. Nie chcę się ukrywać.

- A ukrywamy się? Źle nam jest teraz?

- Wiesz o czym mówię.

Wiem o czym mówi. Domu, dzieciach, odpowiedzialności. Ja już miałam dom. Byłam takim: „mieć dzieckiem”. Matka nie umiała ze mną być, umiała tylko mnie mieć. Była najnudniejszą osobą pod słońcem. Ciągle tylko ojciec, i ojciec, i czasem praca. I my z bratem. Czy wzięliśmy kanapki, czy się uczymy. W końcu pogardzała własną rodziną i mnie także tego nauczyła.

- Jak chcesz mnie pokazać całemu światu, to nie widzę problemu..

- Nie mówię o telewizji.

- Piotr, ja nie wiem, czy w ogóle umiałabym tak żyć. Nie chcę mieć dzieci, mówiłam ci.

- Jesteś nowoczesna, stawiasz na karierę, wiem...

- Tu nie chodzi o karierę, figurę czy coś w tym stylu. Ja nie będę miała dzieci. Nie bierz tego do siebie.

- Wiem, że ktoś cię skrzywdził, ale zrozum, że można to zmienić...

- Nikt mnie nie krzywdził - dostaję szału, kiedy ktoś mi mówi coś takiego. - Koniec rozmowy. Nie odpowiada ci obecny układ, to go zmieniamy. Na osobny...

- Kocham cię.

Nie, błagam, tylko nie to. Nie potrzebuję tego, nie chcę. Nie umiem nic powiedzieć, ale nie uciekam, nie trzaskam drzwiami. Obejmuję go. Jakoś się ułoży.

ALINA

Moje romanse... Nie potrafiłam się powstrzymać. I z każdego skoku w bok wynikało coś złego. Może przyszłam na świat z jakąś skazą? Inne kobiety mają całe życie jednego męża i im wystarczy, a ja ciągle musiałam szukać nowych podniet? A może to takie coś za coś? Mogłam dać siebie tylko w sensie fizycznym. Gdyby było inaczej, nie musiałabym ciągle szukać. Kochałabym i byłabym kochana. Dawałabym i brałabym. Podobno to cudowne uczucie. Ja go nie doświadczyłam. Długo byłam dziewicą. Matka mnie pilnowała. Może widziała, że jest coś we mnie nie tak. Może czuła, że przy pierwszej lepszej okazji sprawdzę, jak to jest z „tymi rzeczami”. Okazja nadarzyła się dopiero po balu maturalnym. Było wino, kanapa u koleżanki, która mieszkała z babcią. Udostępniła mi tę kanapę pod warunkiem, że opowiem wszystkim jak to jest. Czy to naprawdę są takie nieziemskie przeżycia, jak mówią inne. Chłopak miał już jakieś doświadczenia, ale niewielkie. Był równie przestraszony jak ja. Cały się trząśł. Próbował wstępnych gier, ale żałośnie to wychodziło. Potem nie umiał trafić gdzie trzeba, litościwie pomogłam mu wejść. Spodziewałam się lepszych przeżyć. Wtedy nie mogłam wiedzieć, że to kwestia techniki. Myślałam, że już zawsze tak będzie. Krótkie spięcie i po krzyku. Nie było wiele krwi, powiedziałabym - takie małe plamienie. Nie czułam ani bólu, ani rozkoszy. Nawet nie pamiętam, jak się ten chłopak nazywał. Sławek, Staszek, jakoś tak. Był czyimś bratem, kuzynem, na szczęście nie z tego samego miasta. Przyjechał na bal maturalny kuzynki - już sobie przypominam. Potem odjechał i wzięli go do wojska. Kuzynka to była moja koleżanka ze szkoły. Dała mu mój adres, niepotrzebnie. Pisał do mnie listy z tego wojska, że się zakochał, że bym czekała. Pierdoły bez znaczenia. Wysłał chyba z dziesięć listów, zanim się zorientował, że mnie to nie obchodzi.

Następny był na studiach. Chodziliśmy ze sobą. Też w łóżku jak kłoda. Nie znosiłam jak mnie przygniatał. Na szczęście nie mógł długo. Potem było jeszcze kilku, ale doznania podobne. Chyba się wtedy rozczarowałam. Doszłam do wniosku, że seks jest przereklamowany. Ale przydaje się jako forma okazywania władzy. Okazywałam tę władzę mężowi, a on mi poddaństwo. Potem innym mężczyznom. Nie mam pojęcia czy mąż wiedział, że go zdradzam. Nawet jeśli wiedział, to tego nie okazywał. Wystarczyło mu to, że nie zamierzam go opuścić. Nie zamierzałam. Doskonale jednak pamiętam moment, w którym odkryłam, że seks jest jednak doznaniem ekscytującym. To było na dyżurze. Na dyżurach w szpitalu odbywają się różne rzeczy. Szczególnie na oddziałach interwencyjnych. Oczywiście wiedziałam, że niektórzy lekarze z niektórymi pielęgniarkami regularnie biorą wspólne dyżury. Dochodziły mnie słuchy, że na spotkaniach wyjazdowych bywają „upojne noce”. Ja

uchodziłam za zimną i nieprzystępną. Miałam opinię bardzo zasadniczej i wymagającej. Taka też byłam. Medycyna to nie żarty. Nie ma miejsca dla osób wrażliwych, wahających się czy nieumiejących podjąć decyzji. Jeden fałszywy ruch, zła ocena sytuacji i człowieka nie ma wśród żywych. Kto tego nie rozumie, powinien studiować filozofię. Bywało, że „przeze mnie” stażysta nie zaliczał partii materiału. Byłam bezkompromisowa. Co wrażliwsze dziewczyny nawet płakały. Odpowiedź miałam jedną: „Jeśli chcecie ratować życie ludzkie, musicie być dobrze przygotowani”. Taki jeden chłopak z rozwichrzoną czupryną przychodził pięć razy. Niestety nie mogłam odpuścić. Nie mógł zaliczyć „stanów nagłych”. Próbował i za każdym razem widziałam, że się starał i uczył, ale nie mogłam odpuścić. Wreszcie odpowiedział na wszystkie pytania. Było późne popołudnie, wieczór właściwie. Dyżur miała koleżanka, ja zostałam po pracy, żeby chłopaka przepytąć. Kiedy skończyliśmy, on wyraźnie odetchnął z ulgą po czym uśmiechnął się pokazując rząd bardzo ładnych, lśniących białych zębów.

- Przeczółgała mnie pani - powiedział.

- Ucz się, ucz - ja mu na to zbierając się do wyjścia.

- Zastanawiam się pani doktor, czy teraz, kiedy już zaliczyłem materiał, to może dałaby się pani zaprosić na kawę?

Propozycja była zaskakująca. Żaden student ani stażysta nie ośmieliłby się zaproponować mi czegoś takiego. Ten jednak wyglądał na zadowolonego z siebie. Chyba uznał, że to właściwe zachowanie.

- Dziękuję za propozycję, ale nie skorzystam. Idź do domu.

- Dlaczego?

To proste pytanie także mnie zaskoczyło. Dlatego, że nie będę chodziła na kawę z dzieckiem.

- Nie mam czasu. Zostałam dla ciebie po godzinach.

- Może mogłaby pani poświęcić mi jeszcze godzinę?

Bezczelny typek. Znajome nazwisko, oboje rodzice znani lekarze. Pewnie obejmie po nich praktykę. Wydaje mu się, że może się ze mną spoufalać. Poświęciłam mu jeszcze dwie godziny. U niego w mieszkaniu. Kawy nie dostałam. Ale wreszcie ktoś mi pokazał, jak wspaniały może być seks. Ten chłopak nie miał żadnych kompleksów. Kiedy tylko zaliczył partię materiału, przestał traktować mnie jak „panią doktor”. Rzucił się na mnie jak tylko zamknęliśmy drzwi. Zapytałam tylko przytomnie, czy tatusiostwo-doktorostwo nie wróci przypadkiem z pracy, ale powiedział, że mieszka sam. Przez dwie godziny wychodził ze mnie tylko po to, żebyśmy zmienili pozycję. Czegoś takiego nie przeżyłam nigdy przedtem, ale na

szczęście wiele razy potem i to nie tylko z tym chłopakiem. Nasz romans trwał prawie rok. W czasie tego roku nie tylko przeżywałam wielokrotne orgazmy i cieszyłam się, że mam wszystko co trzeba, punkty K, G i co tam jeszcze jest, ale czułam, że i ja jestem fantastyczną kochanką. Jakby to był wrodzony talent. Chłopak się z czasem zaangażował. Może nie jakoś strasznie, ale przebąkiwał coś o tym, że mam wziąć rozwód i zamieszkać z nim. Nie był mi obojętny. Lubiłam go szczerze, może nawet byłam zakochana, ale zmiana stylu życia w ogóle nie wchodziła w grę. Tłumaczyłam cierpliwie, że nie wyobrażam sobie zamieszkania z nim i małym dzieckiem, walki z jego rodzicami i środowiskiem. Wtedy rozwody nie były tak powszechne jak w dzisiejszych czasach, kiedy wystarczy drobne nieporozumienie i ludzie lecą do sądu. Bywało, że po rozwodach ludzie mieszkali w jednym mieszkaniu. „Czy tego chcesz, pytałam, rozwódkę z dzieckiem na karku.” „Kocham cię Alina, odpowiadał, będę pracował, pojedę na kontakt za granicę, zobaczysz, będziemy szczęśliwi”. Ciężko było się z tego wykręcić. Zaczął pracować w moim szpitalu. Nie wystarczyło mu już, że spotykamy się co poniedziałek, chciał seksu na dyżurach, wspólnych wyjazdów w weekend. Nie dał sobie niczego przetłumaczyć. Nie kręciły go ani koleżanki ze stażu, ani młode, niezamężne lekarki. Twierdził, że żadna z nich nie śmiałyby wymówić nawet nazwy tego, co ja umiem zrobić. Jakaś filmowa kwestia. W końcu powiedziałam - dość. Szalał, szantażował mnie, był naprawdę uroczy. Zdecydowałam się odejść ze szpitala, kiedy zaczął grozić tatusiem. Tatuś został wicedyrektorem i choć syn był pełnoletni, mógł mnie skompromitować. W ostatniej rozmowie powiedziałam mu, że nie wierzę w taką miłość, kiedy ukochanej się grozi zniszczeniem i zemstą, więc odchodzę. Płakał. Mnie też było żal. W łóżku miał niesłabnący z wiekiem zapal. Zmiana wyszła mi na dobre. W nowej pracy szybko się odnalazłam.

Nabrałam już pewności siebie w pracy i nauczyłam się udawać „królową lodu”. Nie chciałam już romansu w miejscu, gdzie spędzałam codziennie co najmniej osiem godzin. Romansowałam raczej na wyjazdach służbowych. Miałam kochanków z mojej specjalności i „interdyscyplinarnych”. Nigdy nie były to związki na jeden wyjazd albo jeden staż, zawsze dłuższe. Pilnowałam jednak, żeby kochanek się nie zaangażował. Nie potrzebowałam komplikacji. Reakcji męża się nie bałam. Gdyby się dowiedział o moim podwójnym życiu, raczej schowałby twarz w dłoniach i zapytał: „Dlaczego?”, niż wystawił mi walizki. Ale to nie powód, żeby bliskiemu człowiekowi sprawiać ból. Przez te wszystkie lata przyjął wielu mężczyzn, ale tylko raz się zaangażowała. Dwa razy właściwie, w odstępie czasowym, ale z jednym mężczyzną, z Włodkiem. Byliśmy dla siebie stworzeni, fizycznie i psychicznie. Z nikim nie jednoczyłam się tak bardzo, jak z nim. Tylko z nim traciłam kontrolę nad sobą. Tylko jego jednego prosiłam, żeby ze mną wyjechał. Chciałam z nim nie tylko sypiać, ale

być, spędzać czas. Może go nawet kochałam. Prawie zdecydowałam się na opuszczenie męża i złamanie serca przyjaciółce, prawie. Był dobry moment. Kiedy zaszłam z nim w ciążę. Miałam już syna. Nie planowałam kolejnego dziecka. Mimo bujnego życia erotycznego, z mężem nie sypiałam w ogóle i raczej trudno byłoby mu wytłumaczyć skąd nagle wzięła się ciąża. To był znak i moment, żeby powiedzieć: „Dobrze, Włodek, bądźmy razem. Tak chciał los. Jestem z tobą w ciąży”. Ale zrobiłam po swojemu. Przestraszyłam się tych pytań, łez, zarzutów, zwłaszcza ze strony matki. Sprowokowałam Zbyszka, żeby przespał się ze mną. W końcu byłam atrakcyjną kobietą. Na szczęście nie zapomniał jak się to robi. Dwa tygodnie później poinformowałam go, że drugi raz zostanie ojcem. Z Włodkiem zerwałam. Powiedziałam, że jestem w ciąży z mężem i to ma uratować nasze małżeństwo. Powiedział, że nie rozumie, jak mogłam sypiać z mężem i z nim. Po tym co robiliśmy, co sobie mówiliśmy. Przeżyłam awanturę i trzaskanie drzwiami. Bolało, ale nie umiałam tego jeszcze raz „odkręcić”. Kiedy już myślałam, że Włodek odszedł urażony, nieoczekiwa-nie znów wrócił. Twierdził, że niczego to nie zmienia. Prosił, żebym powiedział Zbyszkowi o wszystkim i odeszła, jak było w planach. On wychowa to dziecko jak swoje. Mąż w domu szalał ze szczęścia, że będzie miał dziecko, kochanek nie wiedział, że to jego i nigdy miał się tego nie dowiedzieć. Chciał wychowywać swoje jako nieswoje, ale swoje. Niezły galimatias. Musiałam uciec. Nie tak, jak ostatnim razem, ale uciec daleko. Do ciemnej i bezpiecznej nory mojego małżeństwa. Włodek nigdy nie podejrzewał, że córka jest jego biologicznym dzieckiem. Mąż także nie. Maryśka instynktownie nie lubiła mojej córki, jakby czuła, że z tym dzieckiem łączy ją coś szczególnego. Nie powiedziałam Włodkowi nawet wtedy, kiedy zostaliśmy kochankami po latach, zanim uciekłam drugi raz, na dobre. Można powiedzieć, że tę tajemnicę zabrałam ze sobą do grobu.

LENA

Tomik poezji „Daj mi rząd dup” jest sukcesem komercyjnym i literackim. Mój poeta już nie jest nowoczesnym wulgarystą. Jest teraz skrzyżowaniem Wojaczka z Mickiewiczem okresu wygnania. Muszę pilnować, żeby się nie powiesił, czy coś. Albo w ostateczności nie wyemigrował. Szaleni DJ-je zamiast puszczać piosenki w klubach recytują wiersze Piotra ilustrując je jakąś mroczną muzyką, wobec której utwory Behemotha można puszczać w programie „Wszystkie dzieci nasze są”. Na komórkę poety wydzwaniamy kolejne rockowe indywidua błagając go, żeby pozwolił napisać im muzykę do jego słów. Nie wiem czemu Piotr odmawia konsekwentnie i występowania na scenie, i wywiadów nawet w szanujących się pismach. Nie mam pojęcia, jak ja powinnam postąpić. Namawiać go na to wszystko, z czego są w końcu pieniądze, czy przyjąć do wiadomości, że on tego nie chce? Przemawiać mu do rozsądku i mówić o przyszłości, czy chronić to kruche szczęście, jakie w końcu stało się naszym udziałem? Czy zostać znaną narzeczoną nowego objawienia, opowiadając w telewizjach porannych, co jada na śniadanie, czy uciekać gdzie pieprz rośnie?

Trzy razy w rok w bok, trzy statuetki w rok, trzy kobiety przelecimy, potem zdjęcie roku zrobimy i k...a, k...a, k...a na portalu ogłosimy, że to my rządzymy światem Interesują nas nagrody, nie wyciągaj ręki do zgody, bo nie... Nie pogodzimy się...

My, czyli kto?

Maczopętaki, gadkoszmatkopierdolaki.

Dobre chyba. Nawet mnie się podoba. Kilka razy mówiłam mu, że zaczynam coraz więcej rozumieć z tych jego wierszy. Do tamtej rozmowy o ślubie nie wracamy. Chyba zorientował się, że nie umiem na ten temat rozmawiać. Nie chce mi się rozgrzebywać rodzinnych spraw. Tłumaczyć dlaczego nie będzie obiadu w domu rodzinnym i uściśnięcia prawicy potencjalnego teścia. Z babcią nie widziałam się od lat. I nie tęsknię. Wiem, że jeździ do brata. Żal mi ojca, ale wizyty u niego ograniczam, jak mogę. Przeważnie dzwonię i rozmawiamy przez telefon. Zaproponowałam mu nawet przy okazji takiej rozmowy, że wezmę go na nagranie poetyckiego show, ale tylko roześmiał się i zapytał, czy mam jakieś pojęcie na temat jego znajomości poezji. Nie miałam, co prawda to prawda, więc odpuściłam sobie. Z ulgą. Nie chciałam przedstawiać mu Piotra. Poeta natychmiast zacząłby mnie męczyć i prosić, żebym poznała jego rodziców. Nie mam nic do jego rodziców, to pewnie mili ludzie, ale poznawanie rodziców pachnie jakimś narzeczeństwem, deklaracjami i czymś w tym stylu. Zaraz by chciał, żebym chodziła z jego siostrą na lunch czy zakupy, a ja nie wiem, jak bym się w tym odnalazła. Póki co, złożyłam jednak mglista obietnicę, że kiedyś, w bliżej

nieokreślonej przyszłości, będzie mógł przedstawić mnie swoim rodzicom.

- Czego ty się boisz? - zapytał. - Na pewno cię pokochają.

- Raczej nie - stwierdziłam z przekąsem. - Nie pasuję do wizerunku biednej sieroty, a innej twoi rodzice chyba nie zaakceptują.

- Moja siostra jest w porządku - stwierdził z westchnieniem - lubi ciuchy. Mogłybyście znaleźć wspólny język.

- Oprócz Eli nie znalazłam w życiu wspólnego języka z żadną dziewczyną - wyznałam. - Nigdy nie miałam przyjaciółki. Nawet bliższej koleżanki. Nie spodobałabym się twojej siostrze.

- Skąd wiesz? - uparty jest.

- Po prostu wiem. Po pięciu minutach rozmowy błagałby cię, żebyś ze mną zerwał.

- Daj sobie i mnie szansę...

Znów to samo. Czy on nie mógłby pisać tych swoich wierszy, sypiać ze mną i zwyczajnie być, bez wielkich słów?

Ślepelli też się dobrze zawodowo wiedzie. Dla niej zarezerwowano szufladę „intelektualistka”. Jestem jej oficjalną asystentką i przedstawicielką, chodzę z nią wszędzie, wyjeżdżamy razem. Byłabym tylko wdzięczna, gdyby powiedziała w jakimś programie, czy gazecie kto ją ubiera. Na razie nie uznała tego za stosowne. Ma zresztą inne sprawy na głowie. Przyznała się przede mną i przede wszystkim przed sobą, że zakochała się w aktorze, który czyta ich wiersze podczas „Młodych poetów”. Aktor jest owszem, owszem, ale ona nie może nic wiedzieć na ten temat. Podoba jej się jego miły głos, słyszała ode mnie, że przystojny. I na razie jej to wystarczy. Nic nie mówię, ale kobieta nie powinna przyjmować zalotów pierwszego lepszego gościa, nawet, jeśli jest niewidoma. Widać Ślepella boi się, że do reszty zgorzknieje w towarzystwie asystentki i babci, która ostatnio się uaktywniła. Poetka zwierzyła mi się, czy raczej uprzedziła, że babcia postanowiła zacząć ją wychowywać. Nie podoba się jej, że wnuczka występuje w telewizji. Że to nie miejsce dla niej. Ślepella raz czy dwa się obraziła, nie chciała rozmawiać, ale babcia nie daje za wygraną i ciągle jęczy, że to wstyd. Wstyd występować publicznie i wylewać pomyje na ludzi, którzy obnażają swoją duszę. Tak się wyraziła, że niby ci poeci od pięciu słów obnażają swoją duszę przed telewizzami. Babcia używa takich pojęć jak dusza. Może nawet wie, gdzie to jest. Ja nie wiem, czy dusza jest w ciele, w kościele, czy w innym miejscu. Obawiam się, że osobiście jej nie posiadam. Babcia twierdzi, że każdy posiada, a co do mnie, to niestety zmieniam duszę poetki kładąc jej nosić nieprzyzwoite stroje. Nieprzyzwoity strój to ona miała tylko raz i nie do końca z mojej winy. Okazało się, że satyna prześwituje w blasku światła. Ale ciała nie było

widać, tylko elegancką koronkową bieliznę i to, że jej wnuczka była świetnie ubrana. Ślepella trzyma mnie z daleka od babci, ale ostatnio ta mnie dopadła i wyraziła obawę, że sprowadzam „małą” na złą drogę. Babci się już nie boję. Nie jest w stanie wpłynąć na to, żeby Ela mnie zwolniła. Naprawdę jestem jej potrzebna. Jest jednak kobietą, która jątrzy, kręci, zasiewa ziarno nienawiści, czy jak tam by poeci powiedzieli. Obawiam się, że może utrudniać mi życie. Postanowiłam przybrać maskę sieroty i wytłumaczyć babci, na czym polega moja rola w życiu jej wnuczki. Któregoś dnia przyszedłam jakąś godzinę wcześniej i bez zapowiedzi zadzwoniłam do jej drzwi. W ręku miałam paczkę z pasztetem, który przyniósł Piotr z knajpy byleją. Paszтет owszem dobry, ale za dużo jak na nas dwoje. Babcia otworzyła drzwi, a ja wprosiłam się do środka mimo, że kobieta była zaskoczona. Wyglądała zupełnie inaczej niż w mieszkaniu Elki. Na sobie miała wyłącznie szlafrok, a na głowie zamiast eleganckich, spowitych chmurą lakieru loków, spoczywały wałki.

- Przepraszam, że pozwalam sobie wtargnąć do pani mieszkania... - zaczynam.
- Rzeczywiście, nie jestem gotowa, żeby przyjmować gości - próbuje się mnie pozbyć.
- Przyniosłam paszтет domowej roboty - podaję jej paczkę.
- Dziękuję - mówi zaskoczona. - Może lepiej byłoby, gdybyście z Elżbietką razem...
- Dla niej też mam, oczywiście - uśmiecham się słodko.

Widzę, że jest skrępowana swoim wyglądem. U Eli zawsze pozowała na damę, elegancką i wiecznie zajętą. Tu wygląda jak bezbronna staruszka.

- Proszę nie gniewać się, że Ela występuje w telewizji - zaczynam.
- Nie chodzi o telewizję - zaczynają się negocjacje. - Obawiam się, że ona nie widzi jak to wygląda.

Tu się zgadzam. Nie widzi jak to wygląda, ale zanim podpisała kontrakt, bardzo dokładnie jej to opowiedziałam. Radziła się prawnika. Tego samego, co pomagał jej z odszkodowaniem po śmierci matki. Więc to nie tak, że ona biedna nie wie, o co chodzi, a ja jestem zwykłą manipulatorką. Streszczam jej wszystkie odcinki, oglądam przy niej na taśmie i mówię dokładnie co widzę. Zresztą nie ma odwrotu. Podpisała umowę.

- Dzisiejsze programy tak wyglądają - mówię.
- Nie wmówisz mi moja droga, że świecenie tyłkiem na ekranie jest normalnym przejawem naszych czasów.
- Przepraszam bardzo, ale ja nigdy nie ubrałam Eli w nic niestosownego.
- Dla mnie to są rzeczy absolutnie niestosowne... Gdyby żyła moja córka, nie dopuściłaby do tego, żeby tak się stało...

Też się zgadzam. Gdyby żyła jej córka, to wnuczka widziałaby i nie byłoby tego

całego korowodu. Wierszy, mnie, programów, strojów, wieczorów poetyckich, Piotra, tego aktora... Tylko po co tak mówić?

- Ela wie, co robi. Jest szczęśliwa.

Dziwne, kobieta patrzy na mnie z niedowierzaniem. Chyba wątpi w moje intencje. Powinnam była porozmawiać ze swoją babcią przed tą rozmową. Nabrałabym wprawy.

- W życiu nie o to chodzi, żeby być szczęśliwym - stwierdza babcia Ślepelli.

- A o co? - zatyka mnie i zapominam o obranej strategii.

- Każdy ma swoje obowiązki względem innych, głównie rodziny... A ona prędzej czy później przeżyje rozczarowanie. Za chwilę światła zgasną i Elżbietka zostanie sama, wciśnięta w kąt, jak szmaciana lalka.

Poezja u nich jest rodzinna, jak zorientowałam się na podstawie wypowiedzianego tekstu.

- Niech jej pani pozwoli zatem na trochę szczęścia. Skoro i tak ma przeżyć rozczarowanie...

- Ona już jedno przeżyła, kiedy ciebie, moje dziecko, nie było tutaj.

- I podźwignęła się - wchodzę w jej słowo. - Dzięki temu, że ma takie życie, jakie ma.

- Ona nie widzi!

- Od widzenia ma mnie.

- A kim ty jesteś?

To już było zjadliwe. Nie czuję się członkiem rodziny. Płacą mi za pracę, z której się wywiązuję.

- Bardzo dobrą asystentką wspaniałej młodej poetki i jej sty-listką. Nikim więcej. Niech się pani nie obawia.

- Słyszałam, że także straciłaś matkę - mówi już spokojniej.

- Owszem - potwierdzam. - Tyle, że nie obwiniam nikogo za jej śmierć. Rozumiem, że tak miało być i staram się żyć dalej.

Teraz jej przywaliłam i pasztet nie pomoże.

- Nie zrozumiemy się - kręci głową. - Jesteśmy z innego pokolenia.

- Obie chcemy, żeby Ela była szczęśliwa. Tyle, że ja z panią nie walczę. A pani ze mną owszem.

- I lepiej nie walcz. Wychowałam już krnąbrną córkę i trudną wnuczkę. Z tobą też dam sobie radę.

Groźna babcia. Szkoda tylko pasztetu.

MARIA

- Tak, słucham?

Mała ma głos podobny do głosu Aliny.

- Mówi ciocia Marysia.

Cisza. Nie może czy nie chce rozmawiać?

- Nie kojarzę...

Akurat. Mała żmija.

- Porozmawiaj ze mną chwilę.

- W czym mogę pomóc?

Zbyszek mówił jej o mojej wizycie, czy babka o telefonie, że tak się zachowuje?

- Przecież wiesz kim jestem... Jestem, to znaczy, byłam przyjaciółką twojej mamy.

- I co z tego?

- Nie traktuj mnie w ten sposób.

- A jak mam panią traktować? Zapomniałam, że pani istnieje.

Zapewniam, że istnieję. I nigdy nie przestałam istnieć.

- Istnieję. Nie mogę się pogodzić ze śmiercią Aliny.

- Dziwne - powątpiewający ton. - Po śmierci mamy potrzebowalibyśmy z bratem i ojcem wsparcia przyjaciółki mamy. Ale pani nie było.

- Już mówiłam, że było mi bardzo trudno...

- Mówiła to pani. A ja pytałam, w czym mogę pomóc?

- Czy mogłabyś się ze mną spotkać i porozmawiać?

- Nie widzę celu takiego spotkania.

Gówniara.

- Chciałabym wspomnieć twoją mamę.

- A ja nie chcę o niej mówić.

- Pomogło by ci to. Wiem z doświadczenia...

- Nic pani nie wie - przerywa mi. - Nie wiem o co pani chodzi, ale beze mnie...

- Poczekaj, proszę, nie rozłączaj się. Skoro nie chcesz się spotkać, to nie ma problemu.

- Coś jeszcze?

Dlaczego jest taka niegrzeczna i nieufna? Nie odzywałam się do nich po pogrzebie. To prawda. Nie wiedziałam co robią i jak sobie radzą, ale nie byłam chyba zobowiązana do pomocy.

- Pomyślałam, że napiszę książkę o twojej mamie. Opowiem jaka była. Szczególnie pacjenci ją wspominają. Była niesamowitym lekarzem.

- Być może - ton jest spokojniejszy. - Tyle, że ja nie mogę pomóc. Mało wiem o jej działalności zawodowej.

- Pomogłabyś mi przywołując jej pamięć. Dlaczego nie chcesz spotkać się ze mną?

- Już pani mówiłam. Nie widzę sensu w takim spotkaniu.

- Kiedyś mówiłaś do mnie ciociu...

- Nigdy mnie nie lubiłaś, ciociu. Nie wiem o co ci teraz chodzi i nie chcę wiedzieć.

- To nieprawda - kłamię.

- Nie będę się kłócić. Chciałabym skończyć tę rozmowę. Mam swoje zajęcia.

Ciekawe jakie ona może mieć zajęcia?

- Nie chciałam ci przeszkadzać. Może zadzwonię w odpowiedniejszym momencie?

- Raczej nie ma takiej potrzeby.

- Dobrze - wzdycham rozzwierająco. - W takim razie to ostatnie pytanie: czytałaś moją prośbę o wspomnienie twojej mamy? Wydrukowałam w gazecie, miałam nadzieję, że przyjdiesz na spotkanie...

Dlaczego ona się śmieje?

- Nie czytałam. Nie czytuję gazet.

- A co u ciebie słychać? Jak ci się układa?

- Wprost wspaniale - mówi to z naciskiem. - I naprawdę muszę już wracać do pracy.

- Cóż... Gdybym mogła ci w czymś pomóc, albo gdybyś jednak zmieniła zdanie i chciała porozmawiać, to zadzwoń do mnie, bardzo cię proszę.

- Naturalnie, ciociu, na pewno zadzwonię. I bardzo dziękuję za telefon, ale więcej nie dzwoń.

Tracę swoje dziennikarskie zdolności. Dlaczego wcześniej z obcych ludzi wyciągałam informacje, jakie chciałam, a w tej sprawie napotykam na mur niechęci? Najpierw Zbyszek, teraz ona. Matka Aliny wprawdzie ze mną rozmawiała, ale nic z tej rozmowy nie wynikło. Miałam nadzieję, że zadzwoni do wnuczki i uprzedzi ją o moim ewentualnym telefonie. Może nawet przekonałaby ją do rozmowy ze mną. Wydaje mi się jednak, że ona w ogóle do niej nie dzwoniła. Inaczej Mała nie byłaby tak zaskoczona moim telefonem. Kolejna ślepa uliczka. Do syna Aliny też dzwoniłam. Nie okazał niechęci. Był zaskoczony i nie miał ochoty specjalnie rozmawiać, ale starał się być uprzejmy. Potakiwał, że wspomina swoją mamę, ale nie spotka się ze mną, ponieważ mieszka daleko. Tak, książka o jej działalności lekarskiej to wspaniały pomysł. Kupi ją na pewno. Takie gadanie o niczym. Nie wiem jak mógł tak spokojnie przyjąć informację, że powstaje książka o jego matce. Czyżby był tak naiwny, żeby myśleć, że działalność zawodowa Aliny mogła kogoś zainteresować? W końcu była zwykłym lekarzem,

znanym w środowisku, cenionym, ale zwykłym.

Ostatnio miałam więcej pracy w gazecie. Naczelnicy zwrócił uwagę, że moje teksty nie są tak zaangażowane jak dawniej. Merytorycznie było jak zawsze dobrze, w końcu robiłam to od lat, ale przestało mi zależeć. Nie zaangażowałam się w gazetę jak dawniej. Kiedyś wkładałam pracę i emocje nawet w głupawe teksty o ścieżkach rowerowych, karmieniu gołębi na osiedlach czy sprzątaniu psich kup. Teraz wysyłam „w teren” stażystów, a sama tylko poprawiam po nich teksty. Za to książka robi się coraz grubsza. Tylko co z tego, kiedy nie mam żadnych nowych tropów. Dzwoniłam do mojego znajomego z biura kryminalnego pytając, czy mogę sprawdzić coś jeszcze, co pomogłoby w moim śledztwie, ale odradził mi dalsze zajmowanie się tą sprawą. Chyba przestał wierzyć w moją historię. Albo wierzy, tyle, że nie widzi w niej materiału do dalszego śledztwa. Pytałam go wprost, czy można rozpocząć poszukiwania Aliny. Pokazano by jej zdjęcia, na pewno spotyka się teraz z jakimiś ludźmi, może pracuje, może ktoś ją rozpozna. Podobno nie można nic zrobić. Alina została uznana za zmarłą i pogrzebana. Rodzina musiałaby chcieć podważyć autentyczność zwłok i zażądać ekshumacji. Nikt spoza rodziny nie może tego zrobić, jeśli nie zachodzi podejrzenie przestępstwa. Moim zdaniem udawanie zmarłego to przestępstwo samo w sobie, ale nie mam żadnych dowodów na swoje słowa. Nie mogłam już liczyć na pomoc „kryminalnego” i na wszelki wypadek nie powiedziałam mu, że obeszłam wszystkie stołeczne szpitale ze zdjęciem Aliny, pytając w każdym dziale kadr czy pracuje u nich taka osoba. To była żmudna i beznadziejna praca, ale liczyłam, że może w ten sposób ją znajdę. Alina była lekarzem. Naturalnie, nie mogłaby nadal pracować jako lekarz, ale wyobrażam sobie, że musi być jakoś blisko zawodu, szpitala, w którym tak dobrze się czuła. Mogła zatrudnić się nawet jako salowa i dyskretnie udzielać młodym stażystom rad co do leczenia pacjentów. To by było w jej stylu. Myje sobie podłogi, a tu nagle pacjent pada. Jeden rzut oka specjalistki i już wiadomo, że pacjent jest leczony na zawał serca, a tymczasem ma rzadką chorobę nerek. Stażysta nie przyznaje się, że prawidłową diagnozę podsunęła mu salowa. Trochę to filmowe, ale bardzo by do niej pasowało. Zadałam sobie trud obejścia wszystkich szpitali w stolicy, z wyjątkiem tego, w którym Alina pracowała „przed śmiercią”. Nie byłaby aż tak głupia, żeby się zatrudniać tam, gdzie wszyscy by ją poznali nawet z przyklejoną brodą. Wchodziłam tylko do działu kadr. Przedstawiałam się własnym imieniem i nazwiskiem, mówiłam jaki jest mój zawód i, że szukam pewnego bardzo ważnego świadka. Ludziom do głowy nie przyszło, że to może być podejrzane i przypatrywali się zdjęciu. Nikt jej nie rozpoznał. Tyle pracy na marne. Może zatrudniła się w przychodni, nie w szpitalu? Może pod Warszawą. Tyle, że w takim układzie jeżdżenie od ZOZ-u do ZOZ-u przypominałoby poszukiwanie igły w stogu siana.

Odpuściłam ten trop. Uczepiłam się innego. Zastanawiając się z czego ona żyje, olśniło mnie nagle, że miała przecież konto w banku. Kiedyś podczas spaceru podeszła do bankomatu i wyjmowała pieniądze. Powiedziała wtedy, że to jej macierzysty bank i nie zapłaci prowizji. Nie zwróciłam uwagi jaki był szyld na bankomacie, ale pamiętam miejsce w którym to było. Pojechałam tam modląc się, żeby ten aparat ciągle tam stał. Na szczęście stał. To niestety nie był jakiś mały bank, tylko największy w kraju, ale za to ja też miałam w nim swoje konto. I znałam jednego z prezesów. Zanim jeszcze był prezesem. To dzięki mojemu programowi wyszło na jaw, że jego główny konkurent do tego stanowiska, zasiada w radzie nadzorczej pewnej spółki zarejestrowanej w Monako. To był jeden z moich lepszych programów. Zamierzałam powołać się na znajomość sprzed lat i wprost zażądać pomocy w sprawie konta Aliny. Dotarłam do Pana Prezesa mimo zapory w postaci dwóch sekretarek. Musiał mnie przyjąć i pomóc. Z przyjemnością stwierdziłam, że moja osoba wciąż wzbudza strach. Wyjaśniłam oględnie w czym rzecz. Nie chciał się zaangażować. Moralność, etyka, dane osobowe. Powtarzał to w kółko. Bał się, że nagrywam rozmowę. Tłumaczyłam, że to sprawa osobista, bardzo dla mnie ważna i chodzi mi tylko o ostatnie transakcje na koncie. Nie muszę znać sum, tylko daty. Wprost zażądałam pomocy. Zgodził się. Odesłał mnie na następny dzień. Mielśmy się spotkać na lunchu. Nie mogłam się doczekać tego spotkania. Miałam nadzieję, że dowiem się czegoś, co mnie olśni. Będę wiedziała, gdzie jest Alina. Wciąż liczyłam na te olśnienia i wiedziałam, że niestety będzie w tej sprawie coraz mniej. Nie mogłam spać w nocy. Siedziałam w barze blisko banku godzinę przed spotkaniem. Bałam się, że nie przyjdzie. Przyszedł jednak. Nie ponaglałam. Jeśli powie, że nie mógł pomóc, coś wymyślę, żeby go pogrążyć. W przyszłości, bliższej, dalszej, nieważne. Umiem czekać. Powiedział jedno zdanie. Alina, albo osoba, która miała jej kartę i kod, dzień po śmierci wyciągnęła wszystkie pieniądze z konta. Nie wiem ile tego było, ale podobno suma miała cztery zera. Potem, po zgłoszeniu jej śmierci, konto zablokowano. Nikt nie zwrócił uwagi, że daty się nie zgadzają. Nikt tego nie zgłosił. Rodzina nie zgłaszała pretensji, że na koncie nie ma pieniędzy. Uposażeni automatycznie otrzymali od banku należne im ubezpieczenie.

- Sprawa jest całkowicie zamknięta - powiedział z naciskiem. - Proszę nie próbować dyskredytować mojego banku.

- Nie mam takiego zamiaru - zapewniłam. - Chciałam tylko mieć tę informację na prywatny użytek. Nie wyjdzie poza tę salę.

- Mam nadzieję - on na to podnosząc się. - Jeśli to jakaś prowokacja...

- Zapewniam, że to słuszna sprawa i nie będzie pan miał z tym nic wspólnego.

- Do widzenia.

Z przyjemnością bym go przygwoździła w jakimś programie, chociaż mi pomógł. Tyle, że ten trop tylko potwierdzał to, co wiedziałam, ale nie dawał żadnych nowych możliwości. Alina miała pieniądze. Przynajmniej na jakiś czas. Wyciągnęła je z banku po wypadku. Czyli nie planowała swojej śmierci. Miała jak zwykle szczęście.

LENA

Nie jestem czterdzieści i cztery Pieprzę takie bajery Poeci to fraj ery.

Didżej to jest gość.

- To świetne - zachwyca się Ślepella.

- Skoro tak mówisz - powątpiewam.

To zwycięski wiersz w konkursie dla uczestników programu z ostatniego nagranych etapu. W ogóle uważam, że pisanie wierszy w telewizji na oczach widzów jest jakimś nieporozumieniem. Ale może się nie znam. W życiu nie napisałam wiersza. To nie moja bajka. Na studiach lubiłam pisać krótkie formy, głównie felietony. Publikowałam w gazecie studenckiej. Naczelnicy namawiał mnie, żebym szła w tym kierunku, ale nie starczyło mi energii. Ale umiejętności się przydały, chociażby w „Twojej Modzie”, gdzie przecież nie tylko przewalałam ciuchy, ale pisałam rubrykę Historia Mody.

- Co sądzisz o programie? Nie miałyśmy okazji porozmawiać spokojnie, a zależy mi na twojej opinii.

Już od dawna nie rozmawiamy o otaczającym świecie, nie chodzimy na spacer. Wszystko podporządkowane jest występom w telewizji. I pomyśleć, że kiedyś bała się wystąpić w programie śniadaniowym. Teraz nie może doczekać się nagrania.

Inaczej sprawa ma się z Piotrem. Byłam bardzo zdziwiona, że Piotr zgodził się wziąć w nim udział jako juror. Przysięgam, że nie powiedziałam na ten temat ani słowa. Co więcej odmawiałam odpowiedzi na pytanie, co ja o tym sądzę. Zwyczajnie nie wiedziałam, jak to będzie wyglądało. Miałam nadzieję, że w końcu wypłynie oficjalnie kwestia moich stylizacji. Takie show to doskonała okazja, żeby padło moje nazwisko. Miałabym wtedy szansę na karierę, na jaką zasługuję. Moja opinia na temat programu nie ma nic do rzeczy. Dla mnie ten program to szczyt absurdu. Na dużej scenie siedzą Piotr, Ela i dyrektor wydawnictwa Wierszemoje.com. To on wyda tomik wierszy najbardziej uzdolnionemu debiutantowi. Cały konkurs składa się z wielu etapów. Całe szczęście, że program jest nagrywany, a nie emitowany na żywo, bo nie wiem jak sprawdziłaby się formuła. Otóż wybrani we wcześniejszych castingach uczestnicy dostają w kopertach po trzy słowa. Mają z tych słów napisać wiersz biały, rymowany, limeryk, fraszkę itd. W tym czasie na scenie gra zespół mający ambicje literackie. Kiedy już kandydaci na poetów skończą, to kartki papieru składają w samolociki i rzucają w kierunku publiczności. Ta rzuca się do łapania, a następnie po kolei, wybrani widzowie, dukając do mikrofonu odczytują „dzieła” podając na końcu nazwisko „poety”. Po każdym takim odczytaniu, jury przystępuje do krytyki. Mój Piotr jest

najłagodniejszy ze wszystkich. Stara się ten absurd opanować, podsumować czytane publikacje i wybrnąć z tego wszystkiego z twarzą. Wydawca jest „złym policjantem”. W stosunku do ocenianych używa określeń typu: jeszcze nie widziałem, żeby ktoś tak porozrzucił słowa; nie rozumiesz o czym piszesz; liczysz na to, że jesteśmy głusi. Są też ostrzejsze: jesteś marnym wierszokletą; wyjdź za mąż, ale nie miej dzieci - nie masz im co przekazać w spadku; kup sobie jakiś prawdziwy tom poezji, to będziesz wiedziała jak to się robi. Wreszcie: czytasz, jakbyś chciała zwymiotować te słowa. Gość mnie mierzi nieudolnym naśladowaniem Kuby Wojewódzkiego. Ślepella najlepiej czuje się w tej formule. Nie obraża uczestników, ale też ich nie chwali. Wytyka błędy, podkreśla, kiedy nie ma tematu, wyraźnej pointy, rymy nie takie jak trzeba. Jest najlepszym jurorem z tej trójki. Czasem się rozpędza i ocenia słowa piosenek, które śpiewają zespoły na scenie. Raz nawet skończyło się awanturą, ponieważ lider poczuł się urażony sugestią, że podrabia teksty Piotra Nowaka. Zespół obraził się i zerwał współpracę z programem, co opisały wszystkie tabloidy, zwiększając oglądalność. Ślepella wygląda za każdym razem zjawiskowo. Aż żal, że nie może tego zobaczyć. Oczywiście nadal ją ubieram, ale już nie muszę kombinować z ciuchami. Możemy korzystać z ubrań, jakie zamawia telewizja. Odpadło mi zatem bieganie po sklepach i szukanie odpowiednich zestawów: Wchodzę sobie do wielkiej garderoby i z wieszaków wybieram najlepsze ubrania, niestety tylko dla Eli. Czuję, że gdybym ja zechciała skorzystać z dobrodziejstw przepastnej telewizyjnej szafy, skończyłoby się tak, jak przy tamtej feralnej spódnicy - bombce. Pilnuję się. Piotra do programu ubiera stylistka z telewizji. Ja się przy tym nie upieram, zwłaszcza, że ciuszki szykuje mu zupełnie niezłe. We własnych ubraniach Piotr występuje podczas wieczorów poetyckich i innych programów. A trzeba przyznać, że ciągle lata do telewizji, zrobił się bardzo modny. Od czasów Nobla Szymborskiej nie było takiego boomu na wiersze. Piotr wydaje się mimo wszystko trzymać dystans. Niestrudzenie nie promuje własnej osoby ani własnej twórczości. Mówi tylko o innych. Poeci przekłęci, to jego konik. Poetka mu sekunduje, ale we wspólnych programach występują już rzadko. Cykl „Młodzi polscy poeci” ma kilkumiesięczną przerwę i zostanie pewnie wznowiony po wakacjach. Chociaż nie wiem, czy się uda znów coś zrobić, ponieważ Ślepella podpisuje właśnie kontrakt na cykl programów „Kobiety - poetki i ja”. Będzie występować w niedzielę w popołudniowym paśmie. Już szykuję ciuchy i zbieram pomysły na makijaż i fryzury. O jej własnych wierszach na razie nie ma nowy. Nie wiem, kiedy napisze coś nowego. Może już ma mniej tych swoich olśnień. Natłukła ich jednak tyle, że starczy jej na kilka nowych tomików.

Nawiązując do Huxley'a - trzeba dużo somy, żeby to wszystko wytrzymać.

Zwłaszcza, że ostatnio w naszym nowym, wspaniałym świecie wydarzyło się pęknięcie. Może nie na taką skalę jak przywiezienie dzikich z rezerwatu, ale jednak małe trzęsienie ziemi.

Zaczął się od programu, w którym jeden z „poetów” odczytał wiersz bliźniaczo podobny do wiersza Ślepelli pt. „Obraz”. Co ciekawe, był to wiersz nieopublikowany, ale złożony w jej wydawnictwie. Zszokowana Ślepella zaczęła wykrzykiwać, że to zwykła kradzież i tak dalej, nie panując zupełnie nad nerwami. Program był nagrywany, więc nie miało to specjalnego znaczenia, jeśli ktoś nie nagrał tego komórką i nie puścił do sieci. Tyle, że Ela się zdenerwowała, gwałtownie wstała i chciała chyba wyjść ze studia. Piotr nie od razu się zorientował, że trzeba jej szybko pomóc, a ja siedziałam na widowni dość daleko i mimo, że natychmiast ruszyłam z odsieczą, to nieszczęście i tak się stało. Poetka szła żwawo, zrywając po drodze kable, wprost na barierkę, w którą uderzyła biodrami, zgięła się w pół i wpadła na widzów w pierwszych rzędach. Potem zaczęła się miotać, żeby uwolnić się spomiędzy ludzi, co nie tylko zniszczyło jej fryzurę i makijaż, ale wprowadziło w prawdziwą panikę. Dopadłam ją torując sobie drogę między wszystkimi, ale Ela już była w hysterii. Jakoś udało mi się ją wyprowadzić stamtąd i zamknąć się w garderobie, gdzie przez godzinę płakała nie dając się uspokoić. Do drzwi garderoby ciągle ktoś pukał. Ja nie otwierałam. Wcześniej napisałam sms-a do Piotra, że wszystko jest w porządku, tylko, żeby dali nam spokój. Kiedy się wreszcie uspokoiła, zażądała rozmowy z producentem. Byłam przy tym, ponieważ zakazała mi wychodzenia. Poprosiła także Piotra na świadka rozmowy. I w tej rozmowie okazało się, że to kontrolowana prowokacja. Wiersz został napisany jako plagiat specjalnie, żeby zobaczyć jej reakcję. Uznano, że to dobry pomysł i ubarwi program. Czyli - chcieli dobrze, a dobrymi chęciami wiadomo co jest wybrukowane. Ślepella nie chciała wrócić na scenę. Piotr w ramach protestu też nie chciał wrócić. Wydawca miał pretensję, że nie poproszono go tam, gdzie rozgrywa się cała ta interesująca szopka. Producent prosił, błagał, potem zaczął się pieklić. Wszyscy zwariowali. Wreszcie Ślepella zgodziła się dokończyć nagrywanie tego odcinka. Na to ja powiedziałam, że musi mieć nowe ubranie, ponieważ spódnica jest podarta, trzeba poprawić fryzurę, o rozmazanym łzami makijażu nie wspomnę. W końcu stanęło tylko na malowaniu i czesaniu, co i tak trwało dwie godziny. Pozostała część programu to była prawdziwa męka. Widać było, że coś jest nie tak. Ostatnie dwa wiersze zostały przez Elę zmiażdżone, przez wydawcę pochwalone, a Piotr powiedział czytającym, że nie potrafią interpretować własnych utworów. To było coś, czego nigdy nikomu nie powiedział, ponieważ sam tego nie potrafił i uważał, że poeta jest od pisania, a nie czytania.

Myślałam, że po tej masakrze nic gorszego stać się nie może, ale się myliłam. Ślepella

nie chciała wcale iść do domu, a oboje z Piotrem myśleliśmy, że chce zwinąć się w kłębek na kanapie i w samotności uzalać się nad sobą. zaproponowała, żeby pójść do jakiejś kawiarni. Najpierw była mowa o Nowym Wspaniałym Świecie, ale Piotr przypomniał sobie, że właśnie dziś odbywa się tam jakieś spotkanie, czy koncert i nie będzie można spokojnie posiedzieć. zaproponował lokal swojej byłej, czym mnie zdenerwował, ale nie chciałam tego okazać. Wiem, że ciągle tam chodzi i kupuje różne dania na wynos. Bardzo dobre zresztą, tyle, że nie jestem do końca pewna, czy ta Agnieszka, to mu na pewno przeszła. Namawiał mnie wiele razy, żebym poszła z nim i skosztowała kuchni niejakiej pani Krysi, ale nie miałam ochoty. A teraz pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że „była” nie zechce mnie poznać. Może jej wcale w barze nie będzie? Niestety „była” była w pracy. Najwyraźniej zdenerwowana podeszła do naszego stolika. Piotr, nie wiem czemu uszczęśliwiony, zaczął wypytywać ją o danie dnia. Zapomniał przy tym przedstawić wszystkich obecnych. Zupełnie ładna dziewczyna, taka trochę nijaka, ale jakby ją dobrze ubrać to całkiem, całkiem... Miała na sobie dzinsy nieokreślonej marki i bluzkę z Zary, ładną, ale nie pasującą do dzinsów. Buty wołały o pomstę do nieba. Miała też wysoki drażniący głos. Była bardzo zdenerwowana. Najwyraźniej ta wizyta wytrąciła ją z równowagi. Nie wiem czy w ogóle zauważyła, że Ela nie widzi. Dziwna jakaś. Nie rozumiem gustu poety. W ogóle nie jestem do niej podobna. Zamówiliśmy jakieś dania, które polecił Piotr i herbatę, która była okropna. Może dlatego, że w środku pływały owoce z konfitur. Agnieszka zamiast trzech dań przyniosła dwa, więc jadliśmy z Elą z jednego talerza.

- Moja mama robiła pyszne gołąbki - opowiadała poetka. - Uwielbiam gołąbki.

Najwyraźniej nabierała rumieńców i uspokajała się.

- Moja też - powiedział Piotr. - I ja lubię gołąbki.

- Co to za lokal? - zapytała poetka, kiedy oddaliśmy talerze i zostaliśmy przy samej herbacie.

Poeta, który zajęty był dowiadywaniem się, czy jest słynna szarlotka podawana na ciepło, nie zwrócił specjalnej uwagi na to pytanie. I stało się.

- To bar mojej byłej dziewczyny. Ale jesteśmy w dobrych stosunkach i często tu przychodzę. Genialna kuchnia, bardzo miło...

- Przecież jesteś gejem...

Nadciągała katastrofa, a ja nie miałam pojęcia co zrobić, żeby jej zapobiec.

- Nie jestem gejem - mówi Piotr. - Przepraszam, że kłamałem. Nie chciałem wtedy, żebyś pomyślała, że to ze względu na wiesz...

-...na moją ślepotę, tak?

Poetka na twarzy miała furię. Wiedziałam, że zaraz nastąpi coś strasznego.

- A ty wiedziałaś? - jest wściekła, kiedy zwraca się do mnie.

Jak zwykle nie wiedziałam, co powiedzieć, żeby się nie wydało i, żeby uratować sytuację.

- Ja... - zaczynam.

- Ona... - mówi Piotr. - Nie ma z tym nic wspólnego. Możesz winić tylko mnie.

- Elu, proszę cię - mówię błagalnym tonem. - Pozwól odwieźć cię do domu.

- Nie chcę iść do domu - histeryczne nutki ponownie słysząc w głosie. - Chcę dowiedzieć się dlaczego mnie okłamaliście.

- Nie chcieliśmy sprawić ci przykrości.

Boże, dlaczego on to mówi. Niech przestanie.

- Nie chcieliśmy, żebyś myślała, że to ze względu na ciebie. Tak miało być. Jesteśmy z Lenką razem. Razem też mieszkamy. Mam nadzieję, że zechce wyjść za mnie za męża, o co ją zacząłem prosić.

I deja vu. Ślepella wstaje i rusza w stronę drzwi. W swoim mniemaniu oczywiście w stronę drzwi. Nie wiem co sobie wyobraża. Że złapie taksówkę albo pofrunie do domu? Lecę za nią i pomagam jej wyjść z baru podczas, kiedy Piotr rzuca na stół pieniądze za kolację i wybiega za nami. Ślepejla musi przejść przez kolejne upokorzenie, czyli zostać wepchnięta do samochodu Piotra i odwieziona do domu. Ma świadomość, że jest od nas zależna.

- Dam sobie radę już sama - twierdzi stanowczo, kiedy wychodzimy z auta.

- Wiem, że dasz sobie radę, ale pozwól, że odprowadzę cię chociaż do drzwi.

Jestem wściekła na poetę, że postanowił wyjechać z tą szczerością. I to właśnie dziś, kiedy nie wyszło z tym programem.

- Elu, pozwól, że ci wyjaśnię...

- Nawet matka nigdy mnie tak nie upokorzyła jak ty. Zawiadomię cię, co postanowiłam, co do naszej dalszej współpracy. - Zatrząskuje mi drzwi przed nosem.

ALINA

Moja córka przyszła do naszego baru. Z byłym Agnieszki i jeszcze jakąś dziewczyną. Zobaczyłam ich przypadkiem. Jak mówiłam bardzo rzadko wychodzę poza kuchnię. Siedziała odwrócona do mnie bokiem. Dziewczyny piły herbatę z sokiem malinowym z kubków w kwiatki. Wszyscy jedli „obiad dnia”, czyli gołąbki. Moja córka zawsze lubiła to danie. Przerażenie, jakie mnie ogarnęło, trudno opisać. A jeśli Agnieszka zechce mnie przedstawić? Chociaż właściwie dlaczego miałyby to robić? Panika falami zalewała mi mózg. Co ona ma wspólnego z byłym Agnieszki? Która z nich jest jego dziewczyną? Moja córka czy jej koleżanka?

- Pani Krysiu, mamy jeszcze szarlotkę? - roztrzęsiona Agnieszka przerywa moje rozmyślenia.

- A chcesz, żebyśmy mieli?

- Mam powiedzieć, że nie ma?

- Powiedz co chcesz - decyduję się na działanie. - Ale ja na twoim miejscu powiedziałabym byłemu, że nie życzę sobie jego wizyt w moim lokalu. Po co udajesz, że cię to nie boli?

- No... Tak wypada...

- To zanieś szarlotkę jemu, jego nowej dziewczynie, najlepiej osobiście i zapytaj jak smakowało. Spakuj sernik na wynos i powiedz, że to dla nich w prezencie od firmy. Powiedz, żeby jutro wpadli, bo będą zrazy... - zagalopowałam się chyba.

Dziewczyna stoi i patrzy na mnie rozwartymi ze zdumienia oczami. Ocieram ręką pot z czoła. Wreszcie wychodzi, a ja opadam na krzesło. Czuję się chora. To chyba ze zdenerwowania. W głowie mi szumi, myśli galopują. Na sali słyszę szuranie krzeseł i podniesione głosy. Co się tam dzieje? Czyżby Agnieszka wyprosiła ich z baru? Czy dobrze postąpiłam doradzając jej, żeby się ich pozbyła?

- Dziecko... - mówię, kiedy wraca. - Ja cię bardzo przepraszam...

- Pani Krysiu, miała pani rację - siedzi na krześle kuchennym i płacze.

Wyłączam rosół. Za długo się gotuje.

- Dziecko... - znów zaczynam. Nie wiem, co mnie opętało...

- Miała pani rację - szlocha dalej. - Niepotrzebnie ich tu przyjmuję. Po co udawać, że mi nie zależy i cieszę się jego szczęściem?

- No właśnie - cieszę się, że się ich pozbyła. - Dobrze, że ich wyprosiłaś.

- Wcale nie - chowa twarz w dłoniach. Łzy skapują jej prosto na podłogę z PCV.

Co te dzisiejsze dziewczyny wyprawiają? Tak płakać o mężczyznę?

- Wcale nie - powtarza. - Kiedy podeszłam, oni się kłócili. Piotr powiedział coś nie tak i obie się obraziły. Nie wiem, o co chodziło. Wyszły a on za nimi. Rzucił tylko 50 złotych na stół. Nawet nie zauważył, że podeszłam.

Wszelkie próby wyciągnięcia od Agnieszki jakichś informacji na temat nowej dziewczyny Piotra spełzają na niczym. Dowiaduję się za to o nim, że jest... poetą. I to bardzo znanym. Występuje podobno w telewizji i wydaje tomiki poezji. Niedawno dostał nawet jakąś nagrodę. O nowej dziewczynie nie chce mówić. Twierdzi, że jest bardzo atrakcyjna. Nie wie, jak ma na imię. Dziś widziała ją pierwszy raz, ale nie zostały sobie przedstawione. Może ten chłopak chciał zrobić to przy deserze, ale nie zdążył. Dzisiejsze dzieciaki. Mam nadzieję, że więcej nie wrócą do baru.

MARIA

Moja książka jest prawie gotowa. Jeszcze tylko komentarze ogólne i do redakcji. Niestety nie będzie zakończenia w postaci odnalezienia Aliny. Nie będzie ani jej „spowiedzi”, ani przeprosin, ani też próby usprawiedliwienia. Żadnego zakończenia. To zasadniczy minus całej sprawy, ale nie mam wyjścia. Nie mam żadnego tropu, nic, co uprawniałoby mnie do kontynuacji poszukiwań. Skupiłam się w książce na analizie charakteru osób, które wychodzą z domu i nie wracają. Niby ogólnie, ale oś książki skupia się na historii Aliny. Pod zmienionym nazwiskiem oczywiście. Podaję kilka przykładów osób, które wyszły z domu i nie wróciły, co do których rodzina jest pewna, że świadomie uciekły przed odpowiedzialnością. U jednego mężczyzny, który wydaje się, że wciąż ukrywa się za granicą, przyczyną ucieczki był hazard i długi. Inna kobieta nie dała sobie rady z wychowywaniem córek i okrutnym konkubentem. Jej ucieczka z pieniędzmi ze sprzedanego samochodu miała uświadomić dorosłym córkom, jak źle traktowana jest ich matka. Wreszcie przytaczam historię kobiety, która uciekła z domu, żeby rodzina nie była świadkiem jej umierania na raka. Załatwiła sobie hospicjum, opłaciła, zostawiła testament, w którym oprócz podziału majątku dokładnie opisuje przyczyny swojej decyzji i prosi rodzinę o wybaczenie. Historia Aliny opisana jest przez pryzmat mojej bezradności. Piszę o kobiecie, która uciekła od wszystkiego, rodziny, odpowiedzialności, od kochanka. Litościwie dla siebie nie wspominam, że był nim mój mąż. O kobiecie, która miała szczęście przekonać wszystkich, że nie żyje. Tylko ja wiem, że nie jest to prawdą. A że nie ma zakończenia? Ujawnij się i proś wszystkich o wybaczenie, wołam w końcowym rozdziale. Czy to głos wołającego na puszczy? Naprawdę mam nadzieję, że nie. Niestety takie zakończenie musi wystarczyć.

Zastanawiam się jak rozegrać mój medialny powrót. Próbować szukać programu telewizyjnego do prowadzenia i jednocześnie wydawać książkę, czy najpierw ją wydać i wypromować, a potem przebierać w propozycjach pracy. Wybieram wariant pośredni. Będę szukała czegoś w telewizji i jednocześnie złożę książkę do druku. Cykl wydawniczy trochę potrwa, może uda się zgrać mój powrót na szczyt z wydaniem książki, która ten szczyt jeszcze utwierdzi.

Zaczynam od telefonu do osoby trzęsącej programami społecznymi w telewizji komercyjnej.

- Witaj Malinko - zaczynam słodko.

Uczyłam sukę zawodu. Jej suczym obowiązkiem jest mi pomóc.

- Maryśka! - entuzjazm podszyty jest wyraźną obawą. - Co u ciebie?

- Nie owijając w bawełnę, powiem ci, że już się napracowałam w gazecie i chciałabym zobaczyć znów włączoną lampkę kamery. Czy masz cokolwiek?

- Wiesz, trudno jest...

- Wszystko wiem - przerywam. - Nie chodzi mi o mój program autorski, nie muszę być na pierwszym planie. Wezmę cokolwiek na początek.

- Ale Maryśka, musisz mieć scenariusz i złożyć go... Możesz go złożyć u mnie. Wiosenna ramówka jest zapięta, ale w jesiennej...

To za późno. Ja mam hit i chcę wrócić teraz.

- Mówię ci, że nie chodzi o autorski program. Może masz coś z bocznego toru, gdzie mogłabym zacząć?

- Co masz na myśli?

Malina to kretynka, ale nie jest aż tak głupia. Nie rozumiem, dlaczego się zgrywa.

- Daj mi program, który leci w czasie, kiedy w innych stacjach są hity. Z założenia jest to zapchajdziura. Ja coś z tego zrobię, nikt się nie doczepi i wszyscy będą zadowoleni.

- Nawet tego nie mogę zrobić, Marysiu, wierz mi.

- Malina, proszę cię. Daj mi pracę w „Reporterzy zwracają uwagę”. Leci w porze głównych wiadomości na TVN-ie. Nikt tego nie ogląda. W założeniu tworzy go czwórka reporterów. Teraz będzie piątka. No jak?

- Szef się na ciebie nie zgodzi.

- Przekonaj go. Jeden program na dwa miesiące, na umowę-zlecenie, jedna kamera mi wystarczy. Zresztą nie chodzi mi o pieniądze.

- Dlaczego chcesz wrócić? - nie daje za wygraną.

- Sama wiesz, że telewizja to narkotyk. Kiedy cię zwolnili z „Interwencji” wyżalałaś się wszystkim brukowcom, między innymi mojej gazecie. Napisałam ten artykuł. Przedstawiłam szerokiej opinii, jak cię skrzywdzono.

- Wiem, bardzo ci dziękuję.

Ale zadzwonić wtedy i podziękować to nie mogłaś?

- To jak?

- Maryśka, spróbuję. Tu wszyscy pamiętają tamto, no wiesz. Napisz scenariusz jednego programu, przynajmniej w zarysie. Weź coś naprawdę chwytneho. Jako taką oglądalność mamy. Powiem Alfredowi, że to jednorazowo, ale jak wyjdzie dobrze, to może wskoczysz na miejsce Kaśki, ona jest na wylocie.

- A gdzie się wybiera? Wyżej?

- Nie tam. Mąż ją zostawił dla jakiejś małolaty i się załamała. Nie może sklecić

porządnego programu. Alfredo miał cierpliwość, ale jest już na wyczerpaniu. Masz szansę.

- Dzięki Malina, nie pożałujesz.
- Mam nadzieję, bo nadstawiam za ciebie głowę.
- Zawsze ktoś za kogoś nadstawia - mówię filozoficznie.

Będziecie mieli hit. Założę się, że trzeba powtarzać program albo będzie krążył w internecie. Już ja się o to postaram. Czeka mnie jeszcze jedna rozmowa. Z wydawcą. Dzwonię do zaprzyjaźnionego wydawnictwa, które specjalizuje się w literaturze non-fiction. Niestety, moja dobra znajoma już tam nie pracuje. Szkoda, ale pracuje znajoma znajomej. Przedstawiam się i usiłuję umówić od razu na spotkanie i przekazanie maszynopisu.

- Proszę przysłać maszynopis pocztą - mówi znajoma znajomej.
- Wolalabym przywieźć osobiście i od razu omówić warunki - nie ustępuję. To moja dewiza.

- Naturalnie, może pani przywieźć swoją książkę, ale mamy na recenzję trzy miesiące. Jaka recenzja? Ja mam hit, który sprzedaje się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy.

- Jestem przekonana, że proponuję państwu hit wydawniczy.

- Jesteśmy szczęśliwi, że zwróciła się pani do naszej redakcji, ale w związku z podwyższonym VAT-em na książki...

- Co to ma do rzeczy? - przerywam zniecierpliwiona. - Mogę się zwrócić do kogoś innego.

- Może tak byłoby nawet lepiej - sugeruje panna.

Bezczelna. Przepuszcza zarobek dla swojej firmy. Mogą ją za to wyrzucić z pracy.

- Mogę przesłać maszynopis, ale skoro tak, to lojalnie uprzedzam, że pójde także do innych wydawnictw.

- Naturalnie - skwapliwie się zgadza. - To dla pani także lepiej, będzie pani mogła wybrać najlepszą ofertę.

Jak ja nienawidzę przegrywać. W kolejnej redakcji jest tak samo. Wprawdzie tamtejsza panna kojarzy moje nazwisko, ale nie wzbudza w niej ono entuzjazmu, tylko lęk. Podobnie proponuje przesłanie maszynopisu. Ku mojemu rozczarowaniu, ten sam schemat powtarza się w kilku następnych redakcjach. Trudno. Wyślę i będę czekała na odzew. To poniżające, nie da się ukryć. Całą noc zajmuje mi przeczytanie wszystkiego jeszcze raz i naniesienie poprawek, dopisanie epilogu i nadanie książce ostatecznego wyglądu. Drukuję wszystko w pobliskim ksero. Muszę wyklócać się o zniżkę. W końcu to pięć egzemplarzy po dwieście pięćdziesiąt stron maszynopisu. Dają zniżkę, ale tak symboliczną, że w ogóle nie warto o tym mówić. Kiedy ten los się dla mnie odmieni? Na razie składam osobiście w

wydawnictwach książkę. Nie ufam poczcie. Zwykle przesyłka dochodzi na recepcję, a potem ginie w gąszczu korytarzy, przemieszcza się z biurka na biurko. W końcu ląduje w koszu. U każdej redaktor działu proszę o pokwitowanie, że dostała maszynopis. Niektóre „dziumdzie” patrzą na mnie z wyższością, ale stawiają pieczątki. Pytam, kiedy mogę się dowiadywać. Odpowiedzi są różne, trzy miesiące, pół roku. Tylko w jednej redakcji słyszę, że jak książka jest dobra, to odzywają się natychmiast, żeby przegonić konkurencję. Na coś takiego liczę. Zamknęłam jeden etap, teraz czekając na efekty, mogę zająć się scenariuszem do programu. Napiszę jeden odcinek, który wszyscy będą długo pamiętali. Mam nadzieję, że po jego emisji rozdzwonią się telefony i w glorii chwały wrócę na szczyt. Tak bardzo tego pragnę. Skupiam się, przejściowo oczywiście, na gazecie. Trochę zaniedbałam swoje artykuły. Ludziom się wydaje, że nie trzeba wiele wysiłku, żeby wypełniać tabloidy. Może tak jest w przypadku plotek o gwiazdach. Bierze się zdjęcie od paparazzi i dopisuje resztę. Można wymyślić totalnie wszystko, pisząc, że zdradziła nam osoba z bliskiego otoczenia, ekipy filmowej, produkcji etc. W przypadku artykułów o nieszczęściach ludzkich, w których sama mam nieszczęście się specjalizować, sprawa jest trudniejsza. Tu trzeba rzetelnie zebrać materiały źródłowe, porozmawiać z bohaterami, nierzadko uczestniczyć w sesjach zdjęciowych. Tak zwani zwyczajni ludzie albo bardzo chcą być w gazecie i robią wszystko, żeby ich historie „chwyciła”, łącznie ze zmienianiem rzeczywistości i kłamstwem, albo za nic nie można ich otworzyć. Ostatnio za bardzo polegałam na młodszych kolegach i nie odbiło się to dobrze na artykułach. Teraz to się zmieni, przynajmniej na trochę. A potem wracam do wielkiej gry. Mogłabym ci Alinko, moja była przyjaciółko, podziękować, gdybym tak bardzo nie miała do ciebie żalu, że zakochał się w tobie mój własny mąż. Więc nie dam ci szansy.

LENA

Ela nie odzywa się już trzeci dzień. Pierwszego dnia nie panikowałam. Rozumiałam, że jest urażona, zdenerwowana, ma prawo odpocząć i spokojnie się zastanowić. Drugiego zaczęłam sobie tłumaczyć, że to taka strategia. Potrzyma mnie w niepewności dwa dni, a potem pozwoli się przeprosić. Chociaż nie bardzo mam za co ją przeproszać. Jak na mnie i tak zachowałam się fair. Pozwoliłam Piotrowi zdecydować, którą z nas woli. W ogóle o niego nie walczyłam. Podałam jej go prawie na tacy, ale wybrał mnie. To nie moja wina. I nie ja ją oszukałam, tylko on. Nie kazałam mu udawać geja, żeby jej nie urazić odmową. To był jego autorski pomysł. Po tym co zrobił, jak miałam jej powiedzieć, że mieszkam z nim w jednym mieszkaniu i śpiam w jednym łóżku? Dwa dni sobie to racjonalizowałam. Trzeciego dnia już czułam nadchodzącą falę paniki. Komórka milczała, a do mnie docierało, że nie tylko nie mam pracy, ale koniec z nadziejami na upublicznienie moich stylizacji. Do programu ubierze ją stylistka z telewizji i będzie równie dobrze. Przecież nie jestem taka znów wyjątkowa, a Slepella nie wie, jak spójny wizerunek mi zawdzięcza. Myśli, że cała wierszo-mania i powodzenie tych programów bierze się wyłącznie z jej zdolności literackich. Nie dostrzega tego, co robię dla niej ja. Jak ma zresztą dostrzec, kiedy nie może? Myślę o tym w kółko. Co zrobić? Czuję się jak wtedy, kiedy Pasikonik wywalał mnie z Mody. Od tamtej pory minęły lata świetlne i wydawało mi się, że wreszcie zrobiłam w życiu coś sensownego, a tymczasem wracam do punktu wyjścia. Co za gówniana sytuacja. Po raz setny postanawiam zadzwonić i za każdym razem odkładam tę chwilę. Jeśli odbierze, zacznę przeproszać i może ze mną porozmawia, jeśli nie, nagram się na sekretarkę. Rozmyślałam nad tym, co powiem. Nie można apelować do rozsądku poetki, bo w życiu nie oddzwoni. Nie ma sensu mówić jej, że beze mnie będzie jej trudno, nikt jej tak nie ubierze, nie uczesze, czy tego typu rzeczy. Potraktowałyby taki tekst jak groźbę. Może postawić na przeproszanie? Ona lubi, kiedy się jej podporządkowuje. Tym razem jednak jest zranioną kobietą. Nie przeze mnie, ale tak to odbiera. Może poprosić Piotra, żeby do niej zadzwonił! i przeprosił?

- Mógłbyś zadzwonić do Eli i przeprosić ją? - pytam przy kolacji.

Zrobiłam dobre jedzenie, włożyłam czerwoną sukienkę.

- Przeproszać ją? Już to zrobiłem w kawiarni.

Zajada się grzankami z pesto.

- A jeśli nie stawia się na nagranie programu?

- Podpisała umowę.

- Wiesz, jaka ona jest...

- Lenina - wyjada wszystkie oliwki z sałatki. - To jest dorosła kobieta. Od początku żałowałem, że wałnąłem głupotę z tym gejestwem i chciałem się z tego wycofać. Dobrze się stało.

- Me stało się dobrze - oponuję. - Moment był bardzo nieodpowiedni. Ten wypadek z plagiatowaniem wiersza...

- Każdy moment jest dobry. Mnie ulżyło.

A mnie wręcz przeciwnie.

- A jeśli zerwie umowę? - upieram się.

- To jej sprawa. Powtarzam ci, że jest dorosła. Umowa była podpisana przy prawniku. Wie, że byłyby konsekwencje. Moim zdaniem przyjdzie na nagranie.

- A kto ją ubierze?

- Leninko, skarbie...

Czyżbym słyszała pobbłazanie w jego głosie? No pewnie, co tu ciuchy mają do rzeczy.

- Chodzi mi nie o stylizacje, tylko o całość. Kto ją ubierze, przywiezie, odwiezie, itd.?

- Babcia?

No tak. Babcia będzie triumfowała. Kto wie, jak teraz się cieszy.

- W końcu to tylko dwa odcinki i koniec tego cyrku. Żałuję, że dałem się na to nabrać.

- Te odcinki są najważniejsze, bo to półfinał i finał. A poza tym jesteś sławny, więc nie żałuj.

- Nie - kręci głową. - Jestem tylko popularny. To różnica. A ja nie chcę takiej popularności. Wolałbym, żeby to się skończyło. Zwłaszcza, że nie mam czasu dobrze przygotować się do lekcji. A praca w szkole to mój priorytet.

- Zadzwoń do niej i zapytaj jak się czuje.

- Dlaczego sama tego nie zrobisz?

- Powiedziała, że mnie powiadomi co do dalszej współpracy. Znam ją i wiem, że lepiej poczekać.

- To poczekaj.

- Kiedy nie mogę. Dlaczego zjadłeś wszystkie oliwki, przecież wiesz, że ja też lubię?

- Myślałem, że jest więcej. Ale mogę pójść do sklepu. Albo skoczę po szarlotkę pani Krysi do baru?

- Nie przypominaj mi tego lokalu - mówię. - W życiu już tam nie pójde.

- Wiesz co, Lenina? - celuje we mnie widelcem. - Ty jesteś zazdrosna o Agnieszkę.

Triumf skrzyżowany z oskarżeniem.

- O panią Krysię - poprawiam. - Przyznaję się, że doprowadza mnie do szalu myśl o

tym, że zdradzisz mnie z tą kobietą przy pierwszej okazji za kawałek pasztetu albo szarlotki.

- Widzę, że ci lepiej - uśmiecha się.

- Zadzwoń do Eli - nudzę.

- Zadzwonię, jeśli obiecasz, że pójdziesz ze mną do rodziców. Chcę, żebyście się poznali.

Jak on może tak wykorzystywać sytuację?

- Dobrze, ale jeśli załatwisz sprawę tak, żeby wszystko było po staremu. Sam telefon nie wystarczy.

Ubrałam się w czerwoną, krótką sukienkę licząc, że będzie chciał się kochać w zamian za załatwienie sprawy. Za bardzo się przyzwyczyłam, że facet chce ode mnie tylko jednego. Ten przeciwnie, chce się ożenić, chociaż z łóżka mnie nie wyrzuca.

Wzdycha i bierze do ręki komórkę.

- Witaj Elu... Tak, to ja Piotr.

Słucham w napięciu.

- Oczywiście możesz nie mieć ochoty na rozmowę ze mną... Pieprzę program. Nie dlatego dzwonię... Zachowałem się jak gnój i źle mi z tym.

Nie wiem, czy to odpowiednia strategia.

- Czy mogę przyjechać do ciebie? Wolałbym porozmawiać twarzą w twarz... Ela, przyjadę i tak, bo zależy mi na tobie. Wiem, że nie widzisz i nie ma to dla mnie znaczenia. Sama przywiązujesz do tego wagę... Tak, będę ciebie sam za jakieś trzydzieści minut. Cześć!

- Tylko jej nie całuj - mówię.

- Jak trzeba będzie...

Chociaż niech ją nawet przeleci, co mi tam. Bylebym znowu mogła ją ubierać.

Wrócił po dwóch godzinach.

- W poniedziałek masz iść do niej na dziesiątą. We wtorek jest nagranie i ona nie ma pojęcia jak zdążyć się przygotować.

- Czyli dała się przekonać? - nie mogę uwierzyć.

- Jestem przekonujący - jego język ląduje na moim karku. - A pamiętasz co mi obiecałaś?

- Pamiętam - szlag by to trafił. - Pójdę do twoich rodziców na twoją własną odpowiedzialność. Obiecałam ci to. Ale to nie oznacza automatycznie, że weźmiemy ślub.

Wznosi oczy ku niebu. Ale mi ulżyło. Co on jej takiego powiedział? Przepraszał, tłumaczył, pieprzył? Wszystko jedno zresztą.

MARIA

- Jesteś tam?

Milczę do słuchawki. Gdzie mam być?

- Marysiu, porozmawiaj ze mną...

- Słucham cię, Włodzimierz.

Czy ja go kocham czy nienawidzę?

- Może się spotkamy, żeby porozmawiać?

Nie wiem, czy byłabym w stanie znieść takie spotkanie.

- O czym chcesz rozmawiać? Bo jeśli o swojej miłości do Aliny, to nie mam ochoty tego słuchać.

- Może jednak zechcesz mnie wysłuchać - nie ustępuje.

- To może się zdecyduj, czy to ma być twój monolog czy rozmowa. Bo jeśli to pierwsze, to mów co masz do powiedzenia, jeśli chcesz rozmawiać, muszę się zastanowić czy chcę cię widzieć.

- Marysiu, to było lata temu...

- To po co to rozgrzebywać? Czego chcesz?

- Może właśnie jest czas, żeby to spokojnie wyjaśnić?

- Ale co mi chcesz wyjaśnić, dlaczego mnie zdradzałeś z moją przyjaciółką? Dlaczego odszedłeś do jeszcze innej kobiety?

- Marysiu, ona przecież nie żyje...

- Żyje, mówiłam ci.

- Marysiu...

Marysiu, Marysiu, Marysiu. O co mu chodzi? Po co mu teraz moje przebaczenie? Przez lata nie wiedziałam, że mnie z nią zdradzał, a teraz nagle chce to roztrząsać? A może chodzi o publikację? Dowiedział się jakimś cudem i chce zablokować wydrukowanie książki? Mało możliwe. Nagle olśniewa mnie. Malina mu powiedziała, że chce wrócić na antenę. Boi się co zrobię na wizji.

- Dobrze, możemy porozmawiać. Kiedy i gdzie?

- Nawet teraz, mogę przyjechać do ciebie.

- To czekam - odkładam słuchawkę.

Ogarniam trochę mieszkanie. Patrzę na siebie w lustrze. Nie wróci do mnie. Wiem. Zmieniam jednak dresy na normalne spodnie i sweter. Przeczesałam włosy też nie zaszkodzi. Po piętnastu minutach dzwoni. Musi być bardzo zdeterminowany. Rzeczywiście, wygląda na zdenerwowanego.

- Siadaj - odgarniam kartki maszynopisu z kanapy. Specjalnie je tam zostawiłam, żeby zobaczyć, że coś robię oprócz pisania artykułów do tabloidu.

- Jak tam Zosia? - pytam.

- Kasia - poprawia okulary. - Dziękuję, wszystko w porządku.

Jak mu się córka urodziła, myślałam, że umrę z bólu. Ryczałam na grobie Aliny, ostatnia kretyńska, idiotka do kwadratu. Wyżalałam się nieznanym zwłokom, podczas gdy moja „przyjaciółka” nie tylko miała z nim wcześniej romans, ale żyła sobie gdzieś zadowolona z siebie z dala od tornado, jakie wywołała.

- Czego więc chcesz? - może przejdziemy do sedna.

- Dlaczego to robisz?

- Co? - naprawdę nie rozumiem.

- Powiedziałas mi, że Alina żyje. Wiem, że nawiązałaś kontakt z jej rodziną. Po co to robisz?

- Bo ona żyje.

- Czy możemy porozmawiać szczerze? Po co się upierasz przy tym absurdzie?

- Nie wiem o co ci chodzi - tracę cierpliwość. - Mówiłeś, że chcesz mi wyjaśnić, dlaczego się pieprzyliście za moimi plecami. Albo dlaczego cię nie chciała. Albo dlaczego zostawiłeś mnie dla swojej blondynki. Tymczasem wyjeżdżasz mi z czymś zupełnie innym.

- Już ci mówiłem, że kochałem ją. Chciałem to załatwić uczciwie, ale ona się wycofała.

- Uczciwie? Czy ty wiesz, co to znaczy?

- Chciałem, żeby powiedziała mężowi o nas, żebyśmy powiedzieli tobie...

- Nigdy by tego nie zrobiła - przerywam mu. - Ona nikogo nie kochała. Ani rodziny, ani ciebie.

- Nieprawda...

- Prawda. To najzimniejsza suka, jaka chodzi po tej ziemi.

- Marysiu, ona nie żyje! Umarłym się przebacza.

- Ile razy mam ci tłumaczyć, że ona żyje? Tępy jesteś?

Muszę wstać i pójść do kuchni. Nie mogę uderzyć pięścią w ścianę ani niczego podrzeć. Nie chcę, żeby widział, że jestem całkiem wytrącona z równowagi.

Staje w progu kuchni. Po co ja się zgadzałam, żeby przyszedł?

- Chciałem cię prosić, żebyś przestała nękać ich rodzinę. Możesz winić mnie, ale przestań się upierać, że ona żyje. W końcu zaczną w to wierzyć i będą straszne szkody...

Patrzę wrogo. Zdaję sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze, jak bardzo go

kochałam, a po drugie jak bardzo go teraz nienawidzę.

- Co ona ma takiego, czego nie miałam ja? Chodzi o urodę? Jest piękna, a ja...

- Nie chodziło o to. Przynajmniej nie tylko o to. Byliśmy dobrym małżeństwem. Rozumieliśmy się, mieliśmy wspólny zawód, pasję. Jesteś piekielnie inteligentną kobietą, wspaniałą dziennikarką. Marnujesz się w tym szmatławcu...

- Jeśli chciałeś mi powiedzieć, że się zdegradowałam zawodowo, to świetnie sama to wiem.

- Niszczyłaś ludzi i wreszcie padło na ciebie.

- To był złodziej!

- Ale strzelił sobie w łeb...

- Wynoś się!

- Jezu, przepraszam, nie chciałem do tego wracać...

- To czego ode mnie chcesz?

- Marysiu, proszę cię. Zostaw to w spokoju. Zdawało ci się, że widziałaś Alinę. To się zdarza. Na początku ci uwierzyłem, ale jestem przekonany, że coś ci się pomyliło.

- Nic mi się nie pomyliło.

- To była masakra. Zmiażdżone ciała...

- To nie było ciało Aliny.

- Boże, skąd wiesz? Tyle lat był spokój...

- Sprawdziłam to.

- Jak? Otworzyłaś grób?

- Rozmawiałam z detektywami, Zbyszkiem...

- Popadasz w obłąd. Mam wrażenie, że sam to sprowokowałem po tamtej wizycie w kościele. Czuję się winny. Przyszedłem, żeby to skończyć...

- Zbyszek zidentyfikował jakieś szczątki, na które nie mógł nawet patrzeć, zasłabł. Przy ciele znaleziono jej dowód osobisty. To mu wystarczyło.

- To jego wrażenie, może wyparł potworny widok ze świadomości.

- Nie, mam dowód, z którym nawet ty musisz się pogodzić.

- Mianowicie? - wygląda na zdeorientowanego.

- Dzień po swojej śmierci podjęła pieniądze z banku.

- Skąd to wiesz?

- Jestem cholernie dobrą dziennikarką, jak uprzejmy byłeś zauważyć.

- To nie jest dowód. Może córka podjęła pieniądze używając jej karty. Przecież nie zgłosili, że coś z kontem jest nie w porządku.

Czyli, że on też rozpytywał tu i tam.

- Nie zamierzam cię przekonywać. Nie wierzysz, twoja sprawa. Może już pójdziesz?

- Dobrze, załóżmy, że ona żyje. To, co upoważnia cię do tego, żeby zniszczyć życie jej najbliższych?

- Na początku chciałam ją znaleźć i zapytać, dlaczego upozorowała własną śmierć. Może nawet myślałam, że zrobię taki program i wrócę do gry. To dobry temat - osoby, które uciekły od rodziny, dlaczego, co zyskały itd. A potem powiedziałeś mi o was...

- I od tego momentu dyszysz zemstą?

- Owszem. Nikt nie lubi czuć się śmiesznie. A ja się tak właśnie poczułam po twoim wyznaniu. Lepiej z każdą, byle nie ze mną, co?

- To nie tak...

- A jak? Nie chciała cię, jak powiadasz, dwa razy i w końcu trafiła się blondyna...

- Nie mów tak o niej.

- Będę mówiła jak mi się podoba. Jestem u siebie. Możesz wyjść, jak ci nie odpowiada treść rozmowy. I nie broń Aliny, bo oszukała wszystkich, nawet ciebie. Może przede wszystkim ciebie. Kochanek z bożej łaski...

- Co zamierzasz? Zrobisz o tym program i podasz nazwiska?

- Lepiej, zrobię program, a jednocześnie ukaże się książka.

- Jak rozumiem, opisałeś też nasz romans...

- Jestem dziennikarką, nie przepuszczam takich okazji...

- Gdybym wtedy nie pozwolił jej odejść, wychowywałbym nie swoje dziecko, ale to nie miałyby znaczenia... Nie byłoby tego, co teraz próbujesz zrobić.

Wiadomość dociera do mnie to powoli, z całą przerażającą prawdą. Jak mogłam być taka ślepa? Tyle lat Alina przychodziła do mnie z tą dziewczuchą, a ja jej instynktownie nienawidziłam. Nie mogłam zrozumieć dlaczego czuję do niej taką niechęć. Ma zły charakter, tłumaczyłam sobie, paskudne, wredne dziewczuszyko. Po kim? Po Alinie pewnie, bo Zbyszek przecież to spokojny i miły nudziarz...

- Wychowywałbyś swoje dziecko. Urodziła twoją córkę.

- Marysiu...

- Jesteś ślepy i głupi. Ja też taka byłam. Przestań jej bronić. Oszukała cię wiele razy, nawet nie powiedziała ci, że ma z tobą dziecko.

- Marysiu proszę po raz ostatni...

- Zbadaj to. Będziesz miał pewność, że zwariowałam. Albo zyskasz córeczkę, miłą i słodką...

Wypycham go bezwolnego za drzwi. Może myśli, że jestem wariatką. Boże, jak ja tej kobiety nienawidzę. Jak ona mogła? Czego jeszcze się dowiem?

To był fatalny pomysł z tą wizytą u rodziców Piotra. Mówiłam mu to od początku, ale nie chciał słuchać. W dodatku nie mogłam się już od tego wykręcić. Próbowałam najpierw po dobroci, potem uparłam się, że mimo wszystko nie idę. Wreszcie dałam za wygraną i zaczęłam się zastanawiać, w co się ubiorę. Może narobić poecie obciachu i włożyć koronkową bluzkę, spod której będzie widać biustonosz? Pomyślą, że jestem jakąś podejrzaną panienką i darują sobie kolejne spotkania. A jeśli zaczną namawiać Piotra, żeby się mnie pozbył i on ulegnie, to co będzie dalej? Jeszcze nie jestem pewna, jak pokieruję swoim życiem i czy chcę, żeby on w nim był, czy nie. Może przebrać się za grzeczną panienkę i udawać świętą? Tylko, że wtedy zaczną marudzić na temat ślubu i dzieci. Przez kilka dni przymierzam różne ciuchy. Czekam aż poeta zacznie mówić coś w stylu: „tylko nie wkładaj dzinsów, bo tata tego nie znosi”, albo: „ta spódnica jest stanowczo za krótka, mama dostanie zawału”, ale nic nie mówi. W końcu decyduję się na szary, klasyczny kostium, ale pod spodem mam czarną bluzkę i wkładam buty na wysokim obcasie.

- Naprawdę muszę tam iść? - nudzę po raz setny.

- Naprawdę - Piotr jest bardzo zadowolony. Sam idzie w dzinsach i swetrze, który mu kupiłam w przypiływie niejasnych dla mnie uczuć.

LENA

- Nie pasujemy do siebie - omiatam spojrzeniem mój i jego strój.

- Ja uważam, że wręcz przeciwnie - mówi zadowolony. - Rodzice nie znają się na ciuchach, a siostra będzie zwracała uwagę na ciebie. Wie, że ja nie bardzo się na tym znam.

Godzinę później stoimy przed bramą bliźniaka w podwarszawskiej Zielonce. Ja trzymam w ręku kwiaty, Piotr kosz z owocami, które lubi jego mama. Nie wiem, czy uciekać, czy spróbować wpasować się w konwencję. Mimo wszystko trochę się denerwuję.

Mama Piotra okazuje się bardzo sympatyczna. Nie ma ani trochę pretensji do bycia elegancką osobą. Ma na sobie „garsonkę” i żorzetową bluzkę. Kostium jest w ciapki, a bluzka w paseczki. Na głowie ma polakierowane loki, zero makijażu. Miły, ciepły głos. Piotra obejmuje, ze mną się wita przez podanie ręki, przedstawia imieniem i nazwiskiem. Podoba mi się to, że nie rzuca się na mnie z ustami. W dodatku nie muszę zdejmować butów. To pozytywne zaskoczenie. Buty są dopełnieniem stroju. Osoba dobrze ubrana, ale w kapciach, wygląda jak wypłosz.

Przychodzi tata Piotra. Poeta jest podobny do ojca. To samo chmurne spojrzenie, lekko rozczochrane włosy, ale u ojca siwiejące. Błękitne oczy. Rękę ma suchą i ciepłą. Piotra klepie po plecach. Widać, że są ze sobą bardzo życzliwi, a jednocześnie nie terroryzują się telefonami, wizytami i wtrącaniem się w każdą decyzję. U mnie w domu było zupełnie inaczej. Jak bym miała przedstawiać mojej matce Piotra, uciekłabym gdzie pieprz rośnie.

Siostra jest naprawdę dobrze ubrana. Ma fajną sukienkę i kryjące rajstopy. Na nogach baleriny, ale pasują jej. Widać, że wyłaziła ze skóry, żeby mnie poznać.

- Już od dawna chcieliśmy cię poznać... - zaczyna bez wstępów.

- Majka, nie zaczynaj - mówi Piotr.

- Ja się cieszę, że mogę państwa poznać - głos mi trochę chrypi.

- Gdzie się poznaliście? - pytanie pada, zanim na stół podana zostaje zupa.

- Mamo, prosiłem... - mówi Piotr. A więc jednak uprzedził ich co i jak. A takie to miało być naturalne...

- Przecież to normalne pytanie - przejmuję inicjatywę. - Można powiedzieć, że w pracy. Jestem asystentką Elżbiety, z którą Piotr występuje w programach o poezji.

Jestem przekonana, że oglądają każdy odcinek.

- Piotr mówił, że dbasz o jej wizerunek - nie wytrzymuje siostra. - Super się ubiera.

- Dziękuję - mówię.

Rozmowa na chwilę „siada”.

- Jak wpadła na to, żeby zatrudnić stylistkę? - znów siostra.

- To wyszło zupełnie przypadkiem - mówię starając się zgrabnie jeść pomidorówkę. Nie lubię zup. - Najpierw pomagałam jej w przepisywaniu wierszy, czytałam książki, wychodziłyśmy na spacer. A kwestia ubrań pojawiła się sama przy okazji programów telewizyjnych.

- Te jej sukienki to istne cuda. Jak dobierasz dodatki, biżuterię?

- Majka! - mityguje ją Piotr.

- Daj spokój - uśmiecham się po raz pierwszy. - Stylizowanie to moja pasja - wyjaśniam. Myślałam, że to będzie mój zawód, ale stało się inaczej.

- No tak - ona na to. - Ubierasz dziewczynę, która nie może tego ocenić.

- Majka!

- Daj spokój - powtarzam Piotrowi. - Wiesz, że nie mam z tym problemów. - Czytam na głos opinie internautów. Musi jej wystarczyć - Mówię do jego siostry.

- A wiersze też piszesz? - tym razem mama.

- Nie, niestety. Wystarczy mi, że czytam wiersze Piotra i Eli.

Jest całkiem sympatycznie. Nie wiem, czemu się tak broniłam.

- Mają państwo ładny dom - mówię rozglądając się wokół. Trochę starych mebli, oryginalne firanki.

- To Maja urządziła - mówi tata. Do tej pory milczał. - Niektóre meble są jeszcze po moich rodzicach, a niektóre kupowała na Kole.

A męża czemu nie ma? Wygląda na jakieś 35-37 lat.

- Może byś mi doradziła kiedyś przy ciuchach?

- Maju! - tym razem mama strofuje ją jak dziecko.

- Z przyjemnością - uśmiecham się. - Ale nie potrzebujesz stylistki. Świetnie wyglądasz.

- Od tygodnia myślę, co włożyć...

Piotr miał rację, że można polubić jego rodzinę. Ta siostra naprawdę fajna. Nie wygląda na rekinę korporacji. Na szczęście nie pytają o kwestię mieszkania. Przy kawie gawędzi się całkiem miło. Zostaję wypytana o rodzinę. Tłumaczę, że matka była lekarzem i od kilku lat nie żyje. Na szczęście nie pytają o szczegóły jej śmierci. O bracie opowiadam prawdę, że mieszka daleko, jest sporo starszy i nie kontaktujemy się ze sobą.

- Ja bym nie wytrzymała, gdyby Piotrek nie mieszkał blisko - mówi zdziwiona Maja.

- My nigdy nie byliśmy blisko. To dla mnie obcy człowiek.

Zaraz pomyślą, że będę odciągała ich chłopczyka od rodziny.

- A tata? - siostra chce mieć najwyraźniej obraz całościowy.

- Nie przedstawiłam mu Piotra. Opowiadałam tylko.

- Pytam, jaki jest - kontynuuje badanie Majka mimo piorunujących spojrzeń nie tylko ze strony Piotra, ale i jego rodziców.

- Zwyczajny. Pan w kapciach. Inżynier na emeryturze. Dużo czyta - sama nie wiem jaki jest ojciec.

- A może ty chcesz nas o coś zapytać? - mówi mama Piotra.

Wiem, kogo mi przypomina - Mamę Muminka. O co ja mogłabym ich zapytać?

- Jaki był Piotr jako dziecko? - to chyba dobre pytanie.

- Niejadek... - zaczyna mama.

- Uparciuch - mówi z czułością siostra.

- Dobrze się uczył i nie było z nim problemów - stwierdza stanowczo tata.

- Tylko do kobiet miał fatalny gust... - siostra patrzy na niego prowokująco.

- To mu zostało... - błyskam dowcipem.

Wszyscy śpieszą zaprzeczać. Piotr ciska pioruny oczami. W sumie jest śmiesznie.

- A jak się można do ciebie zwracać? - pyta Mama Muminka - Piotra. - Piotruś mówił, że tak dziwnie masz na imię...

- Mam na imię Marlena - mówię. - I nie lubię tego imienia. Moja mama lubiła kino. Chyba. Znajomi bardzo różnie do mnie mówią. Najczęściej Lenka, ale też Marysiu, Lena albo Leniu. Piotr mówi na mnie Lenina, bo to była taka pusta istotka, która zajmowała się wyłącznie ubraniami i sprawianiem sobie przyjemności.

Wszyscy się śmieją. Uznali mnie chyba za całkiem sympatyczną osobę. Może moglibyśmy już iść?

- Mnie rodzice nazwali Mają na cześć pszczołki Mai - mówi jego siostra.

- Sądzieli, że będziesz pracowitą osobą... - droczy się braciszek.

- A ja myślałem, że jesteś Rosjanką - dziwi się tata.

Kiedy już zbieramy się do wyjścia, w przedpokoju natykamy się na starszą panią.

- Pozwól Lenko - Mama Muminka-Piotra nie wychodzi z roli. - To jest Basia - moja daleka kuzynka, mieszka z nami. Zajmowała się Piotrusiem po urodzeniu, ponieważ ja bardzo chorowałam.

Kuzynka Basia patrzy na mnie jakby zobaczyła ducha. Stoi i wytrzeszcza oczy. Nie wiem o co chodzi. Mnie ona nie przypomina nikogo znanego. Zwykła, starsza pani.

- Ja znam tę panią, ale jestem pewna, że ta pani chciałaby zapomnieć o naszym spotkaniu.

Wariatka jakaś. Zupełnie jej nie kojarzę.

- Ciociu - mówi Piotr z naciskiem. - Bardzo cię proszę.

- Spotkałyśmy się kiedyś w redakcji „Twojego Dwidziusia” - mówi. - Moja przyjaciółka, która tam sprząta, złamała nogę. Zastępowałam ją i pani też tam wtedy była. Wieczorem i nie sama.

Rany gościa, ale numer. To ta sprzątaczką, która nakryła nas z Maciusiem. I co z tego, przecież to było zanim poznałam Piotra? Każdy ma jakąś przeszłość.

- Czy pani wie, że on ma żonę? - nie ustępuje.

Sytuacja jest niezręczna. Piotr wyprowadza mnie prawie siłą. Ciocia Basia jest gotowa się na mnie rzucić. Reszta stoi i nic nie rozumie. Jestem jednak pewna, że jak zamkną się za nami drzwi, ciocia opowie z detalami, co widziała na kanapie. Pewnie to był najbardziej ekscytujący wieczór w jej życiu.

Idziemy w milczeniu. Lepiej nic nie mówić. Zresztą, mam się tłumaczyć?

- O co tak dokładnie chodzi?

Wyjaśniam pomijając niektóre techniczne szczegóły.

- Czy znaliśmy się wtedy?

Żeby tylko nie zaczął tego drażnić.

- Nie.

- Wiedziałaś, że jest żonaty?

- Tak.

- Czy to ten sam, który wynajmował ci mieszkanie?

- Nie, inny...

- Wielu ich tam jeszcze masz w zanadrzu? - nie patrzy na mnie.

Nie odpowiadam.

- I wszyscy żonaci? - spodziewałam się tego pytania.

Co mam odpowiedzieć? Idziemy obok siebie w milczeniu. Przynajmniej wizyty u rodziny mamy na jakiś czas z głowy.

Jestem stremowana, kiedy Ela otwiera mi drzwi. Nie wiem jak to rozegrać, jak zwykle nie mam pojęcia co powiedzieć. Przepraszać, wyjaśniać, czy nic nie mówić i udawać, że Piotr już wszystko wyjaśnił? Na szczęście Ela przejmuje inicjatywę.

- Musimy porozmawiać o tym wszystkim, bo to będzie między nami się ciągnęło - zaczyna.

- Naturalnie - mamrocę. - Wiesz jak to jest. Najpierw się coś wydarza i sobie za

każdym razem obiecujesz, że jutro o tym powiedz i jakoś tak...

- Mijają dni i nic nie mówisz, a sytuacja się pogarsza - kończy kiwając głową.

- No tak właściwie... - bąkam bez sensu.

- Ja zareagowałam zbyt emocjonalnie - mówi. - Myślałam, że śmialiście się ze mnie.

- Absolutnie nie - zapewniam. - Mogę ci przysiąc, jeśli chcesz. Chodziło tylko o to, że mówiłaś mi wprost, że pragniesz Piotra, a mnie też zaczynało zależeć... Nie wiedziałam jak to rozegrać.

- Rozegrałaś to dobrze. Pozwoliłaś mu wybrać. Wycofałaś się. Jak przyjaciółka.

Przemyślałam to i doceniam.

Dzięki ci, Boże.

- Dziękuję ci.

- To ja dziękuję. Brakowało mi ciebie. Napisałam kilka wierszy na jakiejś kartce papieru, jak umiałam. Nie wiem czy da się odczytać.

- Na pewno da. Zaraz się zabiorę za przepisywanie. Zrobić ci kanapki, herbatę?

- Ja sama zrobiłam herbatę dla nas - uśmiecha się. - Mogę zadać ci jeszcze jedno pytanie?

- Pewnie - mówię, bo teraz to może mnie zapytać o wszystko.

- Kochasz go?

Pytanie zaskakuje mnie. Ślepella była do tej pory wcieleniem taktu. Zdarzało jej się zwierzyć mi się z relacji z matką, ojcem czy babcią, ale nie wymagała ode mnie odpowiedzi na podobne pytania. Zastanawiam się co jej odpowiedzieć. Może prawdę?

- Tak, kocham go. To pierwszy mężczyzna, którego kocham. Który nie chce wykorzystać mnie, a ja jego. I nie wiem co z tym zrobić.

- Jak to nie wiesz?

- O uczuciach to ja zwykle czytam w prasie kolorowej. Zawsze byłam przekonana, że te wszystkie deklaracje o miłości biorą się z chęci większej sprzedaży płyt i książek. Miałam wielu mężczyzn i nie czułam nic poza lekkim podnieceniem. Nie miałam skrupułów. Romansowałam z żonatymi... A teraz sama czuję, że kocham. I jestem jak w potrzasku.

- Zupełnie nie rozumiem. Po co tak komplikować?

- Mogłabym mówić o trudnym domu, zimnej matce, ale nigdy nie stosowałam takich usprawiedliwień. Ja się po prostu boję, że stracę kontrolę, zaufam mu, a potem to się skończy.

- Tak jest w życiu - mówi filozoficznie poetka.

- Nie w moim - upieram się.

- To odpowiedzialny i dobry człowiek - upiera się z kolei ona.

- Wiem o tym. Tyle, że to wy wydajecie się dla siebie stworzeni. Jesteście poetami, przeczytaliście w życiu mnóstwo książek, esejów. Dyskutujecie sobie o pisarzach i filozofach, a ja zawsze kombinowałam, jak przetrwać, nie dać się emocjom, spaść na cztery łapy. To nie tak, że ja nic nie czytam i nic nie wiem, ale na dłuższą metę co ja mogę mu dać?

- On chce tylko ciebie. Uwierz, wyciągnie to, co będzie mu potrzebne.

- A jak nie wyjdzie?

- To razem będziemy sobie płakać w rękawy...

Rozsądna propozycja. Pochylam się nad kartką z wierszami.

Początkowo przepisuję linijki na komputer i nic specjalnie nie zwraca mojej uwagi. W końcu przyglądam się tekstowi jeszcze raz. Linijki są dość równe, litery miejscami wychodzą poza linię, ale nie wygląda to nijak na napisane przez osobę niewidomą.

- Ela? - nie wiem jak o to zapytać.

- Tak Lenko? - odpowiada z uśmiechem. Siedzi na fotelu, wyprostowana jak struna i je kanapki z miodem.

- Czy ty...?

- Czy co ja? - ten sam uśmiech. Przechyliła głowę i patrzy prosto na mnie. Zawsze wyglądała, jakby widziała, żadnego zezą, przewracania oczami. Ale teraz wygląda jakby oceniała moją fryzurę.

- Czy ty odzyskałaś wzrok? - pytam na przydechu.

- No, tak dobrze to nie - śmieje się. - Ale zaczęłam trochę widzieć. Bałam się, że nie zauważysz.

- Ale jak...?

- Ja bym powiedziała, że to szok i stres. Najpierw był ten program i koszmar jaki tam przeżyłam, potem w tej restauracji...

No tak, miała wtedy nienajlepszy dzień.

- Kiedy wróciłam do domu, tłukłam pięściami w ściany. Krzyczałam coś, miotałam się. W końcu pomyślałam, że powinnam się uspokoić, bo widzę przed oczami jakąś białą poświatę. I to pewnie z tej złości. Usiadłam i zaczęłam miarowo oddychać. I patrzeć przed siebie. I zaczęło się. W jednym oku, taki pasek w środku, najpierw kontury, potem bardzo słabe kształty, nawet kolory.

- Elu, to jakiś cud...

- Coś w tym stylu. Może zaraz cud nie, bo byłam u okulisty z babcią, ale lekarz był porządnie zaskoczony. Notabene babcia uważa, że to twoja zasługa i będzie chciała ci podziękować.

- No, nie moja...

- W jakimś sensie twoja, a, że babcia cię nie lubiła, to dobry pretekst, żeby być w końcu spokoj.

- Elu, nie gniewaj się, ale czy to na stałe?

- Od razu o to zapytałam. Rozczarowanie, gdyby to znikło, byłoby dla mnie bardzo bolesne. Lekarz twierdzi, że tak. Że nie ma powodu myśleć, że widzenie zniknie. Nie dawał tylko nadziei, że coś takiego zrobi się w drugim oku. Ale to, że widzę kawałek świata, jest dla mnie czymś niewiarygodnym.

Wyobrażam sobie. Naprawdę się cieszę. Jezu, kto jak kto, ale ona zasługuje na to, żeby pożyć jak normalny człowiek.

- I jesteś bardzo piękna - dodaje. - W życiu bym cię nie wzięła do pracy, jakbym cię widziała.

Formy też nie straciła, jak widzę.

- A widziałaś siebie w lustrze? Jaką jesteś laską? - pytam.

- Niewątpliwie dobrze ubraną... - śmieje się. - Mówił ci Piotr, że od jutra zaczynamy nagrania półfinału i finału? Nawet jak widzę, to nie jestem w stanie się tak dobrze ubrać.

Ale numer. Przez resztę dnia buszujemy w szafie. Pokazuję jej wszystkie ciuchy, które dla niej kupiłam albo uszyłam, tłumaczę co nosiła i w którym programie, jakie były komentarze itd.

- Naprawdę masz do tego oko - stwierdza z podziwem.

- E tam - mówię. - Kwestia wprawy. Poza tym nie umiem nic innego.

- Przemyślałam wszystko, wiesz? - mówi nagle. Siada trzymając w ręku kobaltową spódnice z Zary.

- To znaczy co?

- Wiesz, to częściowe odzyskanie wzroku jest jak znak. Po tylu latach. Tak sobie pomyślałam, że może to miało się stać dokładnie w takim momencie?

- No, nie mogłaś przewidzieć tego, co spotkało cię w studio, a potem w barze.

- Nie o to chodzi, zupełnie nie - przecząco kiwa głową. - Tak sobie myślałam ostatnio, że i ty nie masz matki, a nikogo nie obwiniasz za jej śmierć.

Niezupełnie, obwiniam trochę siebie, ale zepchnęłam to głęboko do podświadomości i mam nadzieję że nigdy z niej nie wylezie.

- Nie miałam kogo obwiniać - mówię. - Zresztą upływający czas wiele zmienia.

- Ja byłam pełna jadu i żalu. Nie mogłam się z nią dogadać. Byłam zbuntowana, przysparzałam jej samych kłopotów.

- Jakich ty kłopotów mogłaś przysparzać matce? - dziwię się.

- Nie zawsze byłam taką wzorową uczennicą. W szkole średniej uzależniłam się od środków przeciwbólowych. Kradłam jej recepty i wypisywałam sobie. Potem brałam garściami. Nakryła mnie na tym i powiedziała, co o mnie myśli.

- A ty?

- Że jej nienawidzę i to przez nią. Nie miała dla mnie czasu, ciągle dyżury, praca naukowa. Wychowała mnie babcia.

- To dlaczego z nią też miałaś na pieńku?

- Zbyt długo traktowała mnie jak kartę przetargową w rozgrywkach z mamą. Czułam się jak przedmiot.

- A ojciec? Naprawdę go obwiniasz?

- Załamał się po jej śmierci. Sam się obwinał. Gdyby wtedy nie pił... A ja chciałam, żeby się otrząsnął, zaczął wreszcie wychodzić z jej cienia. Zaczął żyć. Miałam za złe, że jest takim mięczakiem. Myślałam, że w ten sposób obudzę go do działania.

- To nie działa - mówię. - Ja to wiem.

- Przynajmniej próbowałam coś zrobić...

Zamyśla się.

- Wiesz - kontynuuje - do czego zmierzam? Tyle rozmawialiśmy na ten temat. O tym czyja to wina, o moim wzroku. Zaczęłam wreszcie myśleć inaczej.

- Przebaczać?

- Przestałam oskarżać. Przez te kilka dni, kiedy ciebie nie było i bałam się, że nie będziemy już dalej pracować, zatęskniłam za babcią. Ale nie taką, co mi gotuje, tylko tą dawną. Zadzwoniłam do ojca. Prosiłam go o spotkanie. Płakał. Jak przyjechał, to oboje płakaliśmy. Pogodził się z babcią. No, może nie tak z kwiatami i katharsis, ale zrobili jakiś pierwszy krok. Nie mówiłam im na początku, że zaczęłam widzieć.

- Ale powiedziałaś?

- Ostrożnie, bo babcia dostałaby zawału, albo ojciec, albo jedno i drugie. Ojciec stwierdził, że ta nienawiść uciskała mi tyle czasu mózg. Patetyczne to i jakieś dziecinne, ale kto wie, może coś w tym jest?

I zrobiłam coś, czego po sobie bym się nie spodziewała. Podeszłam i objęłam ją. Potem pogłaskałam po głowie jak młodszą siostrę. Może ten świat to nie całkiem jeden wielki syf?

- Chciałabym pojechać na grób matki - mówi. - Muszę powiedzieć jej, że przepraszam, proszę ją o wybaczenie i pozwolić jej wreszcie odejść. Poszłabyś ze mną?

- Naturalnie - jakbym była wzruszona, czy co. - Kiedy tylko zechcesz.

- A teraz wyjmuj te ciuchy, które mam włożyć do programu, bo nie dam sobie rady z tym sama.

Trzęsą mi się ręce. Może i ja bym poszła na grób matki i przebaczyła. Tylko czy sobie, czy jej? Może lepiej tego nie ruszać.

ALINA

Jestem chora ze strachu. Tyle lat minęło odkąd zniknęłam i wszystko dobrze się układało. Nawet bardzo dobrze, aż zjawiała się Maryśka. Dlaczego musiałam spotkać ją na ulicy? Jaki ciąg wydarzeń mogła uruchomić? Co zrobiła, żeby mnie znaleźć? Co jeszcze zamierza zrobić? I, żeby tylko Maryśka... Jak mogło się zdarzyć, że moja córka przyszła do baru? Kolejny przypadek? A jeśli nie udało się skutecznie jej pozbyć, to co? Wróci znów i zechce poznać panią Krysę od pierogów i pasztetu? I co ja wtedy zrobię? Moja śmierć wszystkim wyszła na dobre. Pochowali mnie, a ja pochowałam siebie. Zawsze miałam szczęście, a teraz, przez jakiś figiel losu będę musiała zapłacić za wszystko, co się stało. Dlaczego nie mogę w spokoju pokutować w tym barze, na spuchniętych nogach stać przy garach i nie mieć żadnego dostępu do szpitala i leczenia? Komu to przeszkadza?

Za dużo pytań zadaję i nie ma komu ya nie odpowiedzieć. Byłam bardzo złą matką. Takie osoby jak ja nie powinny w ogóle mieć dzieci. Przy synu wmawiałam sobie, że nie jestem matką, która „zagarnie” dziecko dla siebie. Nie wychowam kolejnego bezwolnego Edypa, myślałam sobie, który do czterdziestki będzie na moim utrzymaniu. Mój syn będzie samodzielny, nie będzie trzymał się mojej spódnicy. Zostanę nowoczesną rodzicielką, a nie jakąś owładniętą hormonami mamuszką, która rozprawia tylko o „kupie i zupie”. Prawda była inna. Nie umiałam nawiązać z synem żadnego kontaktu. Wzięłam tylko urlop macierzyński, o wychowawczym nawet nie chciałam słyszeć.

- Zostań z nim w domu - prosił Zbyszek. - Przecież on cię potrzebuje.

- Co może wiedzieć takie małe dziecko - upierałam się. - A ty nie zarobisz na rodzinę.

Byliśmy chyba pierwszą rodziną w kraju, gdzie mężczyzna wziął urlop tacierzyński, żeby wychowywać dziecko. Teraz to standard. Bywa, że kobieta dobrze zarabia, a mężczyzna nie ma akurat co robić. Idealna sytuacja. Zostaje w domu i wychowuje dziecko. Zbyszek także pasował do tej roli. Przez trzy lata spełniał rolę ojca i matki. Ja zarabiałam na dom i robiłam karierę. I miałam kochanków. Z synem przestałam mieć kontakt już w szkole podstawowej. Nie miałam pojęcia, kim są jego koledzy, z jakich domów pochodzą. Wtedy nie było problemu narkotyków, niebezpieczeństw czyhających na dzieci pozbawione opieki rodziców. Wszystkie dzieci biegały z kluczami na szyjach, czekając aż rodzice wrócą z pracy. Mój syn miał dom, w którym zawsze był ojciec, kiedy on kończył lekcje. Ja wracałam późnym wieczorem, a w soboty i niedziele starałam się, żebyśmy mieli jakieś plany związane z wyjściem. Siedzenie w domu mnie męczyło. Czułam, że im przeszkadzam, nie pasuję do ich świata.

- Nie żal ci? - pytały koleżanki z pracy.

- Oczywiście - mówiłam nieszczerze. - Ale ktoś musi pracować.

Sugerowałam nawet, że to przez działalność opozycyjną. Wtedy wszyscy się odczepili. Mąż-solidarnościowiec. Na pewno nie ma pracy przez system. Dzielna żona pracuje. Ale i tak niewiele mnie obchodziło, co myślą inni. Czasem zastanawiałam się nad tym, czy przybiegający do męża syn z lekcjami i rozbitym kolaniem to normalny widok. Ale kiedy pytałam siebie, czy mi to przeszkadza, sama odpowiadałam sobie, że wcale. Z córką miało być inaczej. Po pierwsze była „dzieckiem miłości”, a to pewnie w kobiecie wyzwala wyrzut dodatkowych hormonów, po drugie była dziewczynką.

- A z dziewczynkami jest inaczej jak z chłopcami, zobaczysz - kiwały głową koleżanki, matki córek.

- Jak inaczej? - pytałam.

- To takie małe różowe księżniczki - odpowiadały. - Będzie się stroiła, czesała i we wszystkim podglądała swoją mamę.

Poród był koszmarem. Coś było nie tak od samego początku. Skurcze nie przekładały się na rozwarcie, nie mogłam oddychać z bólu. W dodatku rodziłam nie w szpitalu, w którym pracowałam. Nie chciałam, żeby koledzy widzieli mnie bez majtek rozciągniętą na stole do rodzenia. Byłam prawie anonimowa. Owszem, położne i lekarz wiedziały, że też jestem lekarzem, ale poza uwagami, że najgorszymi położnicami są lekarze, niewiele mi pomagali.

- Dalej, kochaniutka, postaraj się - mówiła położna.

Miałam ochotę ją kopnąć w tę głupią uśmiechniętą twarz. Co miałam zrobić? Wreszcie zażądałam cięcia. Nie chciała nawet zawołać doktora. Wywrzeszczałam, że jeśli natychmiast mnie nie rozwiążą, to poświęcę resztę życia na to, żeby nie miała pracy i co jeść. Poszła wreszcie po jakąś panienkę, która przestraszona powiedziała mi, że pan profesor będzie miał pretensje.

- Ja będę miała pretensje, jeśli natychmiast mnie nie zoperujecie! - wycedziłam podczas skurczu.

Zrobili to w ostatniej chwili. W znieczuleniu ogólnym, bo nie było czasu na zrobienie zewnątrzoponowego. Pan profesor wrzeszczał na położną i tę głupią dziewczuchę, która miała być lekarzem, że za późno, że teraz tylko ratują matkę. Matkę, czyli i mnie. Dziecko umarło, myślałam z obojętnością. Może tak ma być. Jak się zbudziłam, to przynieśli mi tobolek z którego wystawała pomarszczona buzia. Deja vu. Takim samym tobolekiem był mój syn. A teraz miałam jeszcze córkę. Urodzoną zaledwie na trzy punkty w skali Apgar.

- Ale po minucie miała dziesięć - powiedziała pielęgniarka, która przynosiła dziecko

do karmienia i kąpania.

Nie wiem, czy to z powodu niedotlenienia okołoporodowego, czy innego, dziecko przez pierwsze dwa lata swojego życia prawie cały czas płakało. I nic nie pomagało, ani branie na ręce, ani przytulanie, ani śpiewanie, nic. Milkła tylko podczas spania. Koszmar. Zemsta za to, że wzięła się ze zdrady. Tym razem Zbyszek nie chciał wziąć wolnego z pracy. Zatrudnili go w instytucie naukowym i robił jakieś badania. Czuł się potrzebny.

- Twoja kolej - mówił. - Jak to nie chcesz urlopu wychowawczego, przecież to córka, nasza dziewczynka?

- Zwariuję - powtarzałam. - Nie mogę jej uspokoić, nie mogę słuchać tego płaczu.

Moja matka zgodziła się odejść na wcześniejszą emeryturę i zająć się małą. Byłam jej za to wdzięczna, chociaż natychmiast zawładnęła wnuczką. Została babcią dekady. Mała uspokajała się tylko przy niej, zaczęła jeść i w końcu całkiem przestała płakać. Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą. Matka przeprowadziła się do nas i wkrótce zaczęła organizować nam życie. Gwóźdź do trumny każdego małżeństwa. Ale nie do końca tak było. Zbyszek ją lubił i szanował. Był wdzięczny, że zajęła się dzieckiem. Ona uważała go za fujarę, ale doceniała, że jest dobrym człowiekiem. A ja... A ja mogłam znów robić co mi się podoba. I znów córka, podobnie jak syn biegała z każdym problemem do babci albo taty. Mnie nie było. Byłam albo na konferencji, albo na dyżurze, albo w gabinecie. Po ostatnich wydarzeniach nie miałam żadnego romansu. Jakbym się wypaliła w środku. Może to było przez ciężki poród. Nie wiem. Z Włodkiem nie spotykałam się sam na sam. Mała rosła, na szczęście podobna do mnie, a nie do swojego ojca. Włodek odnosił się do niej z rezerwą. Musiało mu być bardzo ciężko patrzeć na dziecko, przez które z nim zerwałam. Z drugiej strony musiał udawać, że wszystko jest w porządku. Przecież nasze rodziny przyjaźniły się. Oni nie mieli dzieci. Nigdy nie zapytałam Maryśki, czy nie chcieli, czy może nie mogli. Mijały lata i życie zatoczyło koło. Córka była mi jeszcze bardziej obca niż wcześniej syn. Może małżeństwo od dawna było papierowe. Matkę w końcu poprosiłam, żeby się wyprowadziła. Była awantura, łzy, szloch, zarzucanie czarnej niewdzięczności, ale w końcu wróciła do swojego mieszkania. Od czasu do czasu starałam się utrzymać z córką jakiś kontakt emocjonalny. Pozwalałam jej na przykład na wyjazd pod namiot, czego się nie spodziewała. Nie okazywała wdzięczności. Albo zabraniałam, żeby brała udział w szkolnym przedstawieniu, bo złe stopnie, złe zachowanie... Nie okazywała niechęci. Marzyłam, że ją sprowokuję, że zaczniemy rozmawiać. Raz jeden tylko stanęliśmy w obliczu konfrontacji. Złapałam ją na kradzieży recept. Przyciśnięta do muru powiedziała, że wypisuje sobie środki antykoncepcyjne.

- Ty... - powiedziała ze zdziwieniem. - Czy ty uprawiasz seks?

Miała wtedy 16 lat.

- Od dawna - odpowiedziała patrząc mi prosto w oczy.

Co się w takiej sytuacji robi? Wykład o świadomym macierzyństwie? Daje w twarz?

Na pierwsze było za późno, do drugiego nie miałam prawa. Szczególnie ja.

- Dlaczego kradłaś recepty?

- A miałam cię poprosić, żebyś mi zapisała?

- Tak - stwierdziłam. - Zrozumiałabym to.

- Nie sędzę - powiedziała zimno.

Miała miodowe oczy Włodka, dopiero w tamtej chwili zdałam sobie z tego sprawę, ale spojrzenie po mnie - zimne.

- Dlaczego tak mówisz?

- To jakiś żart? - zapytała.

- Co miałyby być żartem? - nie zrozumiałam.

- Że interesują cię moje sprawy.

- Możesz się zarazić wirusem HIV...

-...albo WZW, albo rzeżączką, wiem... Pilnuję się.

Wypisałam jej te tabletki. Miała rację. Co dwa miesiące wręczałam jej receptę. Myślałam, że to koniec problemów. Na dwa miesiące przed wypadkiem odkryłam, znów kradnie. Nie mogłam tylko wysledzić, jakie leki wypisuje. Może to środki antykoncepcyjne dla przyjaciółki, zakładając, że ma takową. Mam nadzieję, że nie była uzależniona od jakichś innych środków. W tym czasie znów wróciła sprawa z Włodkiem. Nie zrobiłam wiele, żeby wyjaśnić, co jest wypisywane na receptach, które córka mi kradnie. Kiedy uciekłam, nie miało to znaczenia. Nie obejrzałam się wstecz.

MARIA

Jestem chora z nienawiści. Jeśli ktoś twierdzi, że nienawiść to uczucie, które jest modyfikacją miłości - myli się. Nienawiść to nienawiść, a moja jest jak tornado. Mam nadzieję, że zniszczy tę, która zabrała mi wszystko. Przez lata udawała, że jej na mnie zależy. Jej jednej zwierzałam się, że w moim małżeństwie jest coś nie tak. Tylko jej powiedziałam, że Włodek nie okazuje mi uczuć, tylko respekt i szacunek. Ona jedna wiedziała jak boli mnie, kiedy nazywano go „Maryśkiem”. Myślałam, że chodzi o pracę. Miałam wrażenie, że czuje się niespełniony w reportażu. Na drugim planie, znany nielicznym. Pozostałym tylko z nazwiska. Zrobiłam wszystko, żeby znalazł się w telewizji. Stanie się rozpoznawalny, docenią go, racjonalizowałam sobie. Wtedy i między nami będzie dobrze. Byłam pewna, że się uda. Rozmawiałam z nią o tym. To prawda, że odradzała mi wszelkie interwencje, ale nie po przyjacielsku. Mówiła: „nie uda się i będzie miał pretensje do ciebie”. Nie wsparła, nie poradziła, żebym próbowała. Nie powiedziała: „walcz”. Znała go przecież i jako kochanka i jako „przyjaciółka” domu, wiedziała jaki jest. Może stanęła nawet przeciwko mnie, może, może, może...

Dzwoniłam do redakcji z zapytaniem, co z moją książką. Odesłano mnie do sekretariatu! Ale ja jestem cierpliwa. Dzwoniłam do skutku.

- Jaki numer miał nadesłany rękopis?

Cierpliwie podaję tytuł i swoje nazwisko. Nikt mi nie podał żadnego numeru. Panna wzdycha w słuchawkę.

- Proszę zadzwonić za godzinę, będę szukała.

- Wołałabym poczekać przy telefonie - stwierdzam stanowczo.

- Proszę bardzo...

Jestem pewna, że nie poszukałaby, gdybym nie czekała. Po kilku minutach szumu w tle, wreszcie odzywa się.

- Pani książka została przyjęta i zakwalifikowana do recenzji.

Do jakiej recenzji?

- Co to znaczy? - pytam lodowato zimnym tonem.

- Że jest w recenzji - tłumaczy ta idiotka.

- Rozumiem czym jest recenzja - w głosie mam nadal lód. Mówię wolno i stanowczo.

- Pytam tylko, kiedy recenzent napisze recenzję.

- Recenzentów jest dwóch. Muszą być dobre opinie z obu recenzji. Wtedy książkę czyta szef działu.

- Ile to trwa?

- Na recenzję są trzy miesiące.

- A jeśli wcześniej zdecyduję się wydrukować książkę w innym wydawnictwie?

- Byłabym zobowiązana o telefon w tej sprawie - odpowiada. - Recenzenci kosztują.

W kolejnej redakcji każe połączyć się z szefem działu reportażu.

- Nie ma - słyszę.

- Wiem, że jest - odpowiadam. - Proszę mnie połączyć. Bo chyba pani nie ma na myśli tego, że nie ma Ulki dla mnie?

Nie ma to jak pytać o szefa po imieniu i jeszcze je zdrabniać. Słyszę muzykę w słuchawce.

- Pani redaktor Klucińska jest na kolegium redakcyjnym. Być może omawiana jest kwestia pani propozycji wydawniczej. Radziłabym zadzwonić jutro.

- Kiedy skończy się to zebranie?

- Trudno powiedzieć. Bywa, że szefową siedzi po pracy i nie przyjmuje wtedy rozmów. Nawet od znajomych.

- Zadzwonię w takim razie jutro.

Jeśli powtórzyła jej tę „Ulkę”, to stoję na straconej pozycji. To działa od razu, albo wcale.

W kolejnej redakcji ostateczna porażka.

- Nie jesteśmy zainteresowani wydaniem pani propozycji „Gdzie jesteś teraz?”.

- Dlaczego? Czy mogę rozmawiać osobiście z redaktorem prowadzącym?

- Takie otrzymałam informacje i przekazuję.

- Ale ja panią proszę o przełączenie do osoby, która wydała tę decyzję.

- To decyzja ostateczna, podjęta na kolegium redakcyjnym. Miałam właśnie dzwonić do pani, gdyby mnie pani nie ubiegła. Życzę powodzenia na rynku wydawniczym.

Decyzja odmowna zapada także w kolejnych wydawnictwach. Jeszcze nie wszystko stracone, ale jestem załamana. Już nikt w tym mieście nie pamięta moich programów. A propos program, idzie mi opornie. Przydałby się jakiś sukces dla zachęty. Idealna byłaby informacja, że przyjmą książkę. Zostało tylko jedno wydawnictwo, ale za to najważniejsze. Gdybym wiedziała, że książka pójdzie do druku, scenariusz napisałby się sam. A tak, męczę i męczę i nie wychodzi nic spektakularnego. Kiedyś pisałam „od ręki”. Bez najmniejszych trudności. Co się ze mną stało? Czy straciłam pazur?

Całą noc siedziałam nad scenariuszem do programu. Rano jestem tak nieprzytomna, że dzwonię do redakcji i zgłaszam, że wezmę zwolnienie lekarskie. Kiedyś, kiedy chciałam w

spokoju popracować kilka dni, dzwoniłam do Aliny i od ręki wypisywała mi tydzień L4. Teraz mamy w redakcji wykupiony pakiet w jednej ze stołecznych sieciówek medycznych. Na szczęście, za pierwszym razem zgłasza się recepcjonistka i zapisuje mnie na następny dzień. Postanawiam potraktować to jak mały sukces i skupić się na napisaniu dobrego odcinka programu. Od tego naprawdę dużo zależy. Malina nie musi mi mjmr.

tego mówić, sama wiem. Szkic, który zrobiłam w nocy, mógłby przejść, ale w żaden sposób nie da się z tego zrobić oryginalnego programu. Sztampa, nuda i kalka. Może uda się zmodyfikować trochę początek. Założyłam, że od początku będzie mocne uderzenie, a potem napięcie wzrośnie. Czyli zaczynam od informacji, że część osób, które zgłaszane są jako zaginione, nie tylko żyje, ale ma się świetnie. „Takie osoby nie chcą być odnalezione” - mam powiedzieć dalej. - „Rodzina spłaca ich długi, zostaje z nieślubnymi dziećmi, boryka się z codziennością i piętnem porzuconych”. To jest dobre. Dalej musi iść jakiś konkret. Dam rodzinę, która wierzy, że ich ojciec, który wyszedł i nie wrócił, zginął potrącony przez pijanego kierowcę lub był świadkiem zbrodni i musiał umrzeć. Przedstawiam ich wersję. Potem wspominam, że ten ojciec był hazardzistą i zostawił rodzinie ogromne długi. Jest ciąg dalszy tej historii. Po przypadkowym aresztowaniu pięć lat po „zniknięciu”, za prowadzenie po alkoholu bez prawa jazdy, sprawa wydawała się rozwiązana. Tyle, że ten człowiek twierdzi, że nie zna swoich córek, a te nie rozpoznają go jako zaginionego ojca. Na badania genetyczne nie zgadzają się obie strony. To też będzie dobre. Pan zgodził się na wywiad tyłem do kamery. Znajomy psycholog wyjaśnia te mechanizmy. Mówi o „wyparciu”. Rodzina nie chce wierzyć, że oszukuje najbliższy człowiek, itd. Potem statystyki. Ilu zaginionych, jaki procent względnej pewności, że ludzie uciekli. Dyskusja w studio. Ale krótko, nie za dużo gadania. Dalej historia odwrotna. Znika brat, który zawsze miał na pieńku z rodziną. Znika po zmuszeniu matki, żeby sprzedała mieszkanie, a pieniądze przekazała mu na spłatę zaciągniętego kredytu. Ma żonę i dziecko, chce skończyć z niepewnym życiem. Nie dociera do banku. Wszyscy, łącznie z żoną są pewni, że pieniądze przepił lub żyje szczęśliwie gdzieś w Polsce. Tylko matka wierzy, że stało się coś złego. Czuje to matczynym sercem. Sprawa wyjaśnia się przypadkowo po czterech latach, kiedy oczyszczane jest jezioro na skraju miasteczka. Policja wyławia samochód, w nim zwłoki mężczyzny. Ma przy sobie całą sumę pieniędzy. Sekcja wykazuje zawał serca. Prawdopodobnie stracił przytomność i wjechał prosto do stawu. Jeśli były jakieś ślady na drodze, to nikt nie zwrócił na nie uwagi. Daję tu wypowiedź żony, która nie wierzyła w uczciwe zamiary męża, i matki, która oplakuje syna, ale dumna jest, że zginął jako uczciwy człowiek. Żona płacze i przeprosza męża w zaświatach. Dalej rozmowa z policjantem. Jaka jest szansa, że zaginiony zostanie w końcu

odnaleziony żywy lub martwy? Czy rodzina woli najgorszą prawdę niż życie w niepewności? To znów psycholog. Czy wchodzić do studia? Dyskusja jest zawsze dobra na koniec. Może tylko krótkie podsumowanie? Tak zrobię. Tyle, że nie będę do studia zapraszać rodzin. Z nimi porozmawiam w terenie. Na koniec historia Aliny. Zagram jak Oprah Winfrey. Powiem, że ta historia dotyczy bezpośrednio mnie. Ona zjednała sobie widzów szczerością. Poruszała trudne tematy i wyznawała, że miała podobne doświadczenia. To zaprocentowało. Ja też tak zrobię. Powiem: miałam przyjaciółkę, która zginęła w głośnym wypadku kilka lat temu. Oplakiwałam ją, przez lata mi jej brakowało... Powiedzieć o rozwodzie? Jak szczerość to szczerość. Kiedy porzucił mnie mąż dla młodszej, płakałam na jej grobie. Kilka tygodni temu spotkałam ją przypadkowo na ulicy. Uciekła... Przeprowadziłam prywatne śledztwo i jestem pewna, że upozorowała własną śmierć. Pytanie tylko, dlaczego? I dalej: nie wiem, gdzie jest i jak teraz żyje, ale wiem dlaczego... Ciężko mi o tym mówić, proszę państwa, ale odkryta prawda okazała się przerażająca. Moja przyjaciółka uciekła od dzieci, kochanka, którym był mój mąż i odpowiedzialności za kłamstwa, którymi karmiła wszystkich wokół przez wiele lat. Nie za ostro? Przeglądam tekst jeszcze raz. Nie, to naprawdę dobre i mocne. Mogę powiedzieć, że rodzina nie zgodziła się na rozmowę. Nie wiem, czy w ogóle dzwonić do Zbyszka. Jestem pewna, że nie zgodzi się wystąpić, ale chociaż go uprzedzę, co mam zamiar zrobić. Do córki Aliny i Włodka nie mam zamiaru dzwonić. Jeszcze nie zdecydowałam, co z nią zrobię. Najchętniej powiedziałabym jej prawdę i starłabym jej uśmiech z bezmyślnej twarzy. Jeszcze raz analizuję sytuację. Zadzwonię do Zbyszka, któremu tylko zasygnalizuję, że robię program. Może nawet dam do zrozumienia, że to będzie program „ku czci”. Jak obejrzy, będzie wstrząśnięty. Wtedy powiadomi córkę, matkę, syna i rozpęta się piekło. O to chodzi. Czytam wszystko jeszcze raz. Wydaje się naprawdę dobre. Na końcu pokażę zdjęcie Aliny. Ostatnie, jakie mam. Zrobiłam je na wspólnym spacerze, w Łazienkach. Czekałam na nią po pracy. Miałam bajgle z solą. Wyciągnęłam ją pod pomnik Chopina na godzinę. Była wiosna, jak teraz... Wspomnienia, wspomnienia. Dam to zdjęcie na cały kadr. I powiem w tle: „musi gdzieś żyć, pracować, jeść. Ktoś jej pomógł lub pomaga nadal. Jeśli ktokolwiek rozpoznaje tę kobietę, niech skłoni ją, żeby wróciła do domu i naprawiła zło, które wszystkim uczyniła”. Koniecznie muzyka na końcu? Może Vangelis, wniesie powiew patetyczności, albo jakieś mocne akordy? Alina lubiła Vangelisa. Albo może muzyka klasyczna? Kochała Chopina i Beethovena. Teraz nie muszę tego rozstrzygać. Czytam jeszcze raz. Dziennikarz musi być cierpliwy. Jeszcze trochę i wyrównam rachunki. Już niedługo.

Dzwonili z redakcji życząc zdrowia. Kazałam sobie przesłać teksty „młodzieży”. Niech się za bardzo nie przyzwyczajają do samodzielności. Po południu mam wizytę

lekarską. Nie powinno być problemu ze zwolnieniem. Wydawnictwo płaci gigantyczne pieniądze za obsługę lekarską. Kto wie, może nawet wezmę dwa tygodnie. Ostatnio nie jestem specjalnie wypoczęta. Nastrój wyraźnie mi się poprawia. Jeszcze tylko telefon do Maliny, że mam gotowy scenariusz. Niech zaczyna działania. A ja przycisnę wydawnictwo.

LENA

Półfinał ma być wielkim wydarzeniem medialnym. Może nawet większym niż finał. Zostało troje uczestników. Dziewczyna z Gdańska pisząca na moje ucho śliczne, choć trochę naiwne wiersze, chłopak z Gryfina, który naśladuje Piotra i amerykańskich raperów, na zmianę, oraz dziewczynka z Hrubieszowa twierdząca, że pochodzi w prostej linii od Leśmiana. Nie wiem czy tak rzeczywiście jest z jej pochodzeniem, ale przynajmniej ludzie się dowiedzieli kim jest Leśmian i gdzie mieszkał.

Za gdańszczanką, która ma na imię Marta, stoją wszystkie sfrustrowane nastolatki. Jej wiersze są o miłości niespełnionej, odrzuceniu przez świat, braku tego jedyne i takie tam. Moim zdaniem wszystkie dziewczyny mają w szufladach tony takich wierszy, tylko ich nie wyciągają. Ta wyciągnęła i stała się „gwiazdą”. Bardzo chętnie udziela wywiadów, pewnie czuje się przed kamerą, chociaż każe stylizować się na wczesne lata osiemdziesiąte. Najlepsza bura suknia do ziemi i obrysowane konturówką oczy. Żeby choć to było „smoky eyes”. Gdzie tam. Wygląda jak miś panda. Figurę ma fatalną - za dużo tu i ówdzie. Ale to część jej wizerunku, wygląda jak większość dziewczyn. Marek z Gryfina jest bardzo pewny siebie. Za nim z kolei stoi ulica. Taki nasz ziomal, koleś z blokowiska, który się wybił. Im bardziej jury zwraca mu uwagę, że jego teksty przypominają tego czy owego, tym więcej ludzi na niego głośnie. Mechanizm: dowalają naszemu, ratujcie ludzkie. Skrzykują się na fejsie, wysyłają mnóstwo smsów. Jakaś panienka grozi samobójstwem, jakby nie wygrał. Przez niego zablokowali możliwość wysyłania więcej niż jednego zgłoszenia z telefonu i komputera. Miał jakichś bogatych kolegów, którzy wysyłali setki smsów z jednego numeru. Żeby na coś takiego tracić pieniądze? Chłopak jest taki sobie. Przystojny, rozczochrany, taki Bibero-Pattison. Podoba się. Gdyby postawił na jakąś indywidualność, coś by z tego było, a tak koncentruje się na zrzynaniu. Najlepsza jest jednak Leśmianka. Patrzę sobie na nią z boczką i zastanawiam się, czy ona jest taką cwaniarą od urodzenia, czy matka ją tego nauczyła. Łzy, wspomnienie biedy i trudności z życia małego miasteczka bywały już w licznych programach, więc Joasia dawkuje to ostrożnie. Wzrusza się, kiedy Elka coś mówi. Ukradkiem niby ociera łzę. Na wydawcę patrzy jak w obraz, raz nawet powiedziała, że jest podobny do jej taty. Na pytanie, gdzie tata, gwałtownie spuściła głowę a potem pokazali mamę, która też spuściła głowę. Nazajutrz tabloidy pokazały na pierwszych stronach dziewczynkę o nieobecnych spojrzeniach, a tytuł brzmiał: Gdzie tata Joasi? Spryciula. Na Piotra nie zwraca uwagi prawie w ogóle, tyle co trzeba, odnosi się uprzejmie i już. Widocznie uznaje, że on jej ani nie zaszkodzi ani nie pomoże. Osobiście uważam, że udział w takich

programach powinni brać ludzie pełnoletni, albo chociażby tacy, co skończyli 16 lat. Ale ludzie to kochają. W trailerach pokazywane są całe klasy, które udzielają „wsparcia” Joasi, naszej małej poetce. Leśmian się sprzedaje, oglądalność rośnie i wszyscy są zadowoleni. Producenci regularnie wspominają, że ich reality show wpisuje się w misję telewizji w przeciwieństwie do innych programów tego typu, które są wyłącznie komercyjne.

Piotr ma wyraźnie dość. Widzę, że nie może się doczekać, kiedy program się skończy i będzie mógł być osobą prywatną. W ogóle nie zdaje sobie sprawy z tego, że to nie tak łatwo. Stosunki między nami są nieco napięte. Przyjął do wiadomości, że sprawa z Maćkiem jest przedawniona. Posunęłam się nawet do powiedzenia prawdy, dlaczego to zrobiłam, ale chyba tego nie kupił. Tak to jest, jak się mówi prawdę. Brzmi niewiarygodnie, a w najlepszym razie podejrzenie. Teraz, kiedy zaczęło mi zależeć, on wyraźnie się waha. Trochę jak żuraw i czapla, żeby wpasować się w stylistykę poetycką. Kupiłam mu marynarkę na półfinał i fajną koszulkę na finał, i przytulił mnie po dawnemu. Wczoraj nawet kochaliśmy się w nocy, ale było inaczej niż zwykle. Staralam się okazać mu dużo czułości, on szedł na żywioł i nie spotkaliśmy się w pół drogi. Bywa. Trzeba odczekać. Cierpliwość nigdy nie była moja mocną stroną. Nie mam jednak żadnego pola manewru. Jakbym chciała żyć w szczerości. Sama tego nie rozumiem.

Ela, już nie Ślepella, napawa się faktem, że widzi kawałek świata. Z jednej strony jest szczęśliwa, z drugiej coś ją trapi. Wczoraj wybierałyśmy strój na półfinał. Ubrałam ją naprawdę super. Marchewy w lazurze i fioletowa marynarka a pod nią pomarańczowy top. Dałam jej też swój pasek Gucci. Buty weźmiemy z garderoby stylistek. Patrzyła, patrzyła na to swoje odbicie w lustrze i kiwała głową. W końcu spytałam, czy jej się nie podoba?

- To chyba nie ma znaczenia - ona na to.

- Jak nie ma? - pytam. - Przecież masz się czuć w tym dobrze. Nie jest ci wygodnie? To świetne materiały, nic się nie gniece. Będziesz mogła wstawać, siadać, czuć się swobodnie...

- Wcześniej nie pytałaś, czy mi się coś podoba.

O co jej chodzi? Przecież nie widziała.

- Pytałam, czy ci wygodnie, opisywałam jak wyglądasz...

- Przepraszam cię, jestem po prostu zdenerwowana.

- Stało się coś?

- Takie tam, rodzinne sprawy... Nie powinny rzutować na nasz zasadniczy cel.

A jaki my mamy zasadniczy cel?

- Oczywiście - mruczę.

- Mimo wszystko nie widzę dokładnie - tłumaczy się.

- Ja rozumiem - mówię.

- Jesteśmy parą z Robertem - mówi nieoczekiwanie.

To ten aktor, który czytał jej wiersze. Od początku ją podrywał. Dobrze, że przeszli do konkretów.

- Gratulacje! Czy on wie, że widzisz?

- Wie, że trochę widzę. Obawiam się, że po powrocie wzroku, prędzej czy później zerwałby ze mną. Potwornie boję się iść z nim do łóżka.

Boi się, że coś jej w mózgu pęknie? Że będzie musiała udawać orgazm?

- A tak konkretnie czego się boisz?

- Ja też miałam wielu mężczyzn - mówi. - Naprawdę wielu. Ale dawno.

- To jak jazda na rowerze, nie zapomina się...

- Nie o to chodzi - zamyśla się.

Ciągle ma na sobie ciuchy i opatrzy w lustro. O co może chodzić?

- Bez sensu... Myślisz, że to dobre zestawienie? Nie za bardzo kolorowo?

- Bardzo nowocześnie. Teraz takie są wiosenne kolekcje. Będziesz jeszcze miała wysoki kok i kolczyki vintage...

- Nie umiem napisać wiersza - wyrzuca z siebie i zaczyna płakać.

Miodu zabrakło w sklepach? Przecież pracowała jak maszyna, od 11.00 do 13.00 i nie uznawała żadnych natchnień. Potrafiła napisać wiele wierszy dziennie. Ma zapasu na kilka tomików. Uznanie krytyków i publiczności, pierwsze zdjęcia w tabloidach. A teraz jeszcze odzyskała wzrok.

- Na pewno umiesz - uśmiecham się. - Zrobię ci tylko kanapki z miodem i...

- Nie umiem - uderza otwartą dłońią w lustro. - Próbowałam wczoraj i nic. Jednej sensownej linijki...

- Mnie tu nie było - próbuję żartować.

- Przestań! - krzyczy. - Ja nie żartuję. Pisałam, jak byłam ślepa. Teraz widzę. To koniec poezji.

Nie, no to jakaś znów telenowela. Co ona pieprzy?

- Przecież pisałaś, zanim miałaś wypadek.

- Wiersze do szuflady, jak ta nastolatka w programie!

-1 zobacz, jakie ma powodzenie - ciągle próbuję obracać wszystko w żart.

- Jest beznadziejna. Ten raper też. A to dziecko to powinni zabrać matce za to, co z nią wyczynia.

- Dziecko wygląda na szczęśliwe...

- Żartujesz! Powinno się karać matki, które wpychają dzieciaki w taki biznes!

- To wina producentów, którzy nie stawiają ograniczenia wiekowego. A dzieci zawsze dobrze się sprzedają...

- No właśnie - krzyczy. - Dzieci się sprzedaje! To niegodziwe!

- Może o tym napiszesz - podsuwam, bo nie mam pojęcia o co jej chodzi.

- Nie mogę!

Histerii, że brakuje weny to jeszcze nie przerabialiśmy. Przeciwnie, zawsze z pogardą wyrażała się o ludziach, którzy nie umieją nic napisać, bo czekają na muzę. A teraz sama się tak zachowuje.

- Słuchaj - mówię - może pisze się zrywami? Miałaś taki okres, kiedy coś się zmieniło. Ja przyszłam, były programy, telewizja, show. Coraz więcej blasku...

- I coraz mniej olśnień - mówi gorzko.

- Coraz więcej - protestuję upinając jej wysoko włosy. - Tylko masz nagłą przerwę. Taką noc. I teraz jest odwrotnie. Był blask, kiedy widziałaś ciemność. Teraz noc, jak jest jasno. Prześpij się z tym i zaczniesz nowy dzień.

Zastyga na chwilę.

- No i jak? Kok dobry, czy wolisz rozpuszczone? - ja muszę to wiedzieć teraz.

- Świetny kok. Ta kobieta wykorzystuje swoje dziecko. Powiem o tym głośno.

- Lepiej w wierszu. Napisz cykl o relacji matka-córka. Jakiegoś oczyszczenia doznasz, czy jak tam...

Rany, trzeba ją chronić przed nią samą. Co ona miała z tą matką? Już miała jej przebaczać. I czemu nie potrafi tego zostawić za sobą, jak ja to zrobiłam?

MARIA

Zbyszek jest zaskoczony, kiedy dzwonię. Uważał temat swojej żony za zamknięty.

- Nie, Marysiu, nie wystąpię w programie - stwierdza stanowczo.

O to mi chodziło. Żeby jednak nie nabrał podejrzeń, próbuję go „przekonać”.

- Może jednak zastanowiłbyś się - mówię to łagodnym tonem. - Program nie jest poświęcony Alinie, tylko problemowi nagłego odchodzenia. Myślę, że ludziom pomogłyby twoje słowa.

- Radziłbym ci poprosić psychologa - odpowiada.

- Oczywiście, poprosiłam - mówię skwapliwie. - Świadeństwo rodziny jest jednak bardzo wiarygodne.

- Jeśli mógłbym cię prosić, Marysiu, to nie przekonuj mnie. - Jego ton nie jest, jak ostatnio, cichy i zmęczony. Przeciwnie, wydaje mi się, że tryska energią.

- Naturalnie, Zbyszku - odpowiadam z westchnieniem. - Co tam słyhać u ciebie?

- Właściwie to całkiem dobrze - stwierdza. - Blisko mnie otworzyli księgarnię połączoną z kawiarenką. Chodzę tam sobie na kawę i czytanie książek.

- Brzmi bardzo dobrze.

- Nie warto się zamykać w czterech ścianach. Tobie też radzę wyjść do ludzi.

- A co, poznałeś tam jakąś miłą panią?

- Może i poznałem, ale na pewno ci nie powiem. Nie chcę potem usłyszeć o tym w twoim programie.

Niby żart, ale zabrzmiało zimno. Nie znałam go takim stanowczym. Jakaś wesoła wdówka mu się trafiła? Zbyszek to dobry człowiek. Po doświadczeniach z Aliną zasługiwałby na kogoś miłego.

- To wszystkiego najlepszego ci życzę z wiosną - kończę.

- Ja też ci dobrze życzę, Marysiu - ton jest łagodniejszy. - Od-kreśl przeszłość, jeśli ci mogę coś poradzić. Ciebie ona nie dotyczy.

Dotyczy i to jak.

- Nie mogę, Zbyszek - mówię. - Naprawdę nie mogę. Chociaż może właśnie tym programem zamknę przeszłość? Dam ci znak, kiedy emisja.

- Mam przeczucie, że wolałbym nie wiedzieć...

- Czy przekażesz dzieciom i cioci?

- Marysiu, nie rękę za siebie, jeśli będziesz mieszać w to moje dzieci.

Naprawdę go takim nie znałam. Nie ma obawy, nie zamierzam w to mieszać JEGO

córki.

- Poddaję się Zbyszku - mówię grzeczniutko. - Dam znak, kiedy emisja.

Dawno nie byłam w tak doskonałym nastroju. Mam przeczucie, że z wiosną wracam do życia. Poprawiam sobie humor, odrzucając w całości tekst jednej nowej dziewczyny. Tekst jest o domu dziecka, w którym na dziecko przypada cztery złote dziennie na trzy posiłki, ale dyrektor ma plazmę w gabinecie. Tekst można od biedy poprawić, ale niech dziewczyna postara się trochę. I tak za wiele im pomagam przy redagowaniu. Dziennikarze od siedmiu słów na krzyż.

Na spotkanie z Maliną wchodzę różnym krokiem. Byle tylko emisja mogła nastąpić szybko. Już pal sześć, co z książką. Najpierw program i powrót do telewizji, potem wydać książkę ze znaną twarzą. Boże, jak ja tego pragnę!

Malina ma minę niewyraźną. Boże, co znowu? Nie uda się szybko tego zrobić, jakiś problem z czasem, kamerą?

- Siadaj, Maryśka - mówi.

- Tylko mi nie mów, że będę czekała na emisję dłużej niż miesiąc - zarzekam się. - Zrobię program w dwa dni, mogę zmontować w nocy...

- Nie zrobisz tego programu - przerywa mi.

- Jak to?! - wykrzykuję. - To świetny program! Wiesz to bardzo dobrze!

- Przykro mi to mówić Maryśka, ale nie jest.

Kto cię uczył zawodu i robienia programów, ty tłusta szujo?

- Ten program niczym nie różni się od odcinka „Ktokolwiek widział..Niczym. Analizujesz zniknięcie trójki ludzi. Wątek kryminalny pojawia się w programach typu „Policja poszukuje...”. Tam są też przedstawione tajniki śledztwa, wnioski po latach...

- Ale u mnie jest psycholog, dyskusja w studio...

- Nie widzę żadnej różnicy między tym, co zaproponowałeś, a programami, które są na antenie. „Interwencja”, „Fotoreporter wyszedł...” - zaczyna wyliczać.

- To dlaczego tych programów jest aż tyle, skoro wszystkie są wtórne?

- O czym my mówimy? - znów mi przerywa. - Poszłam z tym do szefa. Nie chciał wierzyć, że to twoje... A już ta trzecia historia...

- Co z tą trzecią historią? - najeżam się.

- Czy ciebie popierdoliło? Co to ma być? Jakaś telenowela?

- Oprah też porusza wątki osobiste...

- Ty nie jesteś Oprah - mówi zimno. - Ty jesteś wylaną dziennikarką, która usiłuje wrócić do gry.

- Wiem o tym, wszyscy mi przypominali przez lata, w jakich okolicznościach stąd odeszłam...

- Wylali cię, bo bohater twojego programu strzelił sobie w łeb. To był złodziej, ale skazałaś go na śmierć. Wystarczyło tylko więzienie! A co robisz teraz?

- Co robię?

- Opowiadasz w programie, że kochanka twojego męża sfingowała swoją śmierć! Pytam cię jeszcze raz, czy ciebie popierdoliło?

- Nie wyrażałaś się tak brzydko, kiedy uczyłam cię robić programy!

- Może się nie wyrażałam, ale wtedy byłaś guru, specjalistką, wspaniałą dziennikarką...

- A teraz już nie jestem? Bo popełniłam jeden błąd?

- Ja też popełniam błędy i mam nadzieję, że nie będę miała takiego pecha jak ty...

- To o co ci chodzi?!

- O rzetelność na litość boską! Załatwiasz swoje prywatne sprawy przy pomocy programu! Jak taka osoba jak ty mogła w ogóle wpaść na tak absurdalny pomysł?!

- Ona żyje, to jest prawda...

- Mnie to nie obchodzi! - wrzeszczy, a za lustrzaną szybą gromadzą się ludzie. - Może twoja przyjaciółka była ostatnią świnią! Może żyje gdzieś szczęśliwie i śmieje się z ciebie! Ale nie możesz załatwiać tej sprawy na wizji!

- Czy to decyzja twoja czy dyrektora?

- Moja, ale byłam u niego z tym scenariuszem. Nie masz tu w ogóle czego szukać. Nikt nie wyemituje czegoś takiego. Uczyłaś mnie zawodu, mam wobec ciebie dług wdzięczności. Ale sądziłam, że zrobisz program o tych rodzinach, które opisujecie w gazecie.

- Jakich rodzinach?

Dyskusja jest bez sensu. To właściwie koniec marzeń o powrocie. Tylko dlatego nie wybiegłam z gabinetu tej krowy, że na korytarzu stoi spora grupa ludzi, wśród nich kilku moich dawnych współpracowników.

- Rodzinach, którym odcięto prąd, czy nie wypłacono odszkodowania, o starych ludziach z domów opieki, którzy mają bogate dzieci... - wylicza.

- I o tym nie mówi się w „Interwencji” czy „Reporterach”?

- O tym nigdy nie dość powtarzania - ripostuje. - To tematy społeczne. A o tym, co zrobiła ci przyjaciółka, napisz scenariusz do telenoweli.

- Czy mogę przerobić scenariusz?

Jestem żalosna, wiem to.

- Przykro mi, ale nie chcę drugi raz przez to przechodzić. Alberto miał do mnie pretensje, że w ogóle próbowałam ci pomóc.

- Chyba muszę ci podziękować. - Cedzę zimnym tonem, chociaż w środku się gotuję. - taka jesteś dobra.

- Byłam dobra - mówi. - Już nie jestem.

Dobrej rady, żebym nie wychylała się z redakcji gazety, skoro chcą mnie tam jeszcze drukować, już nie słucham. Nie czekając na windę, z palącymi policzkami i uczuciem nienawiści biegnę po schodach w dół. Wydawało mi się, że przegraną i upokorzenia mam już za sobą. Znów się pomyliłam.

LENA

Kombinezon Bottega Veneta w kolorze czekolady z kroplą zieleni? Z cienkim paskiem w talii, jak na pokazach Yves Saint Laurenta. Taka jest moja koncepcja na półfinał. Półfinał i finał to moje dwa mocne wejścia. Moje nazwisko zaczyna się wreszcie przewijać. Wszyscy wiedzą, że to ja ubieram Elkę i Piotra w programie. Jedno i drugie zaczęło o mnie mówić w wywiadach. Myślałam, że po pierwszej wzmiance na mój temat rozdzwonią się telefony, ale nic się nie stało. W „Twoim Dzidziusiu” już nie mam czego szukać. W „Natalii” moja noga nie postanie, ale byłoby bardzo miło, gdyby znowu próbowali mnie zatrudnić. Mogłabym z godnością odmówić. Miałabym satysfakcję.

A może kombinezon to nie najlepszy pomysł? Na co się zdecydować? Kobięca sylwetka Prądy? Neonowe dodatki? Rozkloszowana sukienka i baleriny? Nie umiem wybrać. Pierwszy raz w życiu nie wiem, w co powinnam ubrać swoją gwiazdę. Czy deprymuje mnie to, że ona widzi? Nie mam pojęcia, ale cokolwiek jest powodem - muszę to zwalczyć. Po pierwsze nikt nie wie, że ona widzi. Po drugie: Ela czy widzi czy nie, nie zna się na dobieraniu ubrań. Nie wtrąca się do moich stylizacji. Może ołówkowa spódnica...? Od tego naprawdę dużo zależy. W końcu, po całym dniu rozmyślań, decyduję się na kombinezon z paskiem i baleriny na półfinał, a skórzaną brązową sukienkę Vuitton z szarymi dodatkami, na finał. W półfinale kok, a na finał rozpuszczę jej włosy, ułożę i utrwale lakierem. W ostatniej „Twojej Modzie” było zdjęcie Elki w ciuchach przygotowanych przeze mnie. Oczywiście o mnie ani słowa, ale nie spodziewałam się tego. Wystarczył mi podpis: „znakomicie ubrana, jak zawsze...” W bardzo eleganckim miesięczniku za dwa miesiące ma się ukazać tekst pt.: „Dobre pióro, dobry gust”. Zaraz po zakończeniu „reality-poety” będzie miała sesję zdjęciową i wywiad. To dla mnie bardzo duże osiągnięcie. Mam nadzieję, że nie zepsuję tego jakimś nietrafionym dodatkiem.

W studio zjawiamy się trzy godziny wcześniej. W niezapełnionej widzami sali, krząta się kilkanaście osób obsługi technicznej. Zajmuję garderobę i rozwieszam ciuchy. Ela i Piotr siedzą w barze i piją kawę. Mamy jeszcze czas. Może i ja napiję się kawy. Wychodząc natykam się na twarz z przeszłości. Fotograf Tomek przygląda mi się uważnie.

- Jesteś zupełnie inna od tej dziewczyny, która przyszła do nas stylizować.

Pewnie, że tak. Tamta odeszła i nie wróci. I całe szczęście. Nie należy oglądać się wstecz.

- Dzięki - odpowiadam.

-I nawet ładniejsza - uśmiecha się.

- A co u ciebie? - pytam.

Zawsze go lubiłam, chociaż nie ma pojęcia o robieniu zdjęć.

- Pracuję tam, gdzie pracowałem- znów się uśmiecha. - Żona jest w ciąży.

- Gratulacje!

Pewnie nazwie dziecko Alan albo Sara.

- I mała Malwinka urodzi się, mam nadzieję, za miesiąc...

- Bardzo się cieszę, naprawdę - mówię szczerze. - Zawsze cię lubiłam.

- Ja ciebie też. Nawet jak byłaś zarozumiała i wredna. Wiedziałem, że to z niepewności.

- Wtedy, jak dla was pracowałam, byłam w trudnym okresie mojego życia, ale mam nadzieję, że już nie wrócę do tamtych czasów.

- Nie ma obawy - mówi. - W redakcjach mówią o tobie. Podziwiają stylizacje. I nie mówię o Natalii i Dwidziusiu, tylko o redakcjach położonych wyżej...

- Skąd wiesz?

- Słyszę. Musisz mieć jeszcze trochę cierpliwości. Stare stylistki nie tak łatwo oddadzą swoją pracę. Jesteś im solą w oku. One na swoją pozycję pracowały latami. Boją się ciebie. Ale już niedługo możesz liczyć na interesującą propozycję. Nie chcę zapeszać i trzymam kciuki.

- Jezu, nie wiem co powiedzieć. Wiem, że byłam wredna, a ty jesteś naprawdę...

- Spoko - macha aparatem. - Trzymaj się.

O czym mówił? Gazety, telewizja? Jak ja bym to chciała wiedzieć. Cierpliwość nie jest moją najmocniejszą stroną.

Przygotowujemy się wszyscy do rozpoczęcia programu. Prowadzę Elę na jej miejsce. Coś mi zgrzyta w jej wyglądzie. Chyba jednak powinna mieć szpilki, a nie baleriny. Skracają jej nogi. Czy zdążę jeszcze zamienić? Biegnę do roomu. Po drodze wybieram w myślach neonowe sandały na wysokim obcasie. Łapię je i truchtem wracam. Łąduję na kolanach u stóp poetki.

- Ela - mówię szybko. - Zmieniam ci buty.

Próbuję ściągnąć jej z nóg różowe baleriny.

- Lenka, nie chcę obcasów. - Protestuje.

Błąd. Mówi to za głośno. Jeszcze ktoś się domyśli, że zaczęła widzieć. Na razie ustaliłyśmy, że nikomu nie powiem. Nawet Piotrowi. Nie wiem co ten jej Robert robi, czy nie pobiegnie do tabloidów, ale ja zamierzam trzymać się planu. Siedzący obok Eli wydawca na szczęście nie zwrócił uwagi na jej słowa. Piotr popatrzył mnie. Kiwnęłam głową, ale nic

nie mówię, szarpnię się z nogami poetki. Na telebimie widzę, że zostało pięć minut do wejścia na antenę. To też nowość i powód do zdenerwowania. Do tej pory programy były nagrywane. Wobec wielkiej oglądalności i nawrotu do poezji, postanowiono, że półfinał i finał pójdzie na żywo. Nie wiem, czy to dobry pomysł. A jeśli zdarzy się coś takiego, jak w ostatnim programie?

- Ela, muszę ci zmienić buty - mówię z naciskiem. - Proszę cię...

- Te, które mam są ok - ripostuje. - Nie chcę znów czegoś zmieniać.

Obie zerkamy na zegar zawieszony z boku. Wynika z niego, że mamy trzy minuty do wejścia na wizję. Choroba, za mało czasu. Reżyserka daje mi znaki, żebym się wycofała. Piotr patrzy na mnie niespokojnie. Widzi, że coś jest nie tak. Nie dociera do niego, że Ela już nie jest niewidoma. Ona z kolei nie umie się pohamować przed okazywaniem tego. Znów zerka w stronę zegara. Założę się, że któryś z widzów to zauważy i zaczną się maile do redakcji.

- Dobrze, nie będziemy zmieniały butów, ale pilnuj się, proszę - mówię wyczołgując się spod jej nóg.

- Dzięki - mówi nieuważnie.

Żegna mnie wściekle spojrzenie producentki. Ona się za bardzo napina. I nie służą jej obcisłe sukienki, które zakłada z takim uporem. Wycofuję się w sam czas, żeby przy pierwszych fanfarach zdążyć zająć miejsce na szczycie widowni. Ogłuszający ryk z głośników rozlega się tuż nade mną. Sprowadzili znany zespół, który gra na żywo. Czuję dziwny niepokój. Nie mam pojęcia, dlaczego. Wydaje się, że wszystko zaczyna się układać. Chociaż między mną i Piotrem wciąż jest pewne napięcie. Powiedziałabym, że coraz mniejsze, ale jednak jest.

-...program emitowany jest na żywo... - ryczy znana prezenterka telewizyjna odziana w suknię do ziemi przypominającą namiot we wściekle zielonym kolorze.

-...przedstawiamy jury...

Piotr pomaga wstać Eli. Zastygam w napięciu. Chyba nikt się nie zorientował, że coś się zmieniło. Wstała, patrzyła przed siebie, pomachała w bliżej nieokreślonym kierunku i usiadła. Prezenterka wymienia jej tomiki poezji, osiągnięcia na polu popularyzacji poezji. Ela się uśmiecha. Wygląda na spokojną. Prezenterka nie wspomina o jej stroju. No cóż, mam nadzieję, że skomentują to jakoś jutrzejsze portale. Teraz przedstawiany jest Piotr. Prezenterka nazywa go „księciem ciemności”. Widzę, że jest wkurzony i ma ochotę zaprzeczyć. Jaki z niego książę ciemności? Co mają wspólnego przekleństwa w wierszach z diabłem? Może tak ma napisane w scenariuszu? Zresztą, co mnie to obchodzi...

-...wyjątkowi uczestnicy... - krzyczy dalej niezrażona prowadząca.

Nie mam pojęcia, czemu ją wybrali. Wielka blondyna bez gustu. Sukienka - namiot strasznie jej się z tyłu pogniotła. Aż mi jej szkoda, tak niechlujnie wygląda. Ja bardzo zwracam uwagę na materiały. Nie może być tak, że sukienka wygląda jak wyjęta „psu z gardła” po godzinie noszenia. Ela przy niej wygląda na świeżo odprasowaną. I dobrze, że taki kontrast. Już widzę te komentarze. Która z nich nie widziała się w lustrze? Która stylizowała się po ciemku? Dziwnie, bardzo się denerwuję...

Tymczasem wybiegają uczestnicy. Dziewczyna jest bardzo zdenerwowana, to wyraźnie widać. Dziecko skupione, ma zaciętą minę. Chłopak jest wyluzowany, macha do ludzi na widowni i przed kamerami. Klaszcze w dłonie w rytm muzyki. Bardzo jestem ciekawa, które z nich dziś odpadnie. Znow ogłuszająca muzyka. Zespół śpiewa piosenkę ze słowami Piotra. Staram się dostrzec jego twarz, nie zgadzał się przecież na to, żeby jego wiersze traktowano tak komercyjnie. Chyba jednak coś musiał o tym wiedzieć, ponieważ nie wygląda, żeby miał wstać i zerwać program. Producentka także go trochę zna, więc nie zaryzykowałaby takiego numeru jak wtedy ze ślepą jeszcze Elką. Prezenterka podchodzi do każdego z uczestników. Wypytuje o najważniejszą osobę w ich życiu. Jakaś podrasowana ta formuła na potrzeby programu „na żywo”.

Piotr pomaga wstać Eli. Zastygam w napięciu. Chyba nikt się nie zorientował, że coś się zmieniło. Witła, patrzyła przed siebie, pomachała w bliżej nieokreślonym kierunku i usiadła. Prezenterka wymienia jej tomiki poezji, osiągnięcia na polu popularyzacji poezji. Ela się uśmiecha. Wygląda na spokojną. Prezenterka nie wspomina o jej stroju. No cóż, mam nadzieję, że skomentują to jakoś jutrzejsze portale. Teraz przedstawiany jest Piotr. Prezenterka nazywa go „księciem ciemności”. Widzę, że jest wkurzony i ma ochotę zaprzeczyć. Jaki z niego książę ciemności? Co mają wspólnego przekleństwa w wierszach z diabłem? Może tak ma napisane w scenariuszu? Zresztą, co mnie to obchodzi...

-...wyjątkowi uczestnicy... - krzyczy dalej niezrażona prowadząca.

Nie mam pojęcia, czemu ją wybrali. Wielka blondyna bez gustu. Sukienka - namiot strasznie jej się z tyłu pogniotła. Aż mi jej szkoda, tak niechlujnie wygląda. Ja bardzo zwracam uwagę na materiały. Nie może być tak, że sukienka wygląda jak wyjęta „psu z gardła” po godzinie noszenia. Ela przy niej wygląda na świeżo odprasowaną. I dobrze, że taki kontrast. Już widzę te komentarze. Która z nich nie widziała się w lustrze? Która stylizowała się po ciemku? Dziwnie, bardzo się denerwuję...

Tymczasem wybiegają uczestnicy. Dziewczyna jest bardzo zdenerwowana, to wyraźnie widać. Dziecko skupione, ma zaciętą minę. Chłopak jest wyluzowany, macha do

ludzi na widowni i przed kamerami. Klaszcze w dłonie w rytm muzyki. Bardzo jestem ciekawa, które z nich dziś odpadnie. Znow ogłuszająca muzyka. Zespół śpiewa piosenkę ze słowami Piotra. Staram się dostrzec jego twarz, nie zgadzał się przecież na to, żeby jego wiersze traktowano tak komercyjnie. Chyba jednak coś musiał o tym wiedzieć, ponieważ nie wygląda, żeby miał wstać i zerwać program. Producentka także go trochę zna, więc nie zaryzykowałaby takiego numeru jak wtedy ze ślepą jeszcze Ełką. Prezenterka podchodzi do każdego z uczestników. Wypytuje o najważniejszą osobę w ich życiu. Jakaś podrasowana ta formuła na potrzeby programu „na żywo”.

- Najważniejszą osobą w moim życiu jest dla mnie moja ukochana mama - zaczyna Leśmianka. - Ona mi pierwsza pokazała księżyc...

- Czy wiesz, że twoja mama jest dziś na widowni? - przerywa te recytacje prezenterka.

- Mama zawsze tu jest - odpowiada zdziwione dziecko.

Faktycznie, prezenterka trafiła jak kulą w płot. Przecież ta mamuśka nie daje dziecku odetchnąć samodzielnie.

- Oczywiście! - uśmiecha się prezenterka. - Czy mama zawsze tak cię wspierała?

- Mamy tylko siebie na świecie - mówi dziecko. - Dziękuję ci mamuś...

Prezenterka ociera łzę. Najazd na matkę na widowni. Płacze na całego.

- Kto dla ciebie jest najważniejszy? - prezenterka szybko przechodzi w stronę chłopaka.

- Bezwzględnie matka - mówi i pokazuje zęby w uśmiechu. - Dziękuję ci mamuś, że wierzylaś we mnie, jak skarżyli się na mnie w szkole, jak wyrzucali mnie z zajęć. Dziękuję, że broniłaś mnie przed ojcem. Gdyby nie ty, nie byłoby mnie tutaj!

Najazd na jego matkę. Wygląda całkiem sympatycznie. Także płacze i uśmiecha się jednocześnie.

- Już wiem, co ty mi odpowiesz... - mikrofon ląduje przed nosem poetki nastolatka. - Czy twoja mama jest dla ciebie najważniejszym człowiekiem na świecie?

- Nie - odkrzykuje dziewczyna. - Zazdroszczę wam - zwraca się do swoich konkurentów. - Mnie matka nie wspierała, nie rozumiała, nie kochała...

Widownia buczy. Kamery błędzą po twarzach kobiet siedzących na widowni. Nie wiem, czy poszukują matki dziewczyny, czy też twarze analizujące jej wypowiedź.

- Może nie było tak źle... - mówi bez sensu prezenterka.

- Lepiej, żeby pani nie wiedziała, jakie potrafią być niektóre matki i czego nie zauważają...

Mała konsternacja, ale chyba kontrolowana.

- Zatem, kto jest dla ciebie najważniejszą osobą na świecie? - ryzykuje prezenterka.

- Przyjaciółka - odpowiada. - Przyjaciółka, która uświadomiła mi, że warto walczyć o swoje szczęście, warto kochać wbrew wszystkim, wszystkiemu...

Coming out na wizji. Cudo po prostu. Widzowie mogą jeszcze zobaczyć Piotra pochylającego się w stronę Eli, tłumaczącego zapewne poetce o co chodzi oraz twarz szczęśliwej wybranki poetki - lesbijki na telebimie. Orkiestra znów gra i na ekranie ukazują się trzy słowa, z których będzie trzeba skonstruować wiersz. Te słowa to: matka, miłość, nienawiść. Przerwa na reklamy. Widzowie szczęśliwie udają się do toalety albo do kuchni po kanapki, w studio zapada konsternacja. Uczestnicy wychodzą pisać wiersze, jury wstaje z foteli, żeby rozprostować nogi. Producentka zapewne awanturuje się z młodocianą poetką. Założę się, że ma pretensje o to, że wykorzystwała wizję do załatwiania swoich spraw. Jak znam życie, to producenci tonują poetkę, żeby nie powiedziała czegoś, co może naruszyć oglądalność. Z jednej strony, im bardziej kontrowersyjna wypowiedz, tym ludzie chętniej biegną do telewizora, z drugiej mogą poczuć się urażeni zszarganiem jakiejś ikony. A matka w naszym kraju to świętość. Nawet jak pije, bije dziecko albo sprowadza wujków.

Czas reklam się kończy. Do studia wraca blondyna. Wygląda naprawdę fatalnie. Strasznie wymięta. Czemu nie próbowała się przebrać w czasie przerwy? Kolejno wchodzą uczestnicy. Mieli tylko dziesięć minut na napisanie wiersza. To mało jak dla mnie, ale taka jest konwencja. To nie turniej szachowy, tylko zawody poetyckie, he, he. Wiersze ma czytać ukochany Elki. Jest celebrytą, więc i Elce się dostanie od paparazzich, ale jeszcze nie wyczuli, że ci dwoje mają ze sobą coś wspólnego. Aktor dostaje kartki z wierszami od producentki, które montuje sobie na zakładce z logo programu. Najpierw gra zespół, w tym czasie aktor uczy się czytać świeżo napisane wiersze. Pierwszy ma być wiersz dziewczynki, potem rapowca i na końcu świeżo wyautowanej lesbijki. Ciekawe, co udało jej się napisać. Miała najmniej czasu. Pewnie producenci ją objeżdżali i nie mogła się skupić. Zespół kończy grać. Rozlegają się oklaski. Aktor wstaje i zaczyna czytać:

Kochana mamó, jak będę duża, zaśpiewam Tobie piosenkę o róży.

O róży co kochać nie umiała.

Tylko nienawiść nas zaprowadzi do piekła Ta róża z tego piekła uciekła dzięki Tobie mamó kochana A tymczasem jestem mała, więc weź mnie na barana i utul do snu, Mamó moja kochana...

Tekst pokazuje się także na telebimie. Dzięki temu wszyscy mogą sobie tę poezję powtarzać do woli. Jury ma ciężki orzech do zgryzienia. Co można sensownego powiedzieć o tego typu twórczości, pamiętając, że program toczy się na żywo. Zaczyna Piotr:

- Chciałbym z naciskiem podkreślić, że tak wrażliwe dziecko, jak nasza Joasia nie trafia się często. Dzięki tobie dzieci pokochały wiersze. Dziękujemy ci za wszystkie wiersze, jakie napisałaś do tej pory, także ten ostatni. Nie wiem, czy ja sam umiałbym powiedzieć mojej mamie jak bardzo jest dla mnie ważna, tak pięknymi słowami.

- Spróbuj, Piotr - zachęca prezenterka. - Twoja mama na pewno ogląda nasz program.

Jestem pewna, że ogląda i mama, i tata, i siostra. Przez chwilę czuję palący wstyd na wspomnienie incydentu z ciocią Basią.

- Mamuś, jesteś wielka i dzięki za wszystko - mówi Piotr. - Zmuś ojca, żeby sobie ciśnienie zmierzył.

Prezenterkę zatyka ta naturalna i szczerą wypowiedź. Publiczność klaszcze po chwili ciszy. Ja czuję dumę. To jest normalny facet, naturalny, szczerzy. Przyrzekam, że będę się starała o utrzymanie tego związku, nigdy go nie zdradzę, niech mnie tylko nie rzuca... Wydawca mówi coś bez sensu o swojej matce. Elka bierze mikrofon.

- Z tych słów łatwo można ułożyć coś pięknego, ale także dać upust złym uczuciom. Dobrze, że wyprałaś pierwszą wersję. I zrobiłaś to pięknie.

Czas na Leśmiankę się kończy. Teraz rapowiec. Moim zdaniem napisał fatalny wiersz.

Mamo, moja mammo, miłości moja,

Ty mnie kochałaś, nie przeganiałaś

Problemem moim była nienawiść

Do świata zdarzeń

No i tęsknota

Do kraju marzeń

Gdzie razem, kochana moja

Dokonam podboju, świata, świata, świata...

Odczytany przez aktora w wersji rap nie przypada mi do gustu. Wcześniejsze utwory chłopaka też mi się nie podobały, ale przynajmniej miały jakiś sens. Tu słowa się powtarzają, treści niewiele...

- Powtarzasz słowa, ale treści od tego nie przybywa - zaczyna Piotr. - Ten utwór ci się nie udał.

Ależ zaczęłam znać się na poezji. Sama się dziwię.

- A ja uważam, że nie jest zły - zaczyna Elka. - Rzeczywiście powtarzasz słowa zupełnie niepotrzebnie. Nie miałaś chyba pomysłu na ten wiersz. Ale uważam, że wybronieś się.

- Głos wydawcy - mówi prezenterka.

- Nam, starym koniom trudno mówić o miłości do naszych matek. Nie umiemy robić tego ani publicznie, ani w obecności mamy.

- Czy pan powiedział mamie, że ją kocha? - znów ryzykuje prezenterka.

- Niestety nie zdążyłem - wzdycha wydawca. - Moja mama wychowywała mnie i trójkę moich braci sama. Ojciec zginął w kopalni, kiedy miałem dziesięć lat. Przysparzałem jej trosk, podobnie moi bracia. Wszystkich nas wypuściła w świat, a potem, kiedy wreszcie mogła odpocząć i zająć się sobą... nagle umarła. Zawał serca.

- To był dla pana cios? - ściszony głos prezenterki.

- Ogromny - Wydawca wydaje się autentycznie szczery. - Zwłaszcza, że nie przyszło nam z braćmi do głowy, że mama może chorować na serce. Wydawała się niezniszczalna. Nie pożegnałem się z nią. Nie powiedziałem jej, że była najlepszą matką na świecie.

- Mamo, ja też cię kocham - szepcze prezenterka.

Co za kicz.

Publiczność wstrzymuje oddech, kiedy Robert zaczyna czytać wiersz dziewczyny. Przed telewizorami pewnie też panuje napięcie.

Matka nie widzi, że przyjaciel rodziny mężczy.

Nienawiść mam w sercu, bo co to za matka.

Dziecko kochać musi każda kobieta.

Miłości nie ma w sobie ta, co życie dała.

Ma ta, co stoi z boku, kocha po cichu

Uczy, że nie ma nienawiści, jest miłość,

Ale tylko wtedy, kiedy nie ma matki.

Safona to ona nie jest.

Ale dziewczyna w pięć minut napisała coś z sensem. Ciekawe jak do tego podejną widzowie i szanowne jury. Zaczyna Piotr:

- Przede wszystkim chciałem ci powiedzieć, że współczuję ci, że miałaś takie problemy - mówi z naciskiem. - Mogę sobie tylko wyobrazić jak to jest. Sam miałem cudowny dom. Wiersz mi się podoba. Jest o czymś, ale nie mogę go rzetelnie ocenić. Jest bardzo osobisty.

- Nie powinnaś załatwiać swoich spraw na wizji - mówi wydawca.

- Ona nie załatwia swoich spraw - przerywa mu Piotr. - Kazaliśmy napisać jej wiersz, to napisała. Jest w porządku, treść i forma trzyma się kupy. A że opisuje autentyczne wrażenia i przeżycia...

- Cóż - wpada im w słowo Ela. - Niektórzy piszą wyłącznie o swoich przeżyciach,

także tych najbardziej intymnych. Nie umieją inaczej. Ostatnio taki tom wierszy otrzymał nagrodę „Nike”.

- Mimo wszystko uważam, że takie pianie świadczy o niedojrzałości - upiera się wydawca.

- Nie ma poetów dojrzałych - Piotr broni dziewczyny.

- Są - upiera się Elżbieta.

Piotr jest nieco zdumiony. Zwykle koncentrowała się na oryginalności wypowiedzi, nie wdając się w specjalne osobiste wycieczki.

- Co masz na myśli? - pyta Piotr.

Zapominają, że są w programie. Publiczność wstrzymuje oddech. Blondyna stoi z przyklepionym uśmiechem. Widzi, że ma czas i nie musi przerywać dyskusji.

- Moja matka też mnie nie kochała - oświadcza nagle Śle-pella. - Interesowała się tylko własną osobą, karierą lekarską.

- Więc pani wie, jak to jest - krzyczy młoda poetka. - Dlaczego nie można o tym mówić? Gdzie zawrzeć cały ten ból, jak nie w wierszach?

- Pisz, skoro przynosi ci to ulgę. Krzycz tak, jak umiesz. - Ela odzyskuje normalny ton. Przez chwilę wierzę, że skończyła z obnażaniem się. - Zazdroszczę ci. Ja już nie powiem mojej matce nic. Dużo bym dała, żeby stanęła tu przede mną i powiedziała co ze mną było nie tak. Dlaczego, mamó, dlaczego nie umiałaś mnie kochać?

Zaczyna płakać. Kamery pokazują jeszcze jak Piotr ją obejmuje i szepcze coś do ucha. Znowu przerwa na reklamy. W telewizorach przez cały czas trwania programu zamieszczane są na pasku smsy i maile od widzów. Wyobrażam sobie, co teraz będą pisali. Zbiegam ze swojego siedzenia po dwa stopnie w dół. Muszę być teraz przy niej. Co jej się znów stało? Kilka dni temu zabrałam ją na cmentarz i stałyśmy wspólnie nad grobem jej matki. Płakała i gadała o tym, że tamta jej nie kochała. W końcu powiedziała jakiś wiersz, jak się potem dowiedziałam - Miłosza. Zapaliłyśmy świeczki i poszłyśmy sobie. Po drodze dowiedziałam się, że ona matce przebacza i ma wrażenie, że matka z zaświatów przebaczyła jej. Prawie się wtedy nie odzywałam. Cóż można powiedzieć? Ciągle jej przebacza i przebacza, i przebaczyć nie może. O co znowu takiego mogło pójść? Sama miałam z matką pod górkę, ale dla mnie to od dawna zamknięty temat. Śni mi się matka czasem, ale nie przywiązuję wagi do takich snów. Uważam, że po śmierci nic nie ma, dlatego zamierzam koncentrować się na życiu.

Dopadam Elkę przed makijażystką. Poprawianie makijażu nic nie da, jeśli Ela się nie uspokoi.

- Elu - mówię - spokojnie, proszę cię.

- Mam dość tego durnego programu - mówi cicho. - Piotr miał rację. To nienormalne...
- Ale teraz jesteś tu i masz się uspokoić - nakazuję jak małemu dziecku. - Macie pomóc tym ludziom wydać ich wiersze. To weź się wreszcie w garść i zajmij wierszami!

- Nie krzycz na nią - mówi Piotr. - Ona tak już wiele przeszła...

- Ale to była jej decyzja, żeby wystąpić w programie - odpowiadam, jakby Elki tu nie było. - Moja matka z kolei mówiła, że jak się coś zaczyna, to trzeba skończyć.

- Nie opowiadasz nigdy o swojej matce - mówi Piotr.

- I teraz też ci nie opowiem, bo mamy trzy minuty na to, żeby zetrzeć jej te smugi z twarzy i uspokoić ją.

Poetka posłusznie wystawia twarz. Błyskawicznie robię poprawki. Makijażystka przytrzymuje tylko kuferek z kosmetykami. Po minucie można już pokazywać Elkę na wizji.

- Przepraszam was - mówi Elka nieoczekiwanie.

Będzie dobrze, dokończy program.

- Nie ma sprawy - odpowiadam. - Trzymajcie się. - Jeszcze tylko piosenka, ogłoszenie wyników i spadamy stąd.

Minuta do wejścia. Producentka daje rozpaczliwe znaki, żebym zniknęła z wizji.

- Pocałuj mnie, Lenina - uśmiecha się do mnie Piotr.

Czuję, jak bryła lodu, którą mam od tygodnia w piersiach, roztapia się i całe moje ciało ogarnia ciepło. Kończymy się całować, kiedy wściekła producentka krzyczy: pięć, cztery...

Na „dwa” znikam z wizji. Potem już nie wiem, co się dzieje. W domu dowiaduję się, że odpadła poetka - lesbijka. Pewnie jej matka triumfuje.

MARIA

- Witaj, Marysiu - słyszę głos w słuchawce.

Robi mi się gorąco.

- Witaj, Alina - odpowiadam.

Ręce zaczynają mi drżeć, serce wali. Nie liczyłam, że zadzwoni. Musiała się jednak bać tego, co mogę zrobić. Dała się sprowokować i teraz pogrążę ją.

- Czego chcesz w zamian za to, że nie ujawnisz prawdy?

Mogła powiedzieć: tajemnicy; tego, że jednak żyję; że mała nie jest córką Zbyszka... Może nie ma pojęcia, ile ja wiem.

- Rozmowy w cztery oczy - mówię.

- A jaką mam gwarancję, że nie będziesz miała dyktafonu czy kamery?

Już nic nie mam, ani sprzętu do nagrań, ani kamery. Mogę ją nagrać jedynie na komórce, śmiechu warte. Ona nie wie, że przegrałam całkowicie. Nic nie mogę jej zrobić. Może jedynie napluć w twarz.

- Nie będę miała - odpowiadam. Ona mnie zna, musi wyczuć, że mówię prawdę. - Nic ci nie mogę zrobić. Chcę tylko, żebyś popatrzyła mi w oczy.

- Za pół godziny w parku, przy fontannie - odkłada słuchawkę.

Ożywiam się na chwilę. Narzucam byle co i już mam wybiec, ale dzwoni telefon. Waham się czy odebrać. Jestem pewna, że to znów ona. Może się rozmyśliła i nie chce spotkać? Może nie odbierać? Podnoszę jednak słuchawkę.

- Chciałabym poinformować, że nie jesteśmy zainteresowani wydaniem pani książki.

Cios prosto w głowę.

- Jak to? - pytam bez sensu. - Czyja to decyzja? Czy ja mogę rozmawiać z redaktorem, który podjął decyzję?

- W tej chwili nie - mówi ta sama irytująca panna. - Ale decyzja została podjęta na kolegium. Ja tylko przekazuję.

- Dlaczego nie chcecie wydać tej książki? - kapituluję.

- Uznano, że wątek jest zbyt osobisty i nie zainteresuje nikogo. Nie dotyczy znanej osoby - tłumaczy obojętnym tonem. - Proszę zadzwonić jutro około 10.00. Będzie pani mogła porozmawiać z szefową. Pewnie poradzi pani, żeby spróbowała przerobić treść. Może jako powieść miałyby większe szanse?

Rzucam słuchawkę i wybiegam na ulicę. Muszę zdążyć na spotkanie.

LENA

- Witamy państwa w wielkim finale!

Blondyna tym razem ma czarny kostium z koszulą i muszką. Wygląda o niebo lepiej niż w półfinale. Przynajmniej nie jest wymięta. Fryzurę tylko bym zmieniła. Szopa kędziorów robi tandetne wrażenie.

- W ostatnim odcinku po dramatycznej walce odpadła Marta - czyta z kartki.

Jaka dramatyczna walka? Przegrała tylko w starciu z narodowym mitem matki.

- Marta jest tu z nami!

Dziewczyna wychodzi witana brawami i gwizdami.

- Czy chcesz nam coś powiedzieć?

A ja myślałam, że ją sobie odpuścili.

- Chciałam wszystkim podziękować za to, że mnie wspierali, wysyłali smsy i głosowali na mnie w głosowaniu internetowym. Bardzo wam dziękuję za wsparcie!

- Czy będziesz dalej pisać wiersze? - znów blondyna.

Kto jej pisze te durne pytania?

- Naturalnie - uśmiecha się dziewczyna.

Odpadnięcie z programu dobrze jej zrobiło. Jest wyluzowana i pewna siebie. Nie ma śladu tamtego zdenerwowania i determinacji w głosie.

- Pisanie to potrzeba serca. Myślę, że zawsze będę pisała.

- Brawo! Życzymy ci sukcesów.

- Ja chciałbym coś powiedzieć - zgłasza się wydawca. - Wydamy tomik wierszy pani Marty. Zapraszamy do księgarń.

Po minie blondyny widzę, że to oświadczenie jest przewidziane w scenariuszu.

- Brawo dla pana Andrzeja, naszego amora - wydawcy!

No i dobrze, na tej dziewczynie pewnie można zarobić. Sama kupię jej tomik. Cenię sobie odwagę.

- Dziś wyłonimy zwycięzcę wśród was - prezenterka zwraca się do Ziomala i małej Joasi. - Ale wy już i tak wygraliście.

Najazd na jury. Wydawca ponownie bierze do ręki mikrofon i oświadcza, że całej trójce finalistów wyda tomiki wierszy. Widownia klaszcze. Wychodzi Robert i razem z producentką opowiadają, ile osób zaczęło po programie czytać wiersze polskich poetów. Przytaczają statystyki. Widownia bije brawo. To wszystko zasługa programu, producentki i stacji. Wiwat! Tylko tak dalej. Nie mogę się doczekać przerwy na reklamy. Wreszcie

ogłaszają słowa, z których powstaną wiersze: miłość, wiosna, życie. Mogę biec do Elki. Muszę poprawić jej włosy, bo jeden kosmyk sterczy na bok. Elka wygląda fantastycznie. Dopięłam swego i sprowadziłam sukienkę Vuitton. Brązowy skórzany gorset bardzo dobrze leży, spódnica jest rozkloszowana, ładnie się układa. Wybrałam szare dodatki, naszyjnik z piór, srebrną, szeroką bransoletkę i szare zamknięte buty. Wahałam się między butami do kostki a zwykłymi zamkniętymi. W końcu wybrałam te drugie. Nie lubię topornych butów, nawet, jeśli są modne. Ela wygląda ślicznie i bardzo, bardzo kobieco. Jestem przekonana, że obecnie to jedna z najlepiej ubranych kobiet w Polsce.

- Gratuluję stylizacji - słyszę za plecami.

- Dziękuję, pani Kamelio - z wrażenia przestaję oddychać. Sama Wielka Szefowa podeszła mi pogratulować!

- Tak sobie myślę Lenko, czy byś nie chciała do nas wrócić?

Marzyłam o tej chwili. W myślach tysiąc razy wyobrażałam sobie, że Kamelia podchodzi i błaga mnie, żebym wróciła do pisma, a ja jej odmawiam. Kiedy prosi prawie na kolanach, ja mówię, że owszem, mogę wrócić, ale moja noga tam nie postanie, jeśli nie wywałą Pasikonika. Albo ja, albo on - kończę w wyobraźni.

- A mogę?

- Naturalnie! - triumfuje Kamelia. - To zadzwoń do kadr w poniedziałek...

- Zaraz - decyduję się. - Nie zgadzam się na posadę asystentki...

- Ależ ja ci proponuję posadę stylistki! - Kamelia otwiera szeroko oczy, jakby chciała zapytać mnie, jak mogłam w ogóle pomyśleć, że z moim doświadczeniem będę odwozić ciuchy do sklepów. - Jedna z trzech głównych stylistek, swoboda w stylizacjach, piszesz felietony o historii mody i podlegasz bezpośrednio mnie. To jak?

Umie się wysławić.

- A Bogusław?

Mam na myśli Pasikonika.

- Z Bogusławem rozwiązałam umowę miesiąc temu. Miał kilka wpadek. Uprzedzić kadry, że przyjdiesz?

Kiwam głową. Kamelia odchodzi. Rozglądam się wokół. Przerwa już się skończyła. Program trwa w najlepsze.

- Uczestnicy wiedzieli wcześniej, jakie słowa zostały wytypowane i przygotowali swoje wiersze. Przez cały tydzień współpracowali z zespołami muzycznymi i powstały piosenki. Chcemy je państwu zaprezentować.

A to coś nowego. Zdecydowanie lepszy pomysł niż zmuszanie kogoś, żeby układał

wiersze na czas. Zresztą jestem tak szczęśliwa, że świat wydaje mi się błękitny (rózu nie znoszę) a życie piękne. Wracam do „Twojej Mody”, triumfalnie, od zaraz!

Pierwsza jest piosenka chłopaka. Oczywiście śpiewa znany raper. W ogóle nie moje klimaty, ale słowa nawet w porządku. Z trudnością się skupiam z tego szczęścia. Kolejna piosenka jest naprawdę piękna. Śpiewa znana wokalistka jazzowa. Bardzo ładnie to interpretuje. Słowa są może nieco naiwne, ale przemawiają do wszystkich. Wokalistka śpiewa, że chciałaby zakochać się, bo jest wiosna. Wszystko wokół kwitnie, co chwila powstaje nowe życie, a dziewczyna marzy o miłości. Jest na nią gotowa. Naprawdę ładne. Joasia i jazzmanka dostają ogromne oklaski. Wydaje się oczywiste, kto wygra.

Znów przerwa na reklamy. Elka wygląda bardzo dobrze, nie muszę niczego poprawiać w jej wyglądzie. Schodzę na dół.

- Ela, wyglądasz pięknie - mówię szczerze.

- To najładniejsza kobieta na tej sali - mówi Robert. - Bez obrazy oczywiście.

Bez obawy. Nie jest w stanie mnie urazić.

- Chyba nigdzie nie wychodzisz? - niepokoje się Piotr.

- Nie - kręcę głową. - Jest nawet miło. Piękna ta piosenka o miłości...

Piotr odciąga mnie na bok.

- Lenina...

- Wszystko jest dobrze - mówię. - Wyglądacie wspaniale...

- Lenina...

- Co? - przytulam się do niego. - Stało się coś?

Minę ma dziwną. I sztywny jakiś jest.

- Właściwie to tak - patrzy mi prosto w oczy. - Przemyślałem wszystko, zastanowiłem się co do nas i chciałem...

- Wracamy! - krzyczy prezenterka.

- Cholera jasna - mówi. - Może to nie najlepszy moment, ale może lepiej, kiedy jesteśmy wśród ludzi... Nie jesteśmy sami... To znaczy...

- Wszyscy na miejsca! - obie, prezenterka z producentką stają nad nami.

- Idź! - mówię. - Potem mi powiesz.

- Cholera jasna...

Odrywamy się od siebie i idziemy na swoje miejsca. Ja wysoko na trybuny, a on do swojego fotela. Znów się zaczyna. Ja też mam dość tego programu. Wykończył mnie, Elkę i Piotra. Ale teraz to się zmieni. Wracamy do starych zajęć. Ja do swojej dawnej gazety. Piotr ma egzaminy gimnazjalne, Elka będzie nagrywała programy o kobiecej poezji. Bardziej

kameralne i bez wejść na żywo. Wszystko się układa. Tylko, żeby coś się nie spieprzyło. Co Piotr chciał powiedzieć? Coś o nas? Co? Nagle czuję ciężar w piersiach. A jeśli zastanowił się i nie może znieść mojej przeszłości? Boi się, że dawni kochankowie zaczną wyłazić ze wszystkich stron? Pewnie chce odejść. Wiedziałam, że tak się skończy. Dlaczego teraz, kiedy ja dałam sobie radę z przeszłością? Może chodzi o to, że jestem za głupia? Gadam tylko o ciuchach. Dostrzegł to wreszcie. Siedzę otępiała na trybunach. Nagle wszystko zrobiło się takie szare.

- Zakończyliśmy głosowanie! - krzyczy blondyna. - Zaraz podamy wyniki!

Podchodzi producentka.

- Już mówiliśmy państwu, że cała finałowa trójka wyda tomiki z wierszami - zaczyna.

- Kto zdobył najwięcej punktów w dzisiejszym programie, nie jest zatem takie istotne. Wobec wielkiego zainteresowanie programem i poezją, z przyjemnością chciałabym ogłosić, że od jesieni rusza druga edycja programu!

O nie, Piotr nic mi nie mówił. To bardzo zły pomysł, żeby on znów występował.

- Mam nadzieję, że jurorzy przyjmą zaproszenie i wystąpią w kolejnej edycji, która w całości emitowana będzie na żywo!

Tym bardziej się nie zgadzam, żeby Piotr występował. Tylko, czy będę miała na cokolwiek wpływ?

- A teraz wyniki!

- Ja chciałabym je ogłosić! - Slepella wstaje z fotela jurora.

Już wiem, co będzie. Blondyna nic nie rozumie. Piotr i wydawca mają miny takie sobie. Producentka jest przerażona.

- Proszę mi dać kartkę z wynikami - Elka wyciąga rękę w stronę producentki. - Tak, proszę państwa... Ja częściowo odzyskałam wzrok!

Oszołomiona producentka wyciąga kartkę w jej stronę.

- Głosami widzów - zaczyna czytać Ela - 51% do 49% zwycięża Marek Janik!

Wrzask w studio. Nie mam pojęcia, czy to wrzawa na cześć zwycięzcy, czy poetki, która odzyskała wzrok. Wpatruję się w telebim. Nie wiem, czemu pokazują Piotra. Minę ma jakąś dziwną. Jakby rozczarowaną. Nie cieszy się, że Ela widzi?

Widzowie oglądają napisy końcowe. Studio wypełnia się producentami i pracownikami technicznymi. Ja schodzę do Eli.

Odbiera gratulacje od szefostwa. Potem podchodzi do chłopaka i coś mu klaruje. Chłopak ma minę taką sobie. Macha do dziewczynki i jej matki. Tym razem staję w pobliżu, bo chciałabym posłuchać o czym rozmawiają.

- Będę śledziła losy Joasi - mówi zaczepnym tonem do jej matki. - Jeśli pani spróbuje wykorzystać dziecko...

Matka jest oburzona, ale Elka nie słucha jej i podchodzi do mnie.

- Co ty na to?

- Nie wiem, co powiedzieć... Chyba dobrze się stało.

- Co jest z Piotrkim? - pyta. - Miał taką dziwną minę.

Przejrzał na oczy, jak i ty, i już mnie nie chce. Tak zrobił ten koleś z „Nowego wspaniałego świata” Huxleya, po tym jak się przekonał, kim naprawdę jest Lenina.

- Nie wiem - mamroczę.

Już mnie nie słucha. Wpada w objęcia Roberta, potem Piotra. Ten ostatni obejmuje ją jakoś tak osobiście, przyciska do siebie. Coś jej mówi do ucha. Ona go całuje w policzek i też coś mu szepcze. Śmieją się razem. Ścisza mnie w gardle.

- Idziemy? - Piotr stoi obok mnie z bukietem kwiatów, które dostał po programie.

- Dokąd? - pytam.

- Proponuję, żebyśmy poszli do „Nowego Wspaniałego Świata”. We dwoje.

- A nie do baru twojej byłej? Albo do domu?

- Nie - jest stanowczy. - Nie tam.

Właściwie co za różnica, gdzie ze mną zerwie.

- A nie możesz powiedzieć mi tutaj tego, co zamierzasz?

- Tu jest mnóstwo ludzi.

- Coś mówiłeś o tym, że mają być ludzie...

- No tak, ale pomyślałem, że może źle to odbierzesz i powinniśmy być sami...

Na pewno dobrze tego nie odbiorę.

- Odbiorę to źle na pewno - mówię. - Powiedz i niech to się skończy.

Znowu dziwnie na mnie patrzy.

- No dalej... - zachęcam.

Pada na kolana i wyciąga przed siebie bukiet kwiatów.

- Wyjdź za mnie. Kocham cię.

Muszę głupio wyglądać. Stoję z rozdziawionymi ustami.

- Słucham?

- Chciałem powiedzieć to na wizji. Oświadczyć ci się obecności dwóch milionów ludzi. Ale Elka z tym wzrokiem... No i się nie udało.

- Chciałeś mnie zapytać w programie na żywo, czy wyjdę za ciebie? - upewniam się.

Ciągle klęczy.

- Kocham cię - powtarza. - Kolana mnie bołą.
 - Ja cię też kocham - zaczynam płakać i klękam także.
 - Zniszczysz sukienkę - mówi.
 - Co tam sukienka - płaczę. - Kocham cię i wyjdę za ciebie.
- Pokazują nas na telebimie.

ALINA

- Za pół godziny w parku przy fontannie - mówię odkładając słuchawkę.

Ręce mi się trzęsą. Ile ona wie? Czy naprawdę zgodzi się nie ujawniać prawdy? Muszę ją przekonać za wszelką cenę. Nie ma mowy, żebym przyszła do niej do mieszkania. Gotowa ściągnąć mojego męża, córkę, matkę, naszpikować mieszkanie kamerami i dyktafonami. Muszę być ostrożna. Nie mogę powiedzieć niczego, co mnie zdemaskuje. Oddycham głęboko. Miałam przecież zawsze nerwy jak postronki. Zimna, analizująca, przewidująca Alina. Na tym spotkaniu muszę być Aliną, ale udająca panią Krysię. Naturalnie, Maryśka nie może dowiedzieć się o mojej nowej tożsamości.

Dystans pokonuję w piętnaście minut. Mimo to ona już czeka. Widzę pochylone plecy mojej przyjaciółki siedzącej na ławce i krótkie włosy połyskujące w słońcu. Włosy ma po dawnemu krótkie, sterczą na wszystkie strony. Nigdy nie umiała ich ucze-sać ani ściąć tak, żeby mieć jakąś łatwą do ułożenia fryzurę. Obrażała się, kiedy próbowałam zmienić jej uczesanie, czy sposób ubierania się. Wspomnienia... Przecież bałyśmy jak siostry.

- To co z tym zrobimy? - mówię stając naprzeciw niej.

- Szybko przyszłaś - odpowiada. - Musisz gdzieś blisko mieszkać.

- Wzięłam taksówkę - odpowiadam.

- Denerwujesz się? - pyta.

- A ty? - odpowiadam pytaniem na pytanie, co zawsze doprowadzało ją do szału.

- Chciałabym powiedzieć, że ładnie wyglądasz, ale to nie byłaby prawda.

Skoro zaczyna od złośliwości, to znaczy, że nie wie, kim jestem teraz.

- Ty za to wyglądasz naprawdę dobrze - odpowiadam.

- Nie kłam - mówi. - To ci nie pomoże.

- W czym ma mi pomóc?

Ona nic nie wie. Niepotrzebnie dałam się sprowokować. Trzeba było siedzieć cicho w domu.

- Przecież zależy ci, żebym nikomu nie powiedziała o twoich sprawkach?

- To co mogę zrobić, żebyś nie powiedziała nikomu o moich sprawkach?

- Powiedz mi prawdę - proponuje. - Z czego żyjesz? Jak w ogóle funkcjonujesz?

- Żyję z oszczędności i pracuję na czarno.

- Co robisz?

- Chałupnictwo - waham się chwilę. - Obszywam guziki w dużej firmie. Szyję to, czego nie można wykonać na maszynie.

- Udaję, że wierzę... Jak udało ci się wszystkich oszukać?

- Nie planowałam tego. To był przypadek. Miałam uraz głowy. Straciłam pamięć. Dowiedziałam się, że uznano mnie za zmarłą. Pomyślałam, że to znak od Boga, żebym uwolniła wszystkich od swojej osoby.

- Płakałam na twoim grobie - mówi zjadliwie. - Kiedy Włodkowi urodziła się córka. Wiedziałas, że Włodek ma córkę?

- Nie wiedziałam - mówię zgodnie z prawdą. - Powiedziałam mu, że urodziłaś jego córkę, ale mi nie uwierzył.

Zatyka mnie na moment. Jak się domyśliła?

- I słusznie, bo to nie jest jego córka...

- Powiedziałam ci już, żebyś nie kłamała.

- Nie kłamię - patrzę jej prosto w oczy.

- A romansowaniu z moim mężem też zaprzeczysz? - Ona też patrzy prosto na mnie. - Nie - wytrzymuję to spojrzenie. - Miałam z nim romans. Kochałam go. Mogę cię tylko przeprosić, że zrobiłam ci coś takiego.

- To teraz powinniśmy paść sobie w objęcia - mówi. - Może chcesz wrócić do domu?

Nic nie mówię.

- Bo mogę ci to umożliwić - kontynuuje. - Zrobimy to przed kamerami. Powiedz, że straciłaś pamięć i właśnie ją odzyskałaś na mój widok. Widzowie będą płakali.

- Chciałam zniknąć z życia bliskich mi ludzi i stało się. Wiem, że dyszysz zemstą...

- Wiesz, co się działo z twoim mężem przez te lata? Z córką? Z synem?

- Umarłam - powtarzam. - A zmarli nie śledzą losów byłych mężów ani dzieci.

- Zobacz - pokazuje mi artykuł. - Twoja córka jest w gazecie. Wpatruję się w zdjęcie.

Widzę tę samą trójkę co w barze.

Moja córka, druga dziewczyna i były chłopak Agnieszki. Ciekawe, zawsze chciała być znaną osobą. Udało jej się.

- Wiedziałas o tym, co teraz robi? - pyta.

- Mówiłam ci, że nie. Nie kupuję gazet, nie mam telewizora. Nie stać mnie.

- Mogłabym cię zamordować, wiesz? - uśmiecha się pokazując nachodzące na siebie zęby. - Żaden sąd by mnie nie skazał. Przecież nie istniejesz.

- To zamorduj mnie - mówię. - Zrobisz mi tylko przysługę.

- A wiesz, że ja myślałam, że wpadnę tu, napluję ci w twarz i zaciągnę do rodziny?

- I dlaczego zmieniłaś zdanie?

Odzyskuję równy oddech i normalne bicie serca. Już wszystko wiem.

Prawdopodobnie myślała, że uda jej się wrócić do gry poprzez moją historię. Wielki powrót do telewizji znanej dziennikarki. Opowiem wam pewną historię... Mam sensację... I coś nie zagrało. Nikt nie chce albo jej albo mojej historii.

- Widzę, że jesteś brzydka i nieszczęśliwa - mówi. - To mi wystarczy. I jeszcze to.

Uderza mnie otwartą dłonią w twarz.

- Żegnaj, Marysiu - mówię. Policzek mnie pali. - Jeszcze raz za wszystko cię przepraszam.

Wyjmuje komórkę z kieszeni i wybiera numer. Przez chwilę wydaje mi się, że źle oceniłam sytuację i ona naprawdę nagrała naszą rozmowę, chociażby po to, żeby odtworzyć ją mojemu mężowi lub dzieciom. Mała szansa, żeby któreś chciało z nią rozmawiać. Nie sądzę także, żeby Włodek chciał wracać do przeszłości. Ale na chwilę ogarnął mnie niepokój.

Zamawia taksówkę. Przez długie dziesięć minut stałyśmy naprzeciw siebie. Ja z piekącym policzkiem, ona płacząca. Powtarzała, że mnie nienawidzi. Wreszcie, kiedy taksówka już podjeżdżała zdecydowałam się. Podeszłam i objęłam ją. Zesztywniała na krótką chwilę, ale potem wtuliła się we mnie i rozszlochała na dobre.

- Alina, Alina - powtarzała. - Dlaczego mnie zostawiłaś?

Wepchnęłam ją do taksówki. Zaskoczony taksówkarz czekał aż się uspokoi i poda adres. Wreszcie odjechali. Patrzyłam za nimi.

Słońce grzeje mocno. Wiosna w tym roku nadeszła bardzo szybko. Nie zauważyłam nawet, kiedy zimne promienie zaczęły grzać. Trzeba otworzyć bar. Agnieszka pojechała na wycieczkę w ciepłe kraje. Jestem tam sama, a niedługo pora lunchu. Zupy i pasztet są wczorajsze, podobnie ciasto, ale to nic. Zaraz wezmę się do smażenia kotletów. Mięso przygotowałam i peklowałam już wczoraj.

Moje życie i mój bar. Wreszcie spokój. Otwieram szybko drzwi i wchodzę do środka. Dziewczyna, która zastępuje Agnieszkę, przyjdzie dopiero za godzinę.

- Chciałam kupić coś na wynos - słyszę głos za mną.

- Jeszcze zamknięte, dopiero za godzinę otworzymy - mówię odwracając się.

- Ja chciałam pasztet - papple moja córka. - Moi przyjaciele mówili, że pani robi...

Stoimy twarzą w twarz. Obu nam krew odpływa z twarzy. Obie jesteśmy kredowobiałe.

- Boże... - słyszę.

Stoję jak wmurowana.

- Boże... - córka zasłania usta dłonią. - To nie jest możliwe... Boże...

Co mam powiedzieć?

- Pomyliłaś mnie z kimś, moje dziecko - mówię żałośnie, ale to co mówię, nie ma żadnego znaczenia, bo ona mnie poznała, a ja ją.

Wybiega z baru. Biegnie na oślep przed siebie. Boże drogi, przecież tam jezdnią, czerwone światło... Wybiegam za nią. W sam raz, żeby wypchnąć ją spod kół. Słyszę ten ogłuszający trzask. Najpierw ślepnę. Potem przestaję czuć. Tak trzeba, kochanie. Tak trzeba.

LENA

- O co więc chodziło z twoją matką? - pyta Piotr.

Leżymy w łóżku przytuleni. Po raz pierwszy od tamtego wieczoru u jego rodziców rozmawiamy bez napięcia.

- O nic nie chodziło - mówię. - Mama nie była łatwą osobą. Zmienna, chimeryczna...

- Była lekarzem?

- Tak, bardzo to lubiła. Z tego, co wiem, ceniono ją w branży. Miała doktorat.

- Tłumy wdzięcznych pacjentów...

- Coś w tym stylu. Czowała się szczęśliwa, kiedy stawiała dobrą diagnozę, uczyła studentów...

- To o co chodziło?

- W domu nie czuła się szczęśliwa - ważę słowa, bo nie chcę być niesprawiedliwa. - Ojciec ją nudził, ze mną i z bratem nie mogła się dogadać...

- Jak się nie mogła dogadać z tobą?

- No wiesz, matki chodzą z córkami na zakupy i do kosmetyczki... plotkują przy kawie...

- Czyli to nie była matka-kumpela?

Kumpela. To słowo w ogóle do niej nie pasuje.

- To była matka-żandarm, strażak, może urzędniczka... Ale kumpela - przewracam się na brzuch - dobry dowcip.

- Co czułaś, kiedy umarła?

Nikt mnie o to nie pytał do tej pory.

- Nic nie czułam - wyznaję szczerze. - Zupełnie nic.

- Czy jest coś, czego jej nie powiedziałaś? - Piotr gładzi moje włosy.

- Chyba nie...

- Są takie ćwiczenia, wiesz - unosi się na ramionach. - Bierze się kartkę i pisze do zmarłej osoby list. Wyjaśnia się wszelkie sprawy, takie rzeczy...

- Nie wydaje mi się to potrzebne - protestuję. - To Ślepella ma problem z matką. Może jej powiedz, żeby spisała wszystko na karteczce.

- Kilka razy jej mówiłem - zamyśla się. - Ona lubi się obwiniać o jej śmierć. Z tego, co zrozumiałem, to nie miała nic wspólnego z tym wypadkiem.

- Nie chodzi o wypadek. Nie można się obwiniać o coś takiego. Jak ci pisane, to zawsze staniesz nie tam, gdzie potrzeba, znajdziesz się w niewłaściwym miejscu, w

niewłaściwym czasie. Jej chodzi o to, że nie zdążyła nawtykać matce, że się nią nie dość interesowała.

- Ty nie zdążyłaś...

- Ja wcale nie chciałam. Uciekałam od matki. Nie chciałam z nią rozmawiać. Do tej pory, jak stoję przy jej grobie, to nie wiem, co mam powiedzieć. Jakby wcale jej tam nie było.

- Nie masz wrażenia, że opiekuje się tobą z zaświatów?

- Pytało mnie o to kilka osób. I odpowiedź jest szczerą, i zawsze taka sama - nie mam wrażenia, że są jakieś zaświaty. Wszystko jest tu i teraz.

Kładę się na niego i całuję, żeby przestał wreszcie gadać. Uwielbiam leżeć z nim nago w łóżku. Nie musimy się kochać. Wystarczy, że dotykamy się lub rozmawiamy.

- A kiedy jedziemy do twojego ojca? - pyta.

- Dzwoniłam i umówiłam się na niedzielę.

- Niedziela - przewraca oczami. - Może jeszcze będzie rosół na obiad?

- Ojciec umie tylko pomidorową - mówię. - Ja coś zrobię u nas i zawieziemy.

- A twojego brata kiedy poznam? - pyta.

- Obawiam się, że w ogóle... - wzdycham.

- Hej - denerwuje się. Niepotrzebnie, bo westchnienie jest tylko na pokaz. Jestem bardzo szczęśliwa.

- Zamierzam cię poślubić i uczynić szczęśliwą kobietą - dodaje. - Ja zrobię z ciebie szczęśliwego mężczyznę - całuję go w szyję. - A twoi rodzice co na to?

- Mówiłem ci tysiąc razy, że byli zażenowani wybuchem Basi. Uważają, że nie miała prawa wywlekać tej sprawy.

- To była jedna z większych atrakcji w jej życiu - mamroczę. - Teraz żałuję, że to zrobiłam. Użyłam ciała, żeby kogoś skrzywdzić...

- Twoje ciało jest wspaniałe, nie zgadzam się, że kogoś możesz nim skrzywdzić... - gładzi mnie po piersiach.

- Powiedz mi tylko, czy nie będziesz mi tego wypominał? W złości? Nie okaże się za rok, dwa, że poślubiłaś dziwkę...

- Ja cię naprawdę kocham - mówi.

- Ja ciebie też - mówię trochę ciszej. - Ale ślub ma być ładny i cichy.

- To pierwsze mogę ci już obiecać, drugie się postaram wyegzekwować od rodziny.

Uwielbiam, kiedy całuje moją szyję. Musimy wstać, bo na obiad zaprosiliśmy Elkę i Roberta. Wprowadzie mam już sos do makaronu, ale muszę ogarnąć nieco mieszkanie i przebrać się. Wygania Piotra z łóżka. Próbuje namówić mnie na jeszcze jeden szybki

numerek, ale mamy za mało czasu. Jak znam Elę, to punktualnie zapukają do drzwi.

Rzeczywiście po niespełna trzydziestu minutach rozlega się pukanie. Całe szczęście, że zdążyłam pościelić łóżko.

- Jakie smaczne! - zachwycą się Elka. - Jak pięknie podane!

- Za to, że możesz powiedzieć, że coś ci się podoba albo nie - Piotr wznosi kieliszek.

- Za was - odwzajemnia się Ela.

- Za wasz bajkowy ślub - Robert jak zwykle używa określeń, których nie rozumie. -

Za Piotra i Marlenkę.

Kopnęłam go, gdybym nie czuła się taka szczęśliwa.

- Chcieliśmy cię prosić, żebyś została świadkiem - mówię do Eli.

- Ooo... - wyraźnie się tego nie spodziewała. - Dziękuję wam. A kto będzie drugim świadkiem?

- Moja siostra - mówi Piotr.

- Chcesz mieć dwie kobiety przy sobie? - dziwi się Ela.

- Tak, ale macie wyglądać gorzej ode mnie...

- Musisz nas ubrać w takim razie. Nie wiem jak twoja siostra, ale ja nie wychodzę z domu, jeśli Lenka mi nie naszykuje czegoś, w co mam się ubrać.

- Możesz na mnie liczyć...

Jest mi tak dobrze, że zaraz zacznę śpiewać.

- Nie zjadaj ostatniego kawałka pasztetu - protestuje Ela.

- Kiedy to jest najlepszy pasztet, jaki w życiu jadłem - Robert się z nią droczy.

- Polecę dokupić, jeśli już nie ma - ofiaruje się Piotr.

- Ja pójdę - protestuję. - Muszę pilnować, żebyś nie spotkał się z byłą. Bo jeszcze zmienisz zdanie co do ślubu.

- Ja pójdę z tobą - mówi Elka. - Mam ochotę się przejść. Takie ładne słońce.

- Nie boisz się, nie denerwujesz? - pyta, kiedy idziemy alejką w stronę baru.

- Kocham go i chcę z nim być.

Boże, jakie to proste. Kocham go i chcę z nim być. Kocham go, więc chcę z nim być. Nie ma znaczenia, jakim małżeństwem byli rodzice. Nie ma znaczenia, ilu mężczyzn miałam do tej pory. Nic nie ma znaczenia. Liczymy się tylko my dwoje. Jakie to proste.

- A wy? - pytam.

- U nas to za wcześnie na ślub, ale jest dobrze.

- Jak sobie radzi z tym, że widzisz?

- Wiedział, że widzę. Zauważył to, że tak powiem. Od dawna się przyzwyczajają.

- Czyli bacznie cię obserwuje - podsumowuję.

- Wczoraj byliśmy na kolacji i jakiś debil robił nam zdjęcia - śmieje się.

- Paparazzi - mówię. - Robert jest znany.

- Najśmieszniejsze, że chodziło też o mnie. Zawołał: Ela - popatrz tu! Już miałaś zdjęcia w gazecie - przypominam.

- Wszyscy mieliśmy. Pamiętasz tę fotkę z programu, na której jesteśmy we trójkę z tobą i Piotrkim?

Pamiętam. Fota podpisana: Gwiazdy z osobistą stylistką. Pół nocy nie spałam z radości.

- Ale fotka osobista to co innego - kiwam głową. - Jesteś już znana.

- Zawsze chciałam być znana.

Idziemy chwilę w milczeniu.

- Teraz, kiedy będziesz pracować z powrotem dla swojego starego pisma, starczy ci czasu, żeby mi pomagać?

- Pewnie, że tak - miałam nadzieję, że o to zapyta. - Tam nie będę pracować od - do, tylko przy sesjach. Umówimy się jakoś. Przyzwyczaiłam się, że ciebie ubieram.

- Ja też - śmieje się.

- Poznałam matkę Roberta, wiesz?

- Naprawdę? - dziwię się. - Jaka jest?

- Ciepła, miła, cudowna kobieta. Szkoda, że moja taka nie była...

- Ela - zaczynam. - Musisz odpuścić. Bo zadręczysz siebie i innych. Twoja babcia i ojciec się pogodzili. Oni umieli wznieść się ponad konflikty.

- Wiem - mamrocze. - Tym razem to już naprawdę koniec. Poszliśmy na jej grób we trójkę. Z ojcem i babcią.

- Przestałaś się bać?

- Że wyjdzie z grobu i zacznie mnie ochrzaniać? - unosi twarz do słońca. - Tego nigdy nie przestanę się bać, ale to wszystko, co ostatnio powiedziałam, przeżyłam... Pozwala się pożegnać.

Oby mówiła prawdę. Dochodzimy do baru byłej Piotra.

- Mamy szczęście - mówię. - To jest chyba pani Krysia. Właśnie otwiera. Czuję, że będzie pasztecik!

- Ja pójdę - mówi Ela. - Przekonam się, czy umiem teraz załatwić sprawę jak należy.

Ale ja już jej nie słucham. Pani Krysia odegrała ważną rolę w życiu moim i Piotra. Na weselu będziemy podawać jej potrawy. Wśród nich, oczywiście pasztet. Mam nadzieję, że

„Nowy Wspaniały Świat”, w którym ma być przyjęcie, zgodzi się na to.

- Proszę pani - wołam za nią. - Chciałam kupić coś na wynos.

- Jeszcze zamknięte, dopiero za godzinę... - mówi odwracając się.

- Ja chciałam pasztet - mówię. - Bardzo lubimy z przyjaciółmi pani pasztet!

Stoimy twarzą w twarz. Nogi się pode mną uginają. To niemożliwe.

- Boże... - mówię.

Przede mną stoi moja matka, blada jak ściana i równie jak ja przerażona. Jest starsza, przygarbiona i siwa, ale to niewątpliwie ona. Widzę to w jej spojrzeniu.

- Boże... - powtarzam.

Nic nie rozumiem, nie czuję, nie słyszę, serce mi wali. To musi być sen. Bo to jest niemożliwe! Odwracam się i uciekam na oślep przed siebie, chyba wydaję jakieś dźwięki. Muszę znaleźć się jak najdalej stąd. Chcę do Piotra, on będzie wiedział, on rozumie. Czuję silne szarpnięcie całego ciała. Odzyskuję słuch. Pisk opon. Zgrzyt metalu. Zupełnie tak jak wtedy. Żółty autobus uderza w moją matkę. Ja ląduję na chodniku. Potłuczona, z podartymi rajstopami i ubraniem, ale cała. Widzę, jak do mnie biegnie przerażona Ela. A moja matka nie żyje.